

PRZE

Numer 5/2954

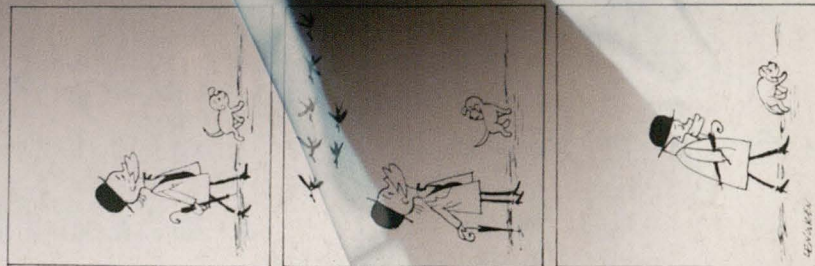
3 lutego 2002 r.

KRÓT

7% 3,50zł

Ludwik Jerzy Kern: Jest mi smutno, ale płakać nie będę

FLUTER



Zamożni chłopcy
dzili za mąż za siebie.

W wierszu
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

Wiersz
Twardowskiego

USIU
ro dwa
lata nosisz tę pe-
lisę z lisów i już
jest stara? - zdzi-
wił się Falczak.
- A pomyśl tyl-
ko - zaripostowa-
ła Falczakowa -
ile lat przedtem
nosiły ją lisy!



Indeks 371424 • Y-9013-C

Niech
Bors
Niech
Na c
My



FANIAK

FANIAK

FANIAK

zeczke;



...a, wie,
...yk aż.
...zecz
...zетка,
...ja poczytać,
...nakryć twarz.

OŚLEKOWI
W ZŁOBY DANO

"Super Express" (nr
227) pisze, że gdzieś
tam jest do nabycia za
99 groszy

CHLEB OSEŁKA
400 g.

Taniocha! Tylko że
do tego ośleka trzeba
jeszcze bochenek ma-
selka.

(Nadesłana:
D. Czernakowa)

WACUSIU

Falczak pole-
cił komus leka-
rza. "A można
mu zaufać?" - za-
pytał kandydat
na pacjenta. "Z
całą pewnością -
zapewnił Falc-
czak. - Mnie już
leczy trzy lata,
a ciagle żyję".

W "Gazecie Wro-
clawskiej" (nr 257)
czytamy:

W części artystycz-
nej pokazany będzie
spektakl "Jedzie, je-
dzie na kasztanie" ...
Coś tej Kasztance
Komendanta dodali
chyba?

(Nadesłana:
M. Fignerowa)

OBRODEK
fraszek

enkwicz)

Gdzie jak gdzie, ale
w "Newsweeku" powinni
chyba wiedzieć, że Nowy
Jork nie jest stolicą USA,
a tymczasem okazuje
się, że nie wiedzą, a my
im nie podpowiemy.

(Nadesłana: I. Startek)

NEWSWEAK

"Newsweek" z 21
października pisze:
Nowy Jork stracił 150
mld dolarów w wyniku
ataku terrorystów na

Wiele standardów
Jak pogodzenie

Mathal

koszt zniszczenia
nych II wojny
późniejszy
sków z turys
mistrz stolicy USA
na jej promocję 40 mld
dolarów.

WYDANIE SPECJALNE MAGAZYNU VITA

**Szukaj
w kiosku!**



**WSZYSTKO NA TEMAT
PROFILAKTYKI
I LECZENIA CUKRZYCY**

Ist

JESTEM ZA CENZURĄ!

Wzruszył mnie artykuł p. Tomasza Wolskiego, zatytułowany „Medialny cenzor” („P” 2951). Autor wyraźnie się przejmuję, że gierki promocyjno-reklamowe, kapitalistyczna rywalizacja i walka o słuchaczy/telewizorów, spowodowały, że pewne nazwiska trafiły na wewnętrzny indeks niektórych mediów. Dawniej nazywało się to bodaj „księga zapisów” – taka stale aktualizowana i odnawiana biblia dla pracowników urzędów kontroli pracy, publikacji i widowisk. I to było groźne.

Teraz efekty rywalizacji między mediami w ogóle mnie nie interesują. Niech się wodzą za łby, byle z tego coś ciekawego wyniknęło dla widza, słuchacza, czytelnika. Nie potrafię sobie natomiast wyrobić jednoznacznej opinii na temat deklaracji red. Moniki Olejnik w sprawie Leppera (pana posła, a nie „Samobrony”, która jest znaczącym faktem społecznym). Skłaniam się jednak ku stanowisku świetnej dziennikarki – z braku Leppera w mediach demokracja polska się nie zawali, a wręcz odwrotnie – wzmocni, przynajmniej etycznie.

Mimo wszystko jestem za cenzurą. Ano myślicie, że bolszewik albo jakiś Dulski spod znaku Radia

Maryja, któremu upubliczniony kawałek golizny przeszkadza, a sam w kącie ogląda pornole, a na dodatek zabawia się sam ze sobą, ewentualnie w towarzystwie spróchnego wideo. Co robię w moim pokoju, sam ze sobą, to wyłącznie moja sprawa, a ponieważ nie jestem ekshibicjonistą, z tego się wam nie zwierzę. Niech mi zatem Liga Polskich Rodzin też da spokój. I wszyscy ci, którzy chcieliby sprawdzić, jakiego koloru mam podniebienie.

Więc po ci ta cenzura? – pytaście. Co chcesz, głupku, cenzurować? Ano jest co! Że życie się brutalizuje – wiedzą wszyscy. Że dzieci mordują dzieci – też wiedzą. A nawet zastanawiają się, dlaczego. I czasem dochodzą do słusznych – jak mi się wydaje – wniosków. A najczęstszy, bo nie jedyny, z owych wniosków brzmi: dzieci od małości uczzone są agresji – w rodzinach, w bajkach, na ulicy, przez kolegów itd. Dorośli wymyślają nawet specjalne filtry, kiedy, by uniemożliwić oglądanie maulczym, chłonnym życie jak gąbka wodę, „zakazanych” kanałów, programów. „Zakazane” to wg dorosłych przeważnie erotyka, seks – pornografia, która ponoć niszczy charakter, skazuje człowieka na męki piekielne. Choć właśnie bez tych uciech, zabaw, często do znudzenia powtarzanych w zaciszu do-

mowych sypialni, nie miałby kto smażyć się w piekle... Reszta, czyli ta brutalność na co dzień, mało kogo interesuje.

Pojawił się obywatelski projekt ustawy o zwalczaniu przemocy w mediach – roztrząsają go w komisjach sejmowych. Na indeksie mają się znaleźć brutalne filmy, gry komputerowe, agresja, krew, mord. Zakazane mają być także reklamy nieodpowiednie dla dzieci i młodzieży. To „nieodpowiednie” mnie nieco niepokoi – bo w tym kraju bardzo liczna grupa ludzi bez wyobraźni najchętniej pozbałaby nas zupełnie całego „pieprzu życia”, bez znajomości którego z dzieci mogą wyrosnąć społeczne kaleki. Ale jednego bym zdecydowanie zabronił i egzekwował z całą surowością – zakazałbym jakichkolwiek reklam z udziałem dzieci i kierowanych do dzieci. Dlaczego? – pomyślcie sami.

Ale tak naprawdę jedyną cenzurą winna być nasza samoświadomość ukształtowana przez ogólnoludzkie zasady moralne, czyli zwykła przyzwoitość.

Czy jednak potrafimy jeszcze we współczesnym świecie odróżnić dobro od zła, które ze swej natury jest jakby atrakcyjniejsze? – nie potrafię odpowiedzieć. Tu za „Polityką” zacytuję Pawła Huelle: „Żyjemy w rzeczywistości postmodernistycznej. Istnieje wielość równoległych światów. Nie rządzi nami jedna idea ani jedna estetyka. Nie ma wyższych ani niższych cywilizacji. Wszystko wygląda inaczej, niż myśleli nasi przodkowie”.

No i w ten sposób sam, dobrowolnie, zapędziłem się w „ślepy zaułek”. Nic nie robić, bo wszystko samo się ułoży? W to, że przestaniemy się mordować, straszyć i robić sobie świństwa nikt przecież nie wierzy...

Panie redaktorze Wolski, szanowna redakcja „P” – zainicjujcie na ten temat dyskusję, taki hyde park. Niech kto chce, pisze i plecie co chce, niech się różni ludzie spierają. Ci z lewa i z prawa, ci od świętości i grzechu. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Będziecie mieli reality show, jakiego jeszcze nikt nie wymyślił! Za pomysł nie chcę nawet złamanego grosza.

ANDRZEJ KOWALSKI,
Kraków

czeczo **PRZE
KROJ**



**PRZE
KROJ**

Założyl w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

Wydawca: EDIPRESSE POLSKA SA
ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa
tel. (0-prefix-22) 628-05-29, fax: (0-prefix-22) 621-19-76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW
MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

REDAKCJA W WARSZAWIE: ul. Wiejska 16
tel. (0-prefix-22) 627-23-06 do 08
fax: (0-prefix-22) 627-23-05
e-mail: nowy.przekroj@edipresse.pl

REDAKCJA W KRAKOWIE: 31-012, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533
e-mail: redakcja@przekroj.pl
Telefony – łączą centrala: (0-prefix-12) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (0-prefix-12) 421-49-29, 422-70-61

REDAKTOR NACZELNY, SZEF NOWEGO PROJEKTU „P”:
Jacek Rakowiecki
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chornko,
Joanna Gromek Illg, Andrzej Ruchalski (sekreterarz),
Anna Rudnicka

DZIAŁY:
Kultura: Włodzimierz Jurasz (kierownik),
Benjamin Lazar, Justyna Tawicka, Jacek Ziemeł
Krajowy: Łukasz Dziatkiewicz, Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Tomasz Wolski
Reportaż: Izabella Bodnar, Dariusz Wojtala
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marjan (kierownik), Lesław Peters
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Wojtek Koculowski,
Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz,
Dorota Terakowska, Bogna Wernichowska

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik artystyczny),
Maria Klich, Jan Kozak, Joanna Sroka
Dział fotograficzny: Marek Szczepański (fotodzytor),
Bogdan Kręzel, Jan Zych
Korekta: Małgorzata Strakowska-Szczurek,
Barbara Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Andrzej Laurisz

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefix-22) 628-05-29
w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (brand manager),
Wacław Kaczmarczyk („Złoty Grosz”), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Agata Eigner
Warszawa – ul. Wiejska 12
tel./fax (0-prefix-22) 627-23-09
Kraków – ul. Reformacka 3
tel: (0-prefix-12) 422-70-61, Marzena Kiedacz

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-prefix-67) 210-84-00

Okładka – Galerie Fine 90 gsm; Producent – Metsa Serla
Kirkniemi Mills.
Srodek – Stellapress 60 gsm; Producent – Stora Enso.

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,
Agnieszka Bogdańska, tel./fax (0-prefix-22) 625-08-20,
tel. (0-prefix-22) 628-05-29 w. 210
Przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju
Przez RUCH S.A. – informacja tel.: (0-prefix-22)
532-87-31, fax: (0-prefix-22) 532-87-32

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.

Redakcja zastrzega sobie prawo

do zmian i skrótów w nadesłanych
artykułach i listach.

NAKLAD: 77 500 egz.



Kraków według krakusa

Mimo przeniesienia redakcji „Przekroju” do Warszawy Kraków jest nadal miejscem atrakcyjnym. To Cały Polski Miasto Najświetniejsze.

MACIEJ MIEZIAN

18

Narodziny Lolity

Były czasy, gdy panów podniecał pasek skóry między rękawiczką a koronką mankietu damy. Dziś nagość kojarzymy z wodą, słońcem, zdrowiem...

JAN GONDOWICZ

22



1 km = 1 człowiek



Ta droga biegnie tysiąc kilometrów wyżej niż sięga szczyt Mont Blanc – poprzez niedostępne Himalaje. Jej budowniczy wyglądają jak postaci z piekła.

WOJCIECH HETMAN

26

NUMER 5
3.02.2002



OKŁADKA: Zbigniew Palka
FOT. JAN ZYCH

Listy 3, 6

CZECZOT w „Przekroju” 3

ANDRZEJ MLECZKO
Redaktor Wszędobylski 7

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia 8

LESZEK MAZAN
O tych, co dali dyla (do Warszawy) 11

Kazimierz Targosz
Jest mi smutno, ale płakać nie będę – rozmowa z LUDWIKIEM JERZYM KERNEM 14

MACIEJ MIEZIAN
Kraków według krakusa
Z żywymi naprzód – gra 18

JAN GONDOWICZ
Narodziny Lolity 22

AGNIESZKA PARTRIDGE
Nagość po wiktoriańsku 25

WOJCIECH HETMAN
1 km = 1 człowiek. O najwyżej położonej drodze świata 26

LESZEK MAZAN
Skuteczniej niż seks. Prof. dr KRYSTYNA PISARKOWA bada język Bronisława Malinowskiego 30

IZABELLA BODNAR
Śmierć imperium.
O Łodzi Scheiblera 32

BEATA MACIEJEWSKA
Horror na sprzedaż 34

Galeria: Bardzo blisko. Portrety MARKA SZCZEPAŃSKIEGO 36

Rozmowy Agnieszka Niedźwieńska
Być żyrafą, nie szakalem – mówi MARSHALL ROSENBERG 42

Kraj MAREK MACIĄGOWSKI
Arystokratki z pustyni 44

HOFF Foto 46

WIEDEMANN Dziennik „duszy” 47

Nauka LESŁAW PETERS
Smoki ogniste spod znaku Orla Białego 48

Zdrowie TERESA BĘTKOWSKA
Twarzowa inwestycja 50

Obyczaje AGATA WASILENKO
Tajemny język męskich perfum 52

Sztuka MARTA SOBOLSKA
Giotto pod specjalnym nadzorem 54

Film JACEK ZIEMEK
Alfabet mugola uświadomionego 56

Teatr ŁUKASZ DREWNIĄK
Tupot nóżek. „Państwo Fajniackich” wg Wojciecha Szlachowskiego; Dostawka GŁOWACKIEGO 58

Muzyka FILIP ŁOBODZIŃSKI
Pueblo w żałobie. Zbigniew Dziewiątkowski 60

Książki JAN GONDOWICZ
Krzywa balistyczna. O „Tęczy grawitacji” Thomasa Pynchona 62

Klub Smakosza TADEUSZ PIÓRO
O fałszywych zającach 64

Instrukcja obsługi TV
Dziękujemy wam, dyrektorzy! 65

Rebus (zmienny) 66

Mieszanka firmowa 67

Lustro weneckie MACIEJ DEJCZER 70

Szatnia BOŻENA KEFF
Moje nagrody 71

Krzyżówka z jolką i STEFANIAKIEM 72

Co Pan na to, Panie LEM? 74

Rozmaitości 76

Bardzo blisko

MAREK SZCZEPAŃSKI
fotografuje ludzi,
bo ich lubi.

WOJTEK KOCOŁOWSKI

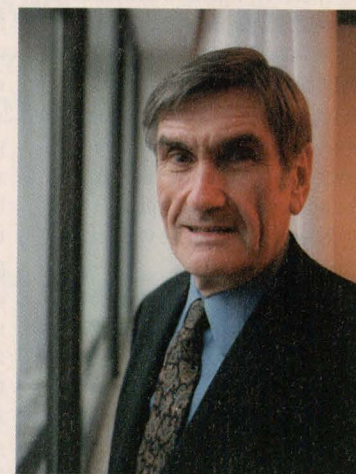
36

Być żyrafą, nie szakalem

Jeżeli zdamy sobie sprawę, że potrzeby innej osoby są tak samo ważne jak nasze, zmieni się nasza świadomość. Posługujemy się językiem żyraf, pozbawionym przemocy – mówi MARSHALL ROSENBERG.

AGNIESZKA NIEDŹWIEŃSKA

42



Tajemny język męskich perfum

O mężczyźnie najwięcej powiedzą nam pachnidła, których on używa. Mają też wpływ na jego atrakcyjność seksualną.

AGATA WASILENKO



52



TO COŚ WIĘCEJ NIŻ SPORT

W numerze 2951 „P” ukazał się artykuł o psach zaprzęgowych „Najszczęśliwsze, gdy biegną” autorstwa pani Barbary Pajchert.

Niestety, muszę z przykrością stwierdzić, że autorce zdecydowanie zabrakło wiedzy o poruszoną temacie. Dziwi to tym bardziej, że informacje te są powszechnie dostępne (choćby w Internecie) i naprawdę niewiele trudu wymaga ich zdobycie.

Nieprawdą jest, że w Polsce istnieją trzy kluby.

W roku 1998 powstała Polska Federacja Sportu Zaprzęgowego Psów Ras Północnych. W chwili obecnej zrzeszamy 11 klubów, a jeszcze kilka pozostaje poza Federacją.

Nie wiem, na jakiej podstawie autorka stwierdza, który klub jest największy. Tego typu podziałów w Federacji nie prowadzimy, więc trudno mi z tym polemizować. Jedynym kryterium oceny jest poziom sportowy.

Szkoda, że autorka patrzy na nasz sport oczami swego informatora, dla którego na zawodach najważniejsze jest piwko. Szkoda, że nie pisze o tym, że jesteśmy jedną z bardzo nielicznych dyscyplin polskiego zimowego sportu, w którym mamy:

- aktualnego mistrza świata – Andrzeja Wilczopolskiego z Warszawskiego Klubu Maszera „INUIT”;
- aktualnego wicemistrza świata – Mateusza Surówkę z krakowskiego klubu „DURANGO – RIMO”;
- tytuł drużynowego wicemistrza świata;
- II i IV miejsce na ostatnich Mistrzostwach Europy.

Pisanie w tym kontekście o Bartoszu Gadziomskim jest po prostu nieporozumieniem. Tym bardziej że nie jest ani najzdolniejszy, ani nie ma 17 lat, ani nie ma jedynych w Polsce alaskan huskich.

Nie jest również prawdą, że zaprzęg Gadziomskiego jest najszybszy w kraju. Nie jest i nigdy nie był. Nie jest również prawdą, że nie ma u nas ani jednego zaprzęgu psów grenlandzkich. Wystarczy pojechać na jakiegokolwiek naszym wyścigi (a nie na piknik), żeby zobaczyć, że na takich psach startuje i zwycięża Andrzej Wilczopolski, a w ścisłej czołówce plasuje się również Eulalia Wojnicz z WKM „INUIT”.

Polska Federacja Sportu Zaprzęgowego Psów Ras Północnych została parę lat temu przyjęta do World Sleddog Association, a tym samym do IFSS. W uznaniu dla naszych sukcesów przyzna-

no nam prawo organizacji Mistrzostw Europy w 2003 roku. Będą to pierwsze w historii Mistrzostwa Europy, rozgrywane jednocześnie w sprincie i na średnim dystansie. Przewidujemy start ponad 200 zaprzęgów.

Również wyrazem uznania dla poziomu naszych maszerów jest ilość przyznanych nam miejsc na tegorocznych Mistrzostwach Europy. Stanowimy trzecią, co do wielkości, ekipę narodową po Niemczech i Francji. Warto dodać, że w niemieckich klubach zrzeszonych jest ponad 4000 maszerów, w Polsce ok. 100. To wszystko jest powodem do dumy i zadowolenia. (...)

Wyrazem uznania dla naszej działalności jest ubiegłoroczna decyzja prezesa Urzędu Kultury Fizycznej i Sportu uznająca nasz sport, a Polską Federację Sportu Zaprzęgowego Psów Ras Północnych jako jedynego reprezentanta tego sportu w kraju i za granicą.

Dlatego zakładam, że informacja o przynależności polskiego klubu bezpośrednio do IFSS jest też niezgodna z prawdą. (...)

Kilka spraw drobniejszych:

- surowicę wieziono do Nome, a nie z Nome,
- trasę pokonywano tam, a nie tam i z powrotem,
- pani Czerwińska nie przywiozła do Polski pierwszych samojedów i husky,
- nie jest prawdą, że we wszystkich obowiązujących na świecie regulaminach przewidziano osobną klasę dla alaskan malamutów, wręcz przeciwnie. (...)

W jednym się zgadzam z autorką – to jest naprawdę piękny sport i coś więcej niż sport. Wszystkich jego aktualnych i przyszłych sympatyków zapraszam do Serw k. Augustowa, gdzie w dniach 9–10 lutego br. spotykamy się w Ośrodku CHRIS nad jeziorem Serwy na Mistrzostwach Polski w Sprincie. A jeśli dla kogoś to za daleko, to prawdziwie twardzi mężczyźni spotykają się w dniach 31.01–03.02 br., w Rabce na najtrudniejszym w Polsce wyścigu będącym jednocześnie Mistrzostwami Polski w Średnim Dystansie.

Wszystkim innym, którzy chcą dowiedzieć się czegoś o psach zaprzęgowych, proponuję kontakt z Polską Federacją Sportu Zaprzęgowego Psów Ras Północnych w Łomiankach.

JAROSŁAW DOBAS,
prezes PFSZPRP

CZEGO SZUKAM W „P”?

Pragnę wystąpić w obronie Głowackiego, Wiedemanna i Keff. Dlaczego ich bronię? Bo są mądrzejsi ode mnie. Nie to, bym się poniżał albo nie znał własnej wartości – jednak gazety kupuję po to, by spotkać na ich stronicach ludzi mądrzejszych od siebie, od których się czegoś nauczę.

Do Wiedemanna długo się przekonywałem, nie zawsze rozumiałem, o co w tym „Dzienniku” chodzi. Ale Tarasewicz powiedział na łamach „P”: „Rozumieć sztukę to rozumieć, że nie wszystko jest do zrozumienia”. Chodzi przecież o pewien przekaz emocjonalny,

który trzeba czuć – a ja dziś rozumem i czuję. Jest „Dziennik” jedynym z pierwszych tekstów, które czytam – to proza życia – tak mi się wydaje, ale podoba mi się, i tyle.

Jeśli chodzi o Głowackiego, to bardzo go lubię (prawda, że wspańale argumentuję?). Podoba mi się jego styl pisma i „pokreścony”, inteligentny język, jakim się posługuje. Pisz on o sztukach, przedstawieniach, których nigdy nie widziałem i nie zobaczę, ale wiem, o co chodzi, o co jemu chodzi i rozumiem – to powinno go cieszyć. Między wierszami Głowacki ciekawie komentuje rzeczywistość – np. „żyjemy w epoce buraka, a z burakiem nikt nie wygrał” itp., i takich to „mądrości” wyszukuję, czytając jego „Dostawki”.

Co do Keff, to z połową się zgadzam, z połową nie – ale nie potrafię podnieść tak jednoznacznego głosu potępienia jak niektórzy. Pięć ciekawie, mądrze, jest dobrym obserwatorem – środki wyrazu, nie takie ostre, w przeciwieństwie do stosowanych przez fundamentalistyczną prasę narodowo-katolicką. A – przypuszczam – z grona jej czytelników rekrutują się ci, co krytykują. Potrzęsanie inteligentnie czytelnikiem nie zaszkodzi, tym bardziej że pani Keff walczy o tolerancję i szacunek do odmienności.

MICHAŁ RADOSŁAW,
Kalisz

MAM NADZIEJĘ...

Jestem stałą czytelniczką „P”. Wiadomość o zmianie siedziby redakcji i samej redakcji przyjąłem dosyć sceptycznie. Mam nadzieję, że szata graficzna, ogólny wygląd magazynu i przede wszystkim bogata i zawsze interesująca treść nie ulegną zmianom. „P” jest jedynym pismem na rynku, które – mówiąc o wszystkim – nie mówi jednocześnie o niczym (no, wiecie: co jest do wszystkiego, to jest do niczego), nie twierdzi, że tylko ono ma rację. Nie chciałabym, aby ulubiony tygodnik podzielił los „Jestem”, które było wartościową lekturą, dopóki wychodziło pod redakcją PCK.

CZYTELNICZKA,
gazschrer@i-lo.tarnow.pl

OD REDAKTORA:

Przepracowałem w „P” prawie 27 lat, uczestniczyłem w redagowaniu ponad 1000 numerów i kilkuset wydań tej rubryki. W „Listach” starałem się publikować często bardzo skrócone opinie, komentarze, polemiki i najciekawsze wypowiedzi Czytelników, nie unikając sprostowań naszych błędów, a czasami – ostrej krytyki „P”. Przepraszam – jeśli kogoś zawiodłem. Teraz żegnam Was – Drodzy Czytelnicy – z żalem.

Andrzej Ruchałowski

Wielce Szanowni
CZYTELNICZY I AUTORZY
tygodnika „PRZEKRÓJ”
oraz
równie Szanowna
RESZTA LUDZKOŚCI!



Od dnia 21 stycznia 2002 roku
listy, e-maile oraz telefony
prosimy kierować pod takie oto
ADRESY I NUMERY:

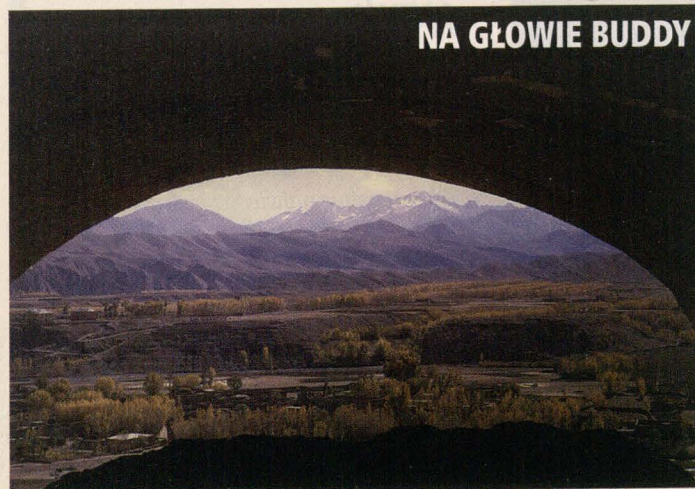
1. REDAKCJA TYGODNIKA „Przekrój”
ul. Wiejska 16, I piętro
00-490 WARSZAWA
2. redakcja.przekroj@edipresse.pl
3. (0-prefix-22) 627-23-06 do 08

Z wyrazami
nieustającego szacunku

REDAKCJA TYGODNIKA

PRZE
KRÓJ

NA GŁOWIE BUDDY



Zdjęcie posągu Buddy (zburzonego kilka miesięcy temu przez talibów), w afgańskim mieście Bamian, zamieszczone w świątecznym numerze „P” (2948-9), przywołało wiele wspomnień.

W roku 1965 wybraliśmy się z żoną na wyprawę samochodem z Kabulu do Bamianu i dalej do malowniczych jezior Band-i-Amir w centralnym Afganistanie. Pokonując przełęcz Szibar na wysokości 3285 m n.p.m. i zwiędając po drodze ruiny twierdzy „Czerwonego Miasta” zburzonego przez Dżyngis-chana w roku 1222, osiągamy Bamian. Wykutym w skałę stromym i wąskim korytarzem wydostajemy się na małą platformę na wysokości głowy kolosalnej statuy Buddy. Stąd jeden krok tylko, by stanąć na głowie posągu, 53 metry nad ziemią.

Załączam zdjęcie zrobione przeze mnie, gdy stałem na głowie posągu. Ciemna linia na dole zdjęcia to głowa Buddy. Powyżej nisza zdobiona freskami. Roztacza się widok na dolinę Bamianu i pasmo gór Koh-i-Baba na horyzoncie. Zdjęcie to nie było nigdzie dotychczas publikowane.

ADAM BERESTYŃSKI,
Laguna Beach, Kalifornia

„REDAKTOR WSZĘDOBYLSKI” — ANDRZEJ MLECZKO.





W Santiago del Estero w Argentynie policja użyła gumowych kul, by przekonać demonstrantów domagających się wypłaty należnych im pieniędzy, że państwo jest bankrutem.



Pożegnalne zdjęcie US Marines przed odlotem z bazy w Kandaharze. Zastąpią ich kolejne amerykańskie oddziały, ponieważ na spokój w Afganistanie trzeba jeszcze poczekać.



Tysiące pielęgniarek z różnych regionów Francji demonstrowało na ulicach Paryża. Problem ten sam co w Polsce, tylko że w innej skali.

NIEWYGODNY SOJUSZNIK

Arabia Saudyjska, najwierniejszy sojusznik Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie, zamierza poprosić Amerykanów o wycofanie wojsk z Półwyspu Arabskiego. Cięży jej bowiem opinia „marionetki imperialistów”, co pośrednio uczyniło terrorystę z Osamy bin Ladena. US Army wyładowała w 1991 roku w Arabii Saudyjskiej, by bronić jej przed irackimi wojskami. I tak już zostało.

IMIGRANCY ZA GRANICĄ

Rząd Danii, tolerancyjnej do tej pory wobec cudzoziemców, przedstawił nowy pakiet ustaw mających ograniczyć ich napływ. Realizuje w ten sposób obietnice przedwyborcze. Nowe ustawy są zdecydowanie antyimigracyjne, chociaż dalekie od sugestii skrajnej prawicy, aby nielegalnych azylantów deportować i zrzucić z samolotów „na spadochronach lub bez”.

KTO DA WIĘCEJ

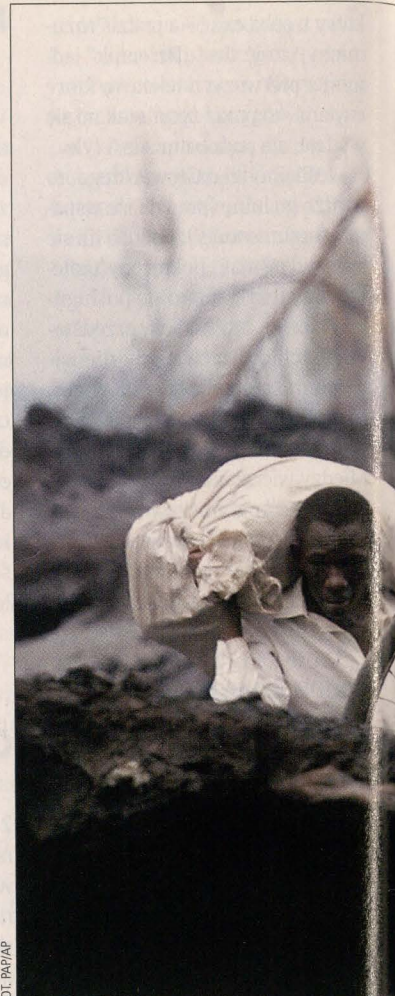
Premier Afganistanu, Hamid Karzaj, odwiedził Arabię Saudyjską, skąd wrócił z czekiem na 20 mln dolarów. Nowy rząd afgański gotów jest zapomnieć, kogo Saudyjczycy wspierali wcześniej, jeśli teraz okażą się równie hojni jak dla talibów. Pod kreską znalazł się natomiast wrogo nastawiony do Amerykanów Iran, bez którego pomocy dawna afgańska opozycja, która przejęła władzę, nie poradziłaby sobie z talibami.

STRACH W CHINACH

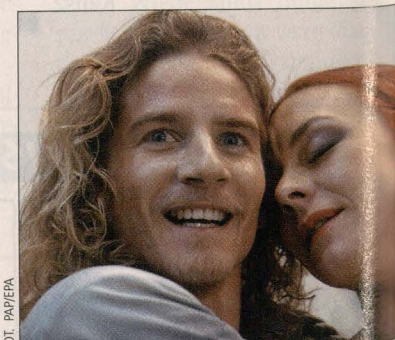
Panika ogarnęła chińskie Tianjin. Mieszkańcy są przekonani, że po ulicach biegają chorzy na AIDS, wstrzykując zakażoną krew przechodniom. Eksperci mówią o 600 tys. przypadków zarażenia wirusem HIV – w Chinach AIDS przestało być tematem zakazanym, a ONZ przewiduje, że w 2010 roku będzie tam 10 milionów chorych.

CZERWONA LINIA

Armia izraelska wysadziła w powietrze siedzibę palestyńskiego radia i telewizji w Ramallah. Był to kolejny odwet za zamach terrorystyczny w Haderze. Przywódca Palestyńczyków, Jaser Arafat, po raz kolejny poprosił wspólnotę międzynarodową o interwencję.



FOT. PAP/AP



FOT. PAP/AP

Francuzi Marina Anissina i Gwendal Peizerat zostali w Lozannie mistrzami Europy w łańcach na lodzie. Jeszcze kilka lat temu Anissina występowała w barwach rosyjskich.

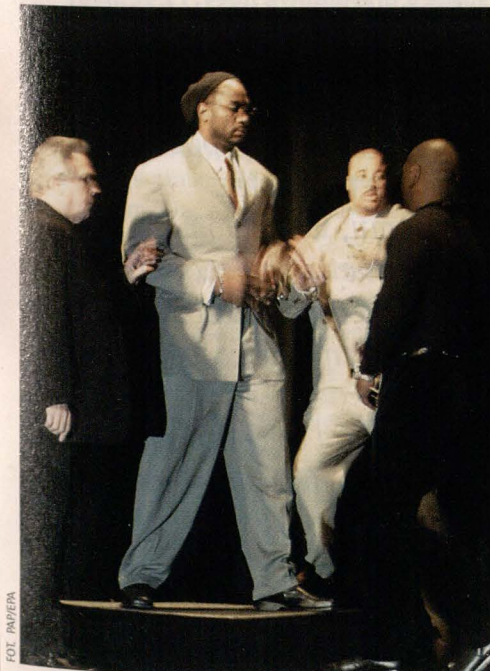
MYŚL TYGODNIA

Miller sieje defetyzm.

Władysław Frasyniuk, lider Unii Wolności, o poglądach premiera na stan polskiej gospodarki.



Po erupcji wulkanu Nyiragongo lava zniszczyła ponad 40 proc. miasta Goma w Demokratycznej Republice Kongo. Mimo ostrzeżeń, że wulkan jeszcze się nie uspokoił, mieszkańcy, przedzierając się przez strumienie zastygłej lawy, wracają do swoich domów.



FOT. PAP/AP

Do poważnej różnicy zdań i wymiany ciosów doszło na wspólnej konferencji prasowej mistrza świata wagi ciężkiej, Lennox'a Lewisa (drugi z lewej) i Mike'a Tysona.



FOT. MACIEJ MACIEJŃSKI/REPORTER

Blokady z ulic przenoszą się do Sejmu. W miniony czwartek posłowie Samoobrony zablokowali dostęp do sejmowej mównicy, z której miał paść wniosek o pozbawienie Andrzeja Leppera immunitetu. Po negocjacjach z marszałkiem Borowskim Lepper i jego ludzie opuścili mównicę. Do zaplanowanej debaty jednak nie doszło. Nie wystąpił bowiem poseł SLD Witold Firał, który miał wnioskować o pozbawienie Leppera immunitetu. – Odnoszę wrażenie, że poseł Firał nadużył alkoholu – stwierdził marszałek Marek Borowski po spotkaniu z nim. Dzień później Andrzej Lepper przyniósł na obrady parlamentu mikrofon z własnym nagłośnieniem, udowadniając, że mównica nie jest już w Sejmie niezbędna.



FOT. PAP/AP

Po raz pierwszy od ponad sześciu miesięcy afgańscy urzędnicy państwowi otrzymali pobory. Nowe pieniądze nazywają się afgani. W tle – pracownik banku centralnego.



FOT. RADEK DZIENNIKARZ/AP

Dariusz Szmyczka, prezydent Aleksander Kwaśniewski i Józef Oleksy podczas spotkania w Belwederze z Grupą Refleksyjną. Refleksje dotyczyć mają Unii Europejskiej.

Kamyk rodzi lawinę

Szok: prokuratura nie wyklucza, że lekarze i sanitariusze łódzkiego pogotowia handlują zwłokami, być może nawet „pomagają” pacjentom stać się poszukiwanym przez zakłady pogrzebowe „towarem”. Afera, którą ujawniła „Gazeta Wyborcza” i Radio Łódź, początkowo dotyczyła tylko Łodzi. Teraz zatacza coraz szersze kręgi. Według policji handel zwłokami może być praktykowany w całym kraju. Ministerstwo Zdrowia nie wyklucza, że proceder uprawiany jest również w szpitalach. „Nie można wykluczyć, że są także Mengele, Potasiki czy Skórołapki, dla których bożkiem jest pieniądz, a Kodeks Etyki Lekarskiej i przysięga Hipokratesa to jakieś starożytne brednie” – powiedział „GW” prof. Mirosław Nesterowicz, specjalista prawa medycznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Oto pełny tekst przysięgi Hipokratesa, którą składają wszyscy lekarze w Polsce:

Przysięgam na Apollona lekarza, na Asklepiosa, Hygieję i Panaceję oraz na wszystkich bogów i boginie, biorąc ich na świadków, że wedle mej możliwości i rozeznania będę dochowywać tej przysięgi i tych zobowiązań.

Mistrza mego w tej sztuce będę szanować na równi z rodzicami, będę się dzielić z nim mieniem i na żądanie zaspokajając jego potrzeby: synów jego będę uważać za swoich braci i będę uczyć ich swej sztuki, gdyby zapragnęli się w niej kształcić, bez wynagrodzenia i żadnego zobowiązania z ich strony; prawideł, wykładów i całej pozostałej nauki będę udzielać swym synom, synom swego mistrza oraz uczniom, wpisanym i związanym prawem lekarskim, poza tym nikomu innemu. Będę stosować zabiegi lecznicze wedle mych możliwości i rozeznania ku pożytkowi chorych, broniąc ich od uszczerbku i krzywdy.

Nikomui, nawet na żądanie, nie dam śmiercionośnej trucizny ani nikomu nie będę jej doradzać, podobnie też nie dam nigdy niewieście środka poronnego. W czystości i niewinności zachowam życie swoje i sztukę swoją.

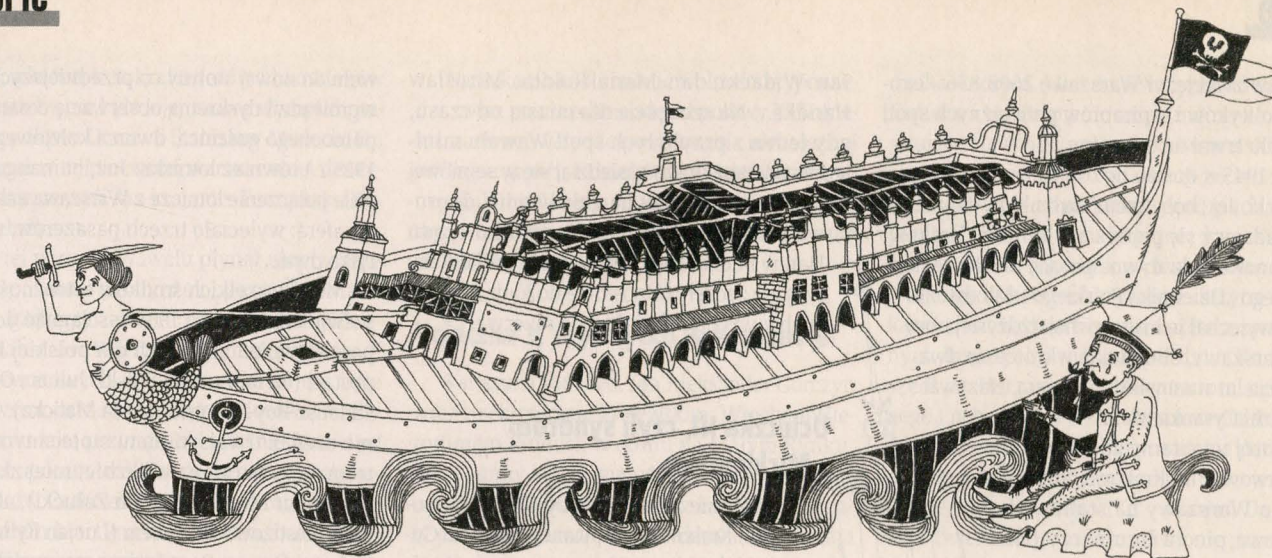
Nie będę operować chorych na kamicę, pozostawiając to ludziom zawodowo stosującym ten zabieg.

Do jakiegokolwiek wejdę domu, wejdę doń dla pożytku chorych, nie po to, żeby świadomie wyrządzać krzywdę lub szkodzić w inny sposób, wolny od pożądań zmysłowych tak wobec niewiast, jak i mężczyzn, wobec wolnych i niewolników.

Cokolwiek bym podczas leczenia czy poza nim z życia ludzkiego ujrzał czy usłyszał, czego nie należy na zewnątrz rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy.

Jeżeli dochowam tej przysięgi i nie złamię jej, obym osiągnął pomyślność w życiu i pełnieniu tej sztuki, ciesząc się uznaniem ludzi po wszystkie czasy; jeżeli ją przekroczę i złamię, niech mnie los przeciwny dotknie.

Tekst przysięgi za Naczelną Izbą Lekarską



TEKST LESZEK MAZAN • Rysunki Ignacy Czwartos

O TYCH, CO DALI DYLA

Bolesław Krzywousty, uciekając z Wawelu na Mazowsze, wybrał sobie na siedzibę Płock tylko dlatego, że Warszawy jeszcze nie było. Kolejni uciekinierzy zmierzali po łatwy chleb już prosto w okolice Pałacu Kultury...

Ucieczka I, czyli królewskie kaprysy

W zamglony poranek 8 marca 1596 r. król Zygmunt III Waza stał u stóp Wawelu i patrzył na tratwy, którymi odpływała do Warszawy królowa, fraucymer i wszystko, co pozostało z pożaru zamku. Od Wisły wiał zimny, gnilny wiatr, mżyło, a świat wydawał się ponury i zły.

– Może i ja powinienem uciec z tego cholerne klimatu? – deliberował głośno Zygmunt, otulając się szczelniej płaszczem przed ciągnącą od Smoczej Jamy wilgocią.

– Niemożliwe, Najjaśniejszy Panie – zasemrała Wielki Kanclerz. – I na Litwie, i w Koronie gotowi byłiby dworować sobie, żeś zamienił Kraków na tę... jakże jej... Warszawę, bo ci medyk wiejskie powietrze zalecił.

– Głupi dowcip – wzruszył ramionami król. – Głupi – zgodził się kanclerz – głupi i stary, przerobiony z faccji o Aleksandrze Jagiellończyku, który ciągiem siedział w Wilnie. Ale ludzie mogą uwierzyć.

– A właśnie, że się przeniosę! – zaperzył się Waza. – W obecnej sytuacji geopolitycznej i tak pies z kulawą nogą nie zwróci na to uwagi...

Kazał siodłać konie i odjechał z Wawelu w kilkudniową podróż północnym traktem przez Rynek i Kleparz, w kierunku Gór Świętokrzyskich i Mazowsza, gdzie w okolicach Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina zbierało się już gremium, którego Zygmunt z duszy, serca – jak każdy król Polski – serdecznie nie cierpiał: Sejm.

Ucieczki Wazy nie zauważył nikt. No, może z wyjątkiem Gminy Żydowskiej, albowiem młodym Izraelitkom, z powodu przyzwoitości, wolno było się kąpać w Wiśle pod Wawelem wyłącznie pod nieobecność króla. Mieszczanie spod Sukiennic wzruszali ramionami: – Wyjechał? Dziwne, przecież byliśmy tacy lojalni... Ale Bóg z nim. Może to i lepiej, bliżej będzie miał do tej swojej Szwecji, a nam da święty spokój...

Na ucieczkę zareagowali też akredytowani przy polskim tronie dyplomaci, śląc w świat raporty, iż z chwilą przeprowadzki dworu z Krakowa do Warszawy natychmiast w obu miastach podniósł się poziom inteligencji. Płacącemu z niespodziewanego szczęścia burmistrzowi Warszawy król tłumaczył, iż czyni to dla dobra swych mazowieckich poddanych i że w przyszłości, jeśli zajdzie potrzeba wyrównania po-

ziomów, natychmiast kogoś z Krakowa pod Pałac Kultury przeniesie lub spowoduje, że ów przeniesie się sam.

Ucieczka II, czyli zdrada legunów

Mimo przenosin dworu na Mazowsze Warszawa była jedynie miastem rezydencjonalnym; stolicą aż do rozbiorów formalnie pozostał Kraków. Tu też po odzyskaniu niepodległości miały się mieścić siedziby władz centralnych, dla których u stóp i na Wawelu Wyspiański zaprojektował siedzibę sejmu i senatu, plac igrzysk, gmachy rządowe itp. Krakowska uczelnia wojskowa, zakonspirowana pod nazwą Akademii Sztuk Pięknych, intensywnie kształciła zastępy marszałków i generałów (Rydz-Śmigły, Żamorski, Zaruski, Jarnuszkiewicz etc.) dla przyszłego Ministerstwa Obrony Narodowej, które, podobnie jak Sztab Generalny, miało znaleźć siedzibę w cieniu Sukiennic.

W sierpniu 1914 r. władze Krakowa popełniły niewybaczalny błąd, zgadzając się na wyjazd z Oleandrów w stronę Kielc Pierwszej Kadrowej. Jak wyszli, tak przepadli, odnajdując się dopiero w Warszawie. Najpierw tłumaczyli mętnie, że muszą walczyć z bolszewikiem. Potem, że stąd bliżej do Europy, a w ogóle to tutaj wszystko jest taniej. Kraków nie naciskał na powrót, licząc na opamiętanie (jego uniwersytet dostarczył bowiem za frico wielu członków do legunów, ergo do nowej ekipy rządowej). By jednak dostojnicy nie zapomnieli, skąd ich ród, „Ilustrowany Kurier Codzienny” przeprowadził w 1922 r. ankietę: które miasto winno być stolicą Polski? Ale mimo że

Kraków zwyciężył Warszawę 2608:856 – exodus polityków i aspirantów politycznych spod Wawelu trwał aż do wojny.

W 1945 r. doszło do ostatniej udanej próby ucieczki. Jej „bohaterem” był młody, dobrze zapowiadający się pepeesiak, któremu Kraków proponował lukratywną posadę redaktora naczelnego „Dziennika Polskiego”. Młody człowiek wyjechał jednak pewnej dżdżystej nocy do Warszawy, obejmując wkrótce na dwadzieścia lat stanowisko premiera. Nazywał się Józef Cyrankiewicz.

Ustrój totalitarny zdołał jeszcze wyegzekwować od Krakowa oddelegowanie do Warszawy na stanowiska rządowe pięciu luminary polskiej nauki i kultury (profesorowie Wiktor Zin, Roman Ney, Bolesław Faron, Aleksander Krawczuk, Jan Janowski), po czym padł. W latach następnych już z własnej, nieprzymuszonej woli startowali pod Pałac Kultury i Nauki – pociągami, samolotem, samochodem – różni politycy: Krzysztof Kozłowski,

Jan Widacki, Jan Maria Rokita, Mirosław Handke... Na szczęście dla miasta od czasu, gdy jeden z przybyłych spod Wawelu ministrów (Marian Dyka) zasiadł się w sejmowej toalecie i nie zdążył na głosowanie, doprowadzając tym samym do upadku rządu Hanny Suchockiej, warszawskie ośrodki decyzyjne zaczęły odnosić się do kadr krakowskich z wyczuwalną do dziś rezerwą.

Ucieczka III, czyli syndrom Mickiewicza

– Czy nie zdecydowałby się pan na powrót do Krakowa? – zapytano niedawno Gustawa Holoubka.

Mistrz przełknął ze wzruszeniem ślinę. – Być może, być może, chociaż... Kiedyś, przed wojną, ktoś spytał stuletnią, urodzoną w Zaosiu mieszkankę Wileńszczyzny o Mickiewicza. Odpowiedziała, że był taki, ale wyjechał i słuch o nim zaginął. Więc ją tego powrotu pod Wawel też się zwyczajnie, po ludzku boję...

Powroty bywają trudne, ucieczki łatwiejsze. Wprawdzie dyktando założonej w 1558 r. Poczty Polskiej, gnając z Krakowa do Wilna, omijały Warszawę, to już w 1838 r. karetką pocztowa przebiegała na przebiegu trasy Wawel – Pałac Kultury i Nauki tylko 22 godz. 17 min. Wypadki wykupywania „one way ticket” stawały się tak częste, że po 1918 r. Kraków, zaniepokojony poważnie od-

wem do nowej stolicy co przedniejszych kadr, wprowadził dyskretną obserwację cesarskiego, północnego gościńca, dworca kolejowego i (od 1923 r.) również lotniska. Już lot inaugurujący stałe połączenie lotnicze z Warszawą zakończył się aferą: wyleciało trzech pasażerów, wróciło tylko dwu...

Mimo wszelkich środków ostrożności Warszawie udało się do 1939 r. ściągnąć do siebie parę reprezentatywnych dla polskiej kultury postaci (m. in. Ludwik Solski, Juliusz Osterwa, Tadeusz Boy-Żeleński, Maria Malicka). Po wojnie drenaż trwał: wabieni stołecznym blich-trem, gruszkami na wierzbie, mieszkaniem (Sławomir Mrożek, Marian Załucki), atrakcyjnym prestiżowo mariażem (Lucjan Kydryński), łaskami Dworu Panującego etc., uciekali tak szybko, że Kraków z najwyższym tylko wysiłkiem zdołał wykształcać i promować nowe talenty. Na Mazowsze uciekli – wydawałoby się – najwerniejsi: chłopak ze Zwierzyńca (w trzy tygodnie po ucieczce spod Wawelu pozbył się podmiejskiego akcentu) Gustaw Holoubek; urodzony w Krakowie przy ul. Mazowieckiej (dziś twierdzi, że był to przypadek) Stefan Friedman (najwspanialsze warszawskie „I” przedniojęzykowszowe); Teresa Budzisz-Krzyżanowska (w Krakowie zagrała jako pierwsza kobieta w Polsce Hamleta, w Warszawie gra dotąd wyłącznie role żeńskie); Anna Seniuk, którą nieopatrnie wybrano kiedyś miss krakowskich juvenaliów...

Żyją na obczyźnie, żyją nieźle, ale – jak można przypuszczać – w ciągłym strachu, by nie spotkał ich los Adama Mickiewicza.

Ucieczka IV, czyli problem szwagra

W roku 1916, w lasach pod Maniewiczami na Wołyniu, kompania sztabowa Legionów zaczęła z nudów kopać piłkę. Ścisłej: służący w niej piłkarze Cracovii, Wisły, Pogoni i Czarnych postanowili nauczyć tej czynności żołnierzy z Warszawy. I powstała słynna dziś Legia, która oficjalnie wie, swój początek od legionów rzymskich

(tak!), a której bez krakauerów i lwowiaków po prostu by nie było – jej nazwę wymyślił prawoskrzydłowy Cracovii Stanisław Mielech. On też zagrał w tej pierwszej warszawskiej drużynie, a towarzyszył mu krajanie: Poznański, Kogut, Kałuża...

Od tej pory od Wawelu płynął nieprzerwanie na północ strumyczek „pasów”, „wiślaków”, „garbarzy” etc., etc. Wygłodniała piłkarskich talentów Warszawa nie żałowała środków finansowych, obietnic awansu itp., byle tylko wzmocnić swe drużyny. Pierwszym złapanym na taką przynętę był właśnie Stanisław Mielech, potem trójka reprezentacyjnych napastników Cracovii (Łańko, Nawrot, Ciszewski), potem Martyna i Kisielewski, i całe mnóstwo piłkarskiej drobny...

Który tam nie dał się nabrać na lukratywnie obietnice, tego po prostu wcielano do woja (Legia była klubem wojskowym). Zwyczaj ten – prosty i skuteczny – stosowano również po wojnie drugiej. Tak zmienił barwy klubowe świetny bramkarz Garbarni Tomasz Stefaniszyn. Ha! Gdy już w 1952 r. cieszył się na powrót do Krakowa, UB aresztowało mu szwagra, a nasz bramkarz dostał propozycję nie do odrzucenia: albo zostanie w Warszawie w klubie MSW Gwardia, albo o szwagra będzie mógł mówić wyłącznie w czasie przeszłym.

No więc chłop został. I bronił. Jeszcze jak!

Wiśle w 1970 r. wydarto tak do Warszawy, do Gwardii, jednego z najlepszych prawych obrońców wszech czasów – Antoniego Szymanowskiego...

Już w 1911 r. Kraków – jako najbardziej doświadczony sportowo i spokojny geopolitycznie – wzięła na siebie wysiłek stworzenia Związku Polskiego Piłki Nożnej. Organizacja ta, przekształcona w 1919 r. w PZPN, słusznie miała mieć siedzibę w Krakowie. I miała, aliiści po ośmiu latach w wyniku straszliwych intryg stołecznych działaczy, PZPN przeprowadził się do Warszawy... Wprawdzie w 1945 r. udało się ściągnąć go znowu na ulicę Grodzką, ale jeno na 15 miesięcy, gdy znów złowiesz czy świst lokomotywy obwieścił przymusową przeprowadzkę na Mazowsze.

Narzekania na tłumienie wolności wypowiedzi, coraz powszechniejsze od połowy XVII wieku, zaowocowały ideą wydawania niezależnej od Tronu gazety. Gdzie? Oczywiście w tradycyjnej siedzibie Wolnej Myśli, w Krakowie. Prasę wydawano tam już za Jagiellonów i nigdy nie pozwoliła założyć sobie uzdy.

Ucieczka V, czyli tylko w Krakowie!

3 stycznia 1661 red. Jan Aleksander Górczyn wraz z sekretarzem królewskim, Włochem Hieronimem Pinocci, w domu na Małym Rynku, obok Panny Marii, wypuścili w świat pierwszy numer tygodnika „Merkuriusz Polski”. Przez cały czas pozostawania w Krakowie (do 5 maja 1661) pismo (łącznie 27 numerów, w tym wydania ekstraordinaryjne, czyli nadzwyczajne) ukazywało się regularnie co tydzień.

Cóż to było za pismo! Kraków zaczytywał je na strzępy, a sam król Jan Kazimierz mawiał podobno, iż trafia ono „prosto w usta narzeczonej” – tak mądrze, a równocześnie atrakcyjnie prezentowało sytuację polityczną w kraju, panoramę spraw europejskich, przyczyny kłopotów gospodarczych, warcholstwo Sejmu itp.

Właśnie zbliżająca się sesja parlamentu spowodowała, iż Górczyn, znęcony dodatkowo nocnymi atrakcjami stolicy i kontaktami z dworem, pieszcząc w sercu nadzieję na zwiększenie nakładu, przeniósł swą redakcję i drukarnię do Warszawy. O, święta naiwności! Ostatnią rzeczą, po którą kiedykolwiek sięgnęliby polscy posłowie i warszawscy biznesmeni, były gazety... „Merkuriusz” padł prawie natychmiast, padł śmiercią zadłużonych, 22 lipca 1661 r. Los Włocha Pinocci jest nieznany; Jan Aleksander Górczyn, nie zdobywszy w Warszawie ani jednej reklamy, ani jednej prenumeraty, uciekając przed wierzycielami i ludzkim szyderstwem, zmarł w nędzy. Jego ostatnie słowa brzmiały: – Tylko w Krakowie!...

Warszawa jednak, jako miasto coraz większe, a w końcu zupełnie duże, gazetę mieć musiała. Pisma powstawały więc gęsto i równie gęsto i szybko padały jak muchy. Kraków przyglądał się temu zjawisku tyleż ze współczuciem co z rezerwą, redagując spokojnie dla potrzeb własnych

periodyki, których tytuły mówiły same za siebie („Zbiór Tygodniowy Wiadomości Uczonych” itp.). W tej sytuacji w 1861 r. Warszawa nakłoniła (złoto) do wyjazdu z Krakowa redaktora i wydawcę Władysława Lu-

dwika Anczyca. Miał on stworzyć pod Pałacem Kultury i Nauki pismo zupełnie nowe, oddegnujące się świadomie od podwawelskich nazwisk i tradycji. Anczyk kiwnął ze zrozumieniem głową i już po kilku tygodniach na Zapiecku i na Freta, na Gnojnej i na Kanonii sprzedawano tygodnik o chwytliwym tytule „Kmiotek” – komunikatywny, z dużymi obrazkami, obfitujący w historie wzięte z życia różnych bogatych i mądrych ludzi. „Kmiotek” szedł jak burza, aż do dnia powrotu stęsknionego i nękanego wyrzutami sumienia Anczyca do Krakowa, po czym bezpowrotnie padł.

Właściciel największego przedwojennego koncernu prasowego IKC – Marian Dąbrowski – twierdził, iż do Warszawy nie przeniesie się nigdy („Musiałbym wpiąć oszaleć”) – nie tylko z powodów estetycznych, ale i z uwagi na chęć zwiększenia nakładu swych pism. Podobne zasady wyznawał stary krakowski „Czas”. W 1935 r., zaniepokojony rosnącym pod Wawelem napięciem prądów jakobińskich, przeniósł się jednak do Warszawy, gdzie bardzo cienko prządz aż do wybuchu wojny. Na maszynach rotograwiurów IKC-owskiego tygodnika „Światowid” po wojnie drugiej drukował się najstarszy obecnie polski tygodnik ilustrowany „Przekrój”. Jego założyciel i wieloletni redaktor naczelny Marian Eile (z pochodzenia warszawiak) każdą wzmiankę o ewentualnych przenosinach pisma do Warszawy interpretował jako stepienie instynktu samozachowawczego.

To tyle.

Reszta jest milczeniem.

IN MEMORIAM

Nie udało się przeniesieć w 1927 r. do Warszawy, na wież tamtejszego Ratusza, hejnału mariackiego. Uratował go Bolesław Prus, który w 1877 r. poinformował prasę warszawską, iż w Krakowie w hotelu przy Rynku nie można spać, „bo jakiś wariat co godzinę gra z wieży na trąbie”. Przeciw próbom aneksji hejnału zapotestowali więc in gremio pół wieku później warszawscy hotelarze.

Gdy prof. Lorenc chciał wypożyczyć z Collegium Maius do Warszawy w 1959 r. przesławny Globus Jagielloński, prof. Estreicher zażądał pisemnych gwarancji premiera. Globus do dziś pozostał w Krakowie.

Gdy w latach siedemdziesiątych prasa warszawska postulowała przekazanie na stałe do Warszawy arrasów (rzekomo niszczonych przez krakowskie zatrute powietrze) – wokół Wawelu dzień i noc krążyły nieumundurowane patrole MO. Arrasy ocalały.

Nie wszystkich i nie wszystko da się wywieźć na Mazowsze.

Chociaż, Bogiem a prawdą, czasem szkoda.

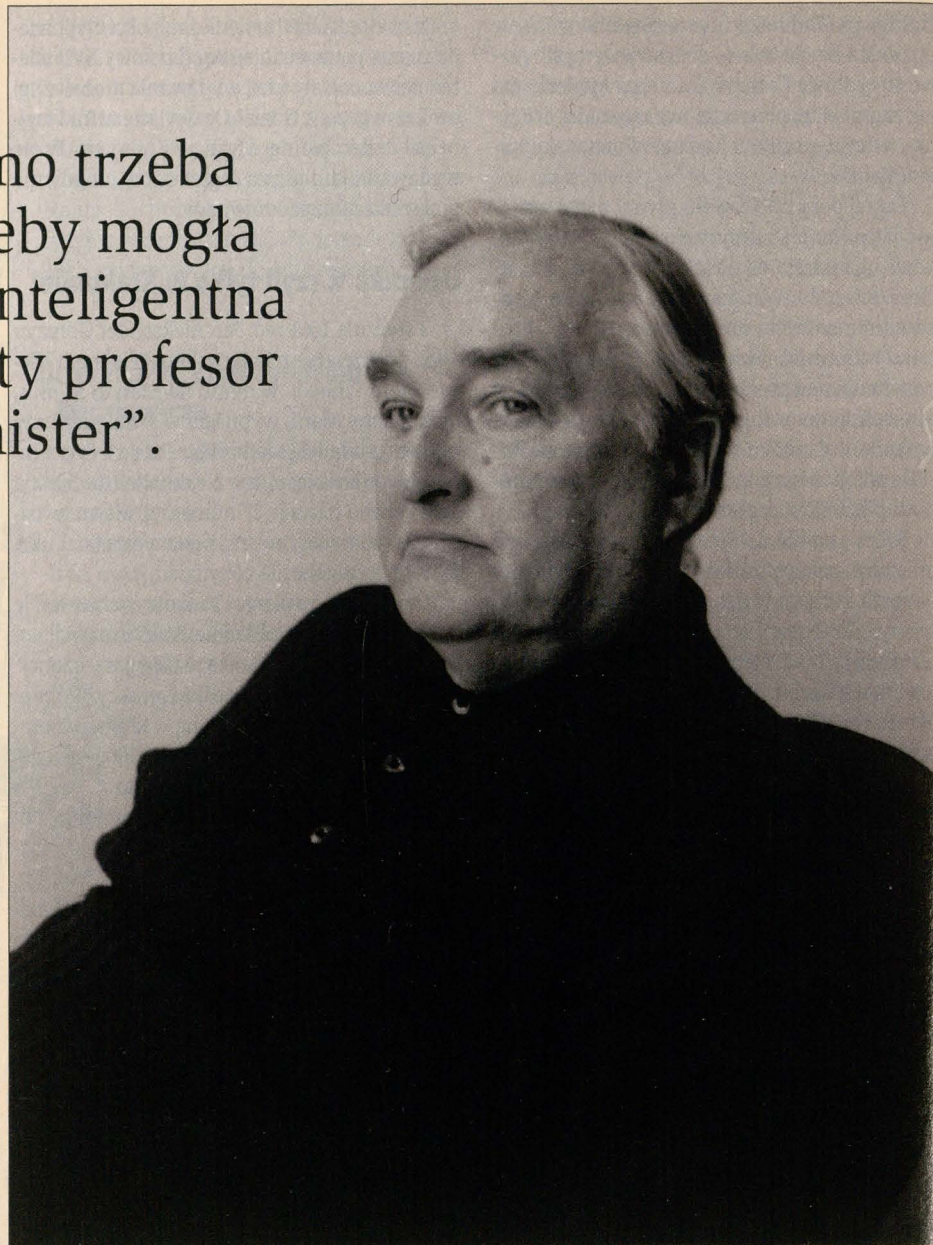
LESZEK MAZAN



Eile mawiał: „Pismo trzeba robić lekko, tak żeby mogła je czytać bardzo inteligentna sprzątaczką, prosty profesor i prymitywny minister”.

Jest mi smutno, ale płakać nie będę

z LUDWIKIEM JERZYM KERNEM
rozmawia Kazimierz Targosz



Kiedy w 1948 roku Gałczyński wprowadził mnie do „P”, Eile powiedział: „Dobrze, niech zostanie na próbę”.

Panie Ludwiku, pracujemy w jednym pokoju i zawsze, kiedy przychodzi pan do redakcji, a robi to pan codziennie od blisko 54 lat, mam miłe uczucie, że oto jest jednak coś stałego na tym świecie – Ludwik Jerzy Kern i „Przekrój”. Ma pan swój styl, należy do ginącej już generacji ludzi głęboko zakorzenionych w kulturze, hołdujących sprawdzonym wartościom, patrzących na świat z uśmiechem pobłażania. To się już dzisiaj rzadko zdarza.

Rzeczywiście, bo trzeba być wariatem, żeby w dzisiejszych czasach, kiedy faceci w ciągu paru tygodni zmieniają pracę jak rękawiczki, siedzieć ponad pół wieku w jednej firmie. Ja jestem upośledzony w tym sensie, że mieszkam tylko w trzech miastach – w Łodzi, do wybuchu wojny, w Warszawie – przez okupację, i w Krakowie po wojnie. Miałem tylko dwie żony i prawdę mówiąc, jedną posadę. Wszystko się u mnie ograniczało do małych liczb. Strasznie dzisiaj trudno o takich, którzy chcą

grać w jednym tylko klubie. Przywiązanie do barw klubowych jest już sprawą zupełnie nieznaną nie tylko w sporcie, ale np. w polityce. Znam takich polityków, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu lat byli w ośmiu partiach.

Nigdy pan nie żałował tego, że związał się z tym jedynym klubem?

Nigdy, przeciwnie – mogę się uważać za szczęściarza. Poznałem niesłychanie interesujących ludzi. To było coś takiego, jakby Rockefeller wpuścił mnie do swojego interesu na fifty-fifty i nie żądał ode mnie żadnego wkładu kapitału. Kiedy w 1948 roku wprowadził mnie do „Przekroju” Gałczyński, Eile powiedział: „Dobrze, niech zostanie na próbę”. Ja się w ogóle nie zapytałem, co ja z tego będę miał, bo dostać się do „Przekroju” to było marzenie. Początkowo wegetowałem, podobnie jak większość, na jakimś marnym ryczałcie, bo w „Przekroju” ni-

gdy nie zarabiał się dużych pieniędzy, mimo że wychodził w półmilionowym nakładzie, a potem nawet przekroczył siedemset tysięcy.

W książce „Moje Abecadłowo” napisał pan, że „Przekrój” był dla pana najdoskonalszą Akademią Multimedialną na świecie, w której wykładali wybitni specjaliści.

Tak, ja skończyłem wyższe studia w „Przekroju”. Dzisiaj jest to już niemożliwe, bo nie ma takich wykładowców. Najbardziej zabawne i paradoksalne jest to, że „Przekrój” założyli warszawiacy. Z Krakowa była kadra grafików: Janusz Maria Brzeski i Zygmunt Strychalski, którzy pracowali przed wojną w koncernie Mariana Dąbrowskiego, wydającego kolorowe pisma. Ale główna kadra naukowa to byli warszawiacy.

Marian Eile – rektor tej uczelni, prowadził zajęcia z tygodnikarstwa, malarstwa i jako wybitny sceno-

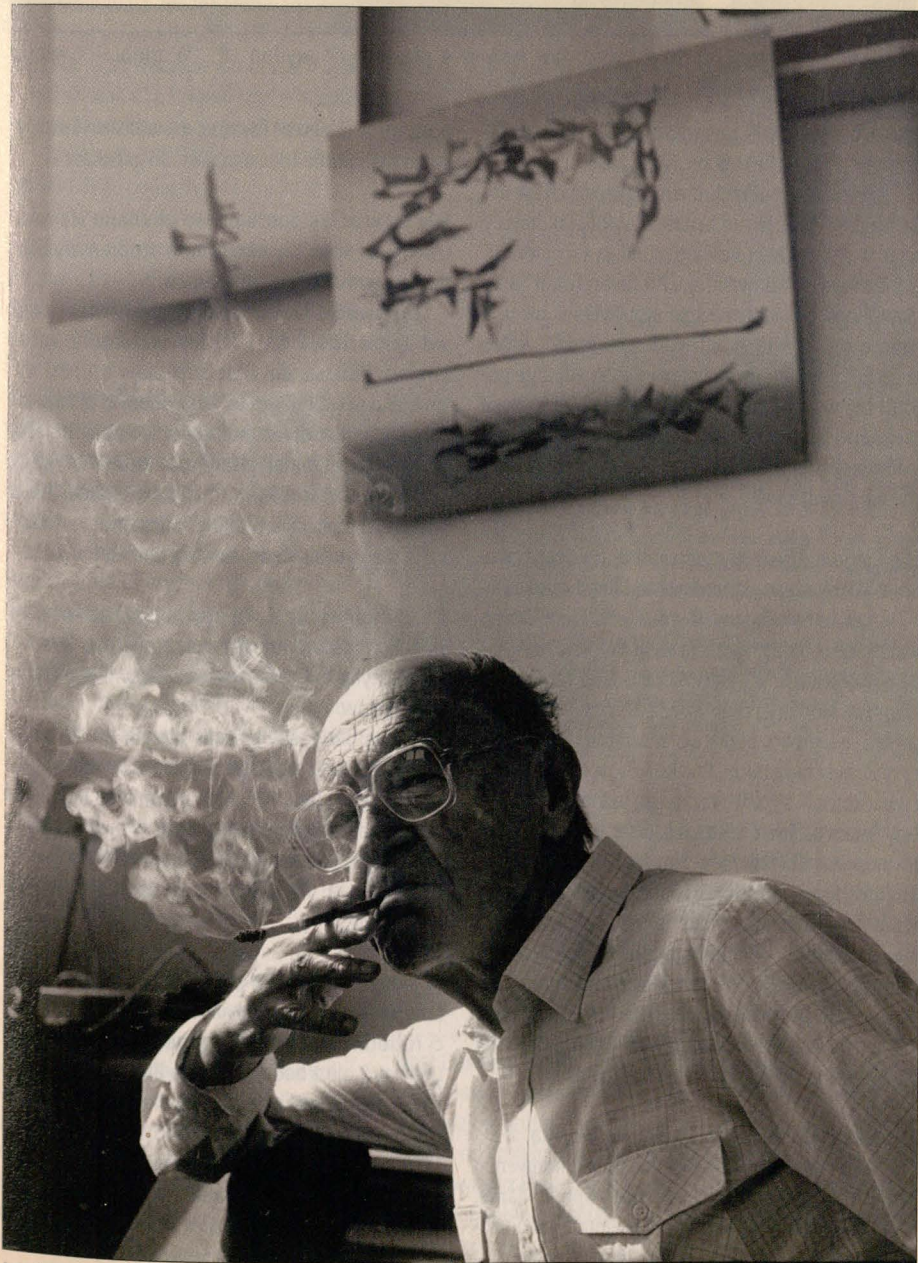
graf z zagadnień dekoracyjnych. Przed wojną był w najśłynniejszym polskim piśmie literackim wszech czasów – „Wiadomościach Literackich”, gdzie poznał wybitnych autorów, których potem sprowadził do „Przekroju”. Jerzy Waldorff – poznański warszawiak, profesor nadzwyczajny, wyjaśniał tajemnicę budowy felietonu, a także sekrety Polihymnii, Antoni Uniechowski – privat docent, prowadził zajęcia z historii sztuki, ze szczególnym uwzględnieniem stylów i epok, które osobiście przeżył, Leopold Tyrmand (wiceprezes tajnej partii liberałów, której przewodził Stefan Kisielewski-Kisiel) z godnym podziwu uporem, wpajał mi uroki jazzu, jednocześnie podkreślając nieuroki tego, co nas otaczało. Jan Błński (podobnie jak krakowianin Henryk Markiewicz) wykladał literaturę polską z takim zapałem, że zaprowadził to jego i Markiewicza w końcu do najwyższych uniwersyteckich godności.

No i oczywiście Gałczyński – dziekan arcywydziału poezji, uczył żonglerki, czyli jak za pomocą

słów robić magiczne sztuki. Paradoks w tym, że ci warszawiacy dramatycznie bronili się przeciwko przeniesieniu „Przekroju” do Warszawy. Eile wychodził ze słusznego założenia, że w Warszawie będzie miał o wiele więcej ingerencji w redagowanie pisma. I mimo że były naciski władz, które lubiły „Przekrój” pod względem finansowym, bo przynosił wielkie dochody, ale nie kochały go ideologicznie, bo nie odpowiadała im jego „drobnomieszczaństwo”, „Przekrój” pozostał w Krakowie. Był traktowany trochę jak dziewczyna lekkich obyczajów, która przynosi facetowi do domu pieniądze z miasta, ale jak on idzie do teatru, to jej ze sobą nie zabiera.

Którzy z profesorów „Przekroju” byli najwięksi?

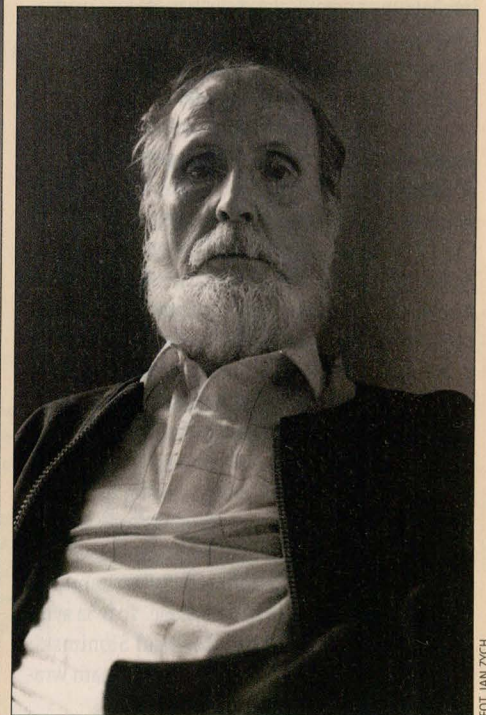
Jeśli idzie o skalę talentu i tego, co mnie najbardziej interesuje, to niewątpliwie Gałczyński. On był po prostu wielkim poetą, magikiem. Poezja według mnie powinna zachwycać, nie tylko w sensie este-



Marian Eile – jako redaktor – prowadził zajęcia z tygodnikarstwa, malarstwa i zagadnień dekoracyjnych.



Gałczyński był dziekanem arcywydziału poezji.



Daniel Mróz stworzył niepowtarzalną szkołę graficzną.

tycznym, ale głównie jako pewnego rodzaju majstersztyk, podobnie jak zachwyca to, co robią magicy, a co przekracza możliwości zwykłego człowieka. On robił cuda za pomocą słów, a w życiu był jak ów Chłopiec z deszczu występujący w „Dwóch teatrach” Jerzego Szaniawskiego; piękna, poetycka postać, która zjawia się nie wiadomo skąd, jakby przysłała z innego świata. Robił krok ze swojej poetyckiej przestrzeni w naszą rzeczywistość. Miał niski, ciepły głos, o aksamitnej barwie. Pamiętam go jako człowieka niezwykle życzliwego ludziom.

A która z postaci zasługuje na miano najbardziej malowniczej?

Większość była malownicza. Taki Waldorff to był do końca typ, typulo, o wyraźnym, niespotykanym stylu. A Tonio Uniechowski – człowiek fin-desièclowy, w jego sylwetce było coś z wytwornego bawidamka, dandysa, lwa salonowego, był ca kawiarni, a nawet rozbawionego hreczkosieja, który nagle ze swoich zapadłych włości zjawił się w wielkim mieście i szalenie go to bawi. Był geniuszem w dziedzinie rysunku tuszem. Dykteryjki, anegdoty, wdzięczne historyjki, niekiedy pikantne, płynęły z jego ust, a ręka bezbłędnie kreśliła coś na papierze. To coś było z innej epoki, bo rzeczywistość mało go interesowała.

Największy dowcipnisie „Przekroju”?

W starym „Przekroju” dowcipni byli wszyscy, dominował element zabawy, wszystko było na zasadzie dowcipu, nic sierożnie.

Bo Eile mawiał zawsze: „Pismo trzeba robić lekko”.

– I dodawał: „Tak, żeby mogła je czytać bardzo inteligentna sprzączka, prosty profesor i prymitywny minister”.

Napisał pan w swoim „Abecadłowicie”, że Eile był absolutnym geniuszem redaktorskim. Agnieszka Osiecka w „Szpetnych czterdziestoletnich” uznała „Przekrój” za: „Arcydzieło sztuki redaktorskiej wszech czasów”. Na czym to polegało?

To polegało na tym, że on się tym wszystkim bawił. Od małego chłopca marzył, żeby być redaktorem, niczym więcej. Skończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, a wcześniej ekskluzywnie gimnazjum Batorego, gdzie redagował gazetkę szkolną. Przez kilka lat był w „Wiadomościach Literackich”. A jeszcze bawił się plastyką, miał katedrę scenografii na ASP w Krakowie.

Ale jego największą zasługą było to, że potrafił stworzyć taką atmosferę, że nie chciało się wychodzić z redakcji. Przychodziło się rano, nawet nie mając nic konkretnego do roboty, wychodziło w nocy, było o czym i z kim pogadać. To była sytuacja odmienna od tej, o jakiej pisał Słonimski: „Strasznie nie lubię wymiany myśli, bo mam wrażenie, że na tej wymianie tracę”.

Zespół był zgrany pod względem merytorycznym i towarzyskim. Pismo redagowało się na okrągło, nie tylko w redakcji, ale też w kawiarni, w knajpie, w lecie na basenie. Często jeździliśmy razem na wakacje do Juraty czy Jastarni. Siłą „Przekroju” było to, że przez ćwierć wieku nie zmienił się zespół. Dzięki temu wszyscy świetnie się rozumieli. Nie trzeba było dużo mówić, wystarczyły skróty myślowe, żarty. Mówiło się na przykład: napisz to „gruszkowo”, co oznaczało, że trzeba tak napisać, żeby nikt w KC nie mógł się przyczepić.

Niezależnie od wybitnych autorów własnych Eile potrafił ściągnąć do „Przekroju” najlepsze pióra. Właściwie wszyscy najwięksi pisali dla niego.



Marian Eile i Zygmunt Strychalski nad jednym z pierwszych wydań „P”. W głębi – Gwidon Miklaszewski. Rok 1945.

lwaskiewicz mówił, że większą sławę daje mu pisanie w „Przekroju” niż w „Twórczości”.

Eile związał z „Przekrojem” najlepszych i w dodatku dość bezczelnie instruował ich, jak należy pisać w stylu przekrojowym, a oni to akceptowali. „Medaliony” Nałkowskiej, „Profesor Tutka” Szaniawskiego, powstały na jego zamówienie, nie mówiąc o wielu wierszach Gałczyńskiego, które w „Przekroju” miały swoją premierę. Ale Eile potrafił też wypominać ludzi, którzy byli jeszcze nieznanymi. Szybko odkrył Piotra Skrzyneckiego i „Piwnicę pod Baranami”, zanim jeszcze zdobyli wielką popularność.

Eile i jego ludzie byli mistrzami w wychwytywaniu znaków czasu, które tworzą klimat epoki.

A tak, to była jego wielka siła. „Przekrój” lansował różne „obłądki”: jazz ze słynnymi jam sessions na Kalatówkach, w których brał udział np. Roman Polański, któremu przepowiedział wielką sławę. Był „obłąd” rowerowy, potem „czar czterech kółek” i kateria Zasady na łamach „Przekroju”, „sprzątanie Tatr” i wiele innych. Przede wszystkim jednak „Przekrój” był oknem na świat, jak ktoś napisał: jedynym takim pismem dla 800 milionów Słowian. To dzięki „Przekroju” ludzie poznawali Kafkę, Borgesa, Sagankę, Picassa, wielkich wspaniałych rysowników, co było siłą „Przekroju” – Steinberga, Topora, także Macedońskiego, Mrożka, Mroza, który najbardziej chyba odcisnął swoje piętno na stylistyce „Przekroju”. To dlatego Josif Brodski mógł powiedzieć, że nauczył się języka polskiego, żeby móc czytać „Przekrój”.

„Przekrój” odkrył także Sławomira Mrożka.

Jako autora i rysownika właśnie w konwencji przekrojowej. Pamiętam takie jego opowiadanie, które mogłoby być świetnym komentarzem do naszej dzisiejszej dyskusji na temat wejścia do Unii Europejskiej. „Wy nam mówicie Europa. A tu, co

postawimy mleko na kwaśne, to skądś wyłażą garbate krasnoludki i szczają nam do garnków”.

Eile mawiał, że dobre pismo powinno się robić trochę przeciw czytelnikom, o stopień wyższe, dzięki czemu oni się podciągają.

Oczywiście. Lansował to, co dobre i wartościowe. Także dziwactwa i dziwaków. Nauczył surrealizmu, Picassa, dał Gałczyńskiego itp., itd. On uważał, i ja też tak myślę, że w dobrym piśmie nie robi się ankiet dla czytelników: co pan chciałby przeczytać w naszym piśmie albo która rubryka się panu podoba. Redaktor musi to wiedzieć. Kiedy wsiadam do pociągu Kraków–Warszawa, to maszynista nie pyta się mnie, którądy chciałbym jechać.

Jak to możliwe, że to, co było elitarną zabawą, zyskiwało masowego odbiorcę? Najlepsza literatura, plastyka były adresowane do wielkiej rzeszy czytelników.

Pół miliona razy pięć, bo liczyło się, że każdy numer czyta w rodzinie pięć osób. To był rzeczywiście fenomen. Ale niech pan nie myśli, że wszystko odbywało się gładko. Przychodziły listy, protesty przeciw „Zielonej Gęsi”, „bohomażom” Picassa. „Ty idioto, idź się powieść, Takie g... drukujecie”.

W jednym z numerów „Przekroju” na okładce znalazły się hasła z wykrzyknikiem: „Czyta nas co trzeci robotnik i co drugi inteligent!”. Trudno w to uwierzyć, ale z badań Ośrodka Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radiu wynikało, że „Przekrój” czyta 62,9 proc. pracowników umysłowych, 50,9 proc. przedstawicieli wolnych zawodów, 30 proc. robotników wykwalifikowanych. Żadne pismo nie mogło się równać z „Przekrojem”.

To było możliwe dzięki temu, że on zrobił coś, czego nigdzie nie było: pismo, w którym była jed-

nocześnie wysoka kultura i rozrywka. To było o tyle utrudnione, że przecież za oknem mieliśmy wielką polityczną niepogodę.

Można w ogóle powiedzieć, że Eile starał się przetrwać tamte czasy, nie ubłociwszy kaloszy. Sprawę rozwiązał w ten sposób, że pierwsze cztery strony były przeznaczone nie dla normalnych ludzi, tylko dla partyjnych kacyków. To były obowiązkowe dostawy. I czytelnicy to rozumieli. A dalej dopiero zaczynał się właściwy „Przekrój”.

Czyli salon „Przekroju”. Eile stworzył coś, co nie miało prawa istnieć w PRL, a jednak istniało. Właśnie specyficzny salon. Jak pisała Agnieszka Osiecka, w salonie tym „Przy kominku domowej roboty siedział kundel, którego traktowało się jak rasowego. Pod oknem, ładnie oświetlony, starszy pan (Picasso) flirtował z Hermenegildą. Na kanapie, przeciągając się leniwie, popijała absynt Barbara Hoff – „W tym sezonie ramię lubi być gołe” – przekonywała zdezorientowaną panienkę. Nad wszystkim królowała Janina Ipohorska (vel Jan Kamyczek) – „W dzisiejszych czasach nawet wysoki dostojnik siada koło kierowcy” – szeptała na ucho świeżo upieczonemu dygnitarzowi...”.

Coś w tym jest. Wdzięk, urok i styl salonu Eilego polegały na tym, że to istniało w wyobraźni, a wyobraźnia, choćby dlatego, że jest niematerialna, nigdy nie może być traktowana jak żywy produkt. Bywał „Przekrojowy” poruszał się jak w krainie snów.

Osiecka pisała też, że „Przekrój” „utłukała” telewizja, jej dział rozrywkowy, który w latach 60. i 70. przejął i strywalizował koncepcję przekrojowego salonu.

Być może tak jest w istocie, bo między ludźmi wychowanymi w epoce przedtelewizyjnej a dzisiejszymi jest na pewnych płaszczyznach przepaść nie do usunięcia. Ich mentalność była kształtowana przy użyciu innych narzędzi i w innej sferze. „Przekrój” Eilego był jednorodną kompozycją jednego człowieka. To jest tak jak z symfonią – nie może jej pisać paru ludzi. On miał wszystko przemyślane od dawna, kochał to, co robił, i nic innego go nie interesowało.

Czy „Przekrój” był taki, jaki był, dlatego, że wychodził w Krakowie?

Z całą pewnością tak. Kraków był po wojnie miastem nie zniszczonym, z dużym potencjałem intelektualnym, z artystami, którzy mieli dar namiętnego flirtowania z przeszłością, z duchami i wszystko potrafili uczynić przedmiotem poezji. To jest właśnie to, co nazywamy genius loci tego miasta.

Panie Ludwiku, czy dzisiaj Eile wiedziałby, jak robić „Przekrój”? Wszystko się przecież zmieniło – świat, ludzie, realia, imponderabilia.

Dzisiaj miałby 92 lata, więc byłoby to niemożliwe. Kiedy odchodził z „Przekroju”, miał 60 lat i mógł pracować jeszcze co najmniej dwadzieścia. Ja inaczej postawiłbym pytanie: Jeżeli on mógł robić dobre pismo wtedy, kiedy nic nie było wolno, jakie robiłby pismo wtedy, kiedy wszystko wolno?

Wolność często paraliżuje.

Myślę, że konieczność omijania raf, przeszkód, wyostraża intelekt i wyobraźnię. Żeby kogoś przechrzyć, trzeba więcej pomyśleć. Mówi pan, że czasy się zmieniły. Owszem, ale niekoniecznie na lepsze.

W tamtych anachronicznych czasach przywiązywało się wagę do tego, co nazywało się oglądą, wykształceniem ogólnym. Pewnie dlatego było więcej ciekawych ludzi. Dzisiaj jest gorzej i podejrzewam, że będzie jeszcze gorzej. Ciekawi ludzie, o zgrozo, będą siadać przy Internecie. Dawniej siedzieli w kawiarniach, salonach, pani hrabina wydawała w czwartki przyjęcia i tam się roz-

mawiało o nowych książkach, premierach teatralnych, wystawach malarskich.

Ale jestem pewien, że książki i gazety się obrodziły dzięki temu, że z komputerem nie da się pójść do łóżka. A z gazetą można się położyć po obiedzie, zdrzemnąć, gazeta opada, muchy nas nie gryzą i jest fajnie. Nawet nie denerwujemy się, że świat parszywieje. Parszywienie świata to bardzo dobry wynalazek Stwórcy czy Natury.

Dlaczego?

Człowiek, starzejąc się, przestaje być łączywy na życie. Bo niby po co? Wszystko staje się o wiele gorsze, porządnym, ciekawym ludzi, których kochaliśmy, już prawie nie ma. Wokół same głupki, ignoranci, aroganci, gangsterzy, złodzieje. To rozgoryczenie jest w gruncie rzeczy pozytywne. Znika ból, że czas ucieka. Nie ma czego żałować. Łatwiej się odchodzi.

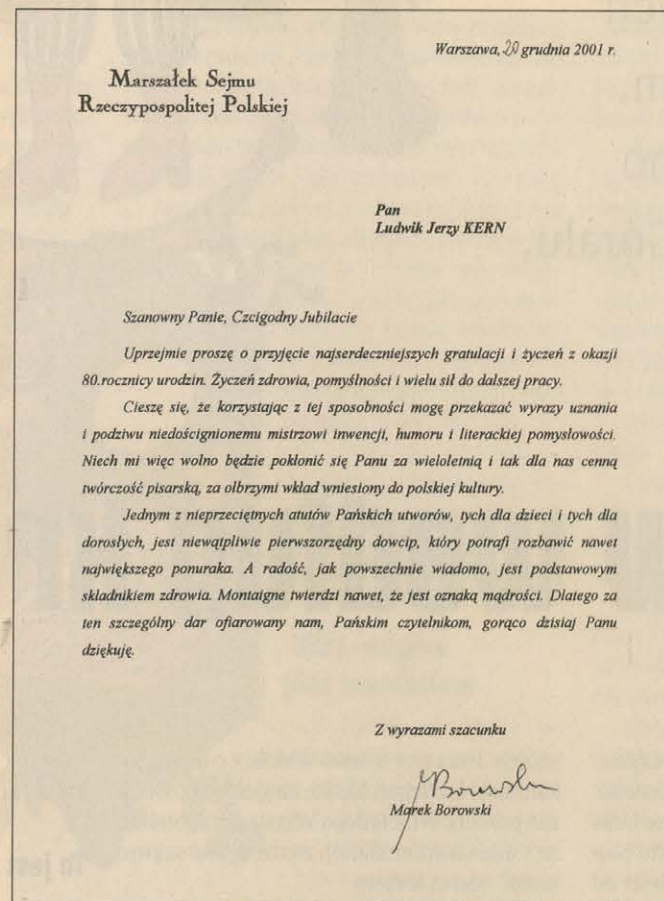
Czy nie jest trochę tak, że czar przeszłości polega na tym, że minęła? Że – jak pisał Słonimski – wspomnienia młodości bywają złudne jak wrażenia motyla, gdy był gąsienicą.

Na pewno, to jest normalne. Ale w Polsce jest sytuacja specyficzna. Proszę zauważyć, jak my uwielbiamy obchodzić nasze klęski. Zwykle narody starają się zapomnieć o niepowodzeniach, a my uroczystości je celebrujemy, tarzamy się w sosie martyrologicznym i robimy z tego cnotę. „Przekrój” trochę z tym walczył, z tą pompą narodową, np. w „Zielonej Gęsi”. To się także mieściło w hasle Gałczyńskiego: „Więcej Osmańczyka, mniej Grotgera”. Eile starał się nas przekonać, że „jeszcze Polska nie zginęła, póki się śmiejemy”. I jeszcze jedno, „Przekrój” pełnił pewną rolę psychoterapeutyczną: pozwalał z mniejszym napięciem przeżyć komunizm. Kiedy pod koniec tygodnia trafiało do tysięcy rodzin w Polsce, był jak balsam, zanurzenie się w innym, sympatycznym świecie, tak bardzo różniącym się od tego realnego.

Panie Ludwiku, mówiliśmy na początku, że pan i „Przekrój” są dowodem na to, że na tym świecie jest coś stałego. A jednak... Ta rozmowa ukaże się w ostatnim numerze „Przekroju” wydawanym w Krakowie. Jaka refleksja nadchodzi pana z tej okazji?

Jest mi smutno, ale płakać nie będę. Zdumiewa mnie, że miastu nie zależało na tym, żeby „Przekrój” został w Krakowie. „Przekrój” to, co prawda, nie Wawel, ale gdyby tak jeszcze parę latek w Krakowie posiedział, to miałby szansę zostać czcigodnym zabytkiem.

Rozmawiał:
KAZIMIERZ TARGOSZ



Mimo przeniesienia redakcji „Przekroju” do Warszawy, Kraków nadal jest miejscem atrakcyjnym. Mamy tutaj nie działający czakram, największą w Europie liczbę podziemnych kawiarni oraz dom, w którym napisano słynny szlagier „Góralu, czy ci nie żal?”.



rys. IGNACY CZWARTOS

Kraków według krakusa

MACIEJ MIEZIAN

Trawestując znane powiedzenie ks. Chmielowskiego o koniu, można rzec, iż Kraków, jaki jest, każdy widzi. „Totius Poloniae Urbs Celeberrima”, czyli „Całej Polski Miasto Najświetniejsze” – mówi dewiza grodu. Ale że od przybytku czasem głowa boli, więc redakcja „Przekroju” postanowiła zamienić krakowski Rynek na warszawską Starówkę, a Wawel – na Pałac Kultury.

Takie są koszty reform. Notabene krakowska redakcja, mająca siedzibę przy ul. Reformackiej, do reform zawsze odnosiła się ciepło. Teraz zreformowała swój adres na Wiejską, co dobrze o niej świadczy, bo sprawy wsi też są

istotne. Poza tym trudno w stolicy o lepszą lokalizację. Do Sejmu blisko, na giełdę też. Obok zaś pomnik Wincentego Witosa przypomina, że i mieszkaniec Galicji może w Warszawie zrobić wielką karierę.

Niech się więc darzy „Przekrojowi” w Mieście Nieujarzmionym. A my, starzy krakauerzy, zostaniemy tutaj. Z naszym galicyjskim spleenem, z czasem, który płynie w zwolnionym tempie i kawiarniami wypełnionymi poezją. W znoszonych paltocikach, ale z dumą w sercu, wolni od wyzwania zgłębionej epoki. Czyż nie powiada Boy, znawca Krakowa: „Tak więc chytry jest Germanin,

Francuz – sprośny, Włoch – namienny, a zaś każdy krakowianin: goły i inteligentny?”

Tu jest czakram

To przecież my, nie Warszawa, mamy jedyne na świecie miejsce, gdzie nie działają siły magiczne – „czakram wawelski”. Jego historia zaczęła się w dwudziestolecie międzywojennym, gdy pewien maharadża postanowił pomodlić się na dziedzińcu zamkowym. Pograżony w medytację, zapożyczył tradycję szukania świętego miejsca hinduizmu na Wawelu.

Uczeni specjalizujący się w wirujących stolkach i latających spodkach doszli do wniosku, że gdzieś na wzgórzu znajduje się czakram, czyli jedno z centrów energetycznych Ziemi. Ponieważ nikt nie wiedział, jak ono wygląda i gdzie go szukać, wytypowano jedną ze ścian zamku. Ludzie tłumnie zaczęli tu ściągać, by oprzeć się o kawałek muru i naładować energią.

Dyrekcja Wawelu zносиła to z pokorą. W końcu jednak ogrodziła teren, wystawiła tablicę z napisem, iż czakram nie istnieje i zakazuje się „praktyk okultystycznych nie licujących z godnością wzgórza”. Wtedy dopiero w czakram uwierzyli wszyscy. Ściana, dotychczas pomijana przez przewodników, jest dziś jedną z głównych atrakcji tego miejsca.

Pod Wawelem biegnie ulica Kanonicza. Przewodniki przeważnie pomijają wkład jej mieszkańców w dzieje pieśni masowej. A przecież już na jej początku widnieje tablica ku czci Stanisława Wyspiańskiego. Autor popularnej pieśni: „Miałeś chanie złoty róg...” wprowadził także do naszej kultury motyw „chocholego tańca” – do dziś chętnie tańczonego zarówno w sejmie, jak i w ważniejszych urzędach kraju.

Nieco dalej, w połowie ulicy, znajduje się kamienica, w której mieszkał Władysław Ludwik Anczyc. Skomponował on znany utwór: „Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały...”.

Ale gmachem najbardziej zasłużonym dla pieśni masowej było więzienie św. Michała. Gościł tu m.in. Ludwik Waryński, o czym informuje pamiątkowa tablica. W cudowny sposób przetrwała ona czasy dekomunizacji, gdy Rada Miasta zmieniała nazwy nawet takich ulic, jak Mikołaja Reja, Galla Anonima czy Frycza-Modrzewskiego. Sam Waryński też ulicę stracił, ale tę tablicę zostawiono. Nie przypomina ona jednak faktu, że to właśnie Waryński był autorem „Mazura kajdaniarskiego”, lecz informuje, iż w 1880 r. miał proces o szerzenie propagandy socjalistycznej.

Ciekawe, że nie ufundowano tablicy Michałowi Bałuckiemu, który tu właśnie, w więzieniu św. Michała, stworzył polski szlagier wszech czasów. Zamknięty w celi z pewnym górale, opisał jego tęsknotę za wolnością w pięknej pieśni: „Góralu, czy ci nie żal?”. Rzeczoną górą był przemysłnikiem szmuglującym kosy. Pechowo trafił na czas powstania styczniowego i za pewnik przyjęto, że kierowały nim pobudki patriotyczne. Siedział więc z powodów politycznych,

choć do końca nie wiedział, co to jest „polityka” i na czym polega jego bohaterstwo.

Wszystkie drogi prowadzą na Rynek

Jak bohater „Moskwy-Pietuszek”, który zawsze trafiał na Dworzec Kurski, tak i przyzwyczajony krakauer w końcu dojdzie do Rynku, w którykolwiek by szedł stronę. Dawniej były tu tylko dwie kawiarnie i nikt nie miał trudności z odszukaniem znajomych. Dziś namnożyło się ich tyle, że spotkanie kogokolwiek graniczy z cudem. Pozostaje nam, jak niegdyś przyjeźdnym, wystawać pod pomnikiem Mickiewicza w nadziei, że wszyscy, którzy nie mogli się odnaleźć w kawiarniach, zjawiają się tu prędzej czy później.

Rynek – największy średniowieczny plac Europy – zdobią tylko dwa pomniki. Pierwszy z nich wystawiono właśnie Mickiewiczowi. Wieszczy nigdy w Krakowie nie był, ale już któreś pokolenie badaczy trzyma się, by odnaleźć krakowski wątek w jego biografii. Bo że taki istnieje, rzecz pewna.

Drugi pomnik, wkomponowany pomiędzy stoliki kawiarni „Vis-à-vis”, poświęcony jest Piotrowi Skrzyneckiemu. Ten rodowity warszawiak przyjechał do Krakowa po studiach w Łodzi. Chciał poprowadzić amatorski teatrzyk w Nowej Hucie i tak już został. Pierwszy wpadł na pomysł, by założyć kawiarnię pod ziemią (słynną „Piwnicę pod Baranami”). Dziś, gdy większość lokali gastronomicznych na Rynku mieści się w piwnicach, prekursorowi tego pomysłu wystawiono pomnik. Choć nie pod ziemią, tylko na wierzchu – w najbliższej naziemnej kawiarni, gdzie wyskakiwał, gdy chciał zobaczyć świat w dziennym świetle.

Ulica magów, plac warcholów

Z Rynku wychodzi się wieloma ulicami. Najsłynniejsze są: Grodzka, Floriańska i Szewska. My skręćmy w Szczepańską. Ta dawna ulica magów i astrologów była w średniowieczu granicą getta. W narożnej kamienicy ukrywał się przed Jagiełłą niedoszły małżonek Jadwigi, Wilhelm. W innym domu mieszkał Miechowita, fundator dwóch katedr astrologii na Akademii Krakowskiej, a przy tym wybitny historyk. Listę tę można poszerzyć o dwóch magów angielskich – Johna Dee i Edwarda Kelleya, Niemca Fausta i nasyżych rodaków – Sędziwoja oraz Twardowskie-

go. Pamiątką po tych czasach jest szesnastowieczny piec alchemiczny, który zachował się w piwnicach galerii „Krzysztofor” i po remoncie pełni funkcję urokliwej wygódki.

Ulica Szczepańska, jak logicznie podpowiada nazwa, wiedzie na plac Szczepański. Kiedyś wokół stojących tu kościołów rozpościerał się spory cmentarz. Pochowano tu między innymi słynnego Samuela Łaszcza – po „Diablu” Stadnickim największego warchola dawnej Rzeczypospolitej. W ciągu 20 lat rozbojów skazano go na 236 wyroków banicji i 37 infamii. Wyrokami tymi podbijał sobie, w charakterze osobliwej podpinka, szubę. W końcu jednak dosięgła go sprawiedliwość. Książę Jeremi Wiśniowiecki przegnał go z bezprawnie trzymanych włości i sam je zajął. Trafił Łaszcza na lepszego. Teraz on ciągał księcia po sądach, a ten podbijał sobie szubę wyrokami skazującymi go na zwrot dóbr.

Ulica „Przekroju”

Z placu Szczepańskiego wychodzi niewielka uliczka. To Reformacka, nazwana tak od znajdującego się tu klasztoru. W jego podziemiach znajduje się około 70 mumii, naturalnie zakonserwowanych w tutejszym mikroklimacie.

Pierwsza siedziba reformatów mieściła się za murami, w dawnym dworze Sędziwoja – wspomnianego już alchemika. Obecna powstała na miejscu dawnej rezydencji Wiśniowieckich, подарowanej im przez kasztelana Warszawskiego. Ten ostatni miał wielkie zasługi dla klasztoru jasnogórskiego. Tak długo i zaciekle najeżdżał dobra paulinów, że ci musieli się w końcu ufortyfikować i uzbroić. Okazało się to całkiem przydatne w czasie potopu szwedzkiego.

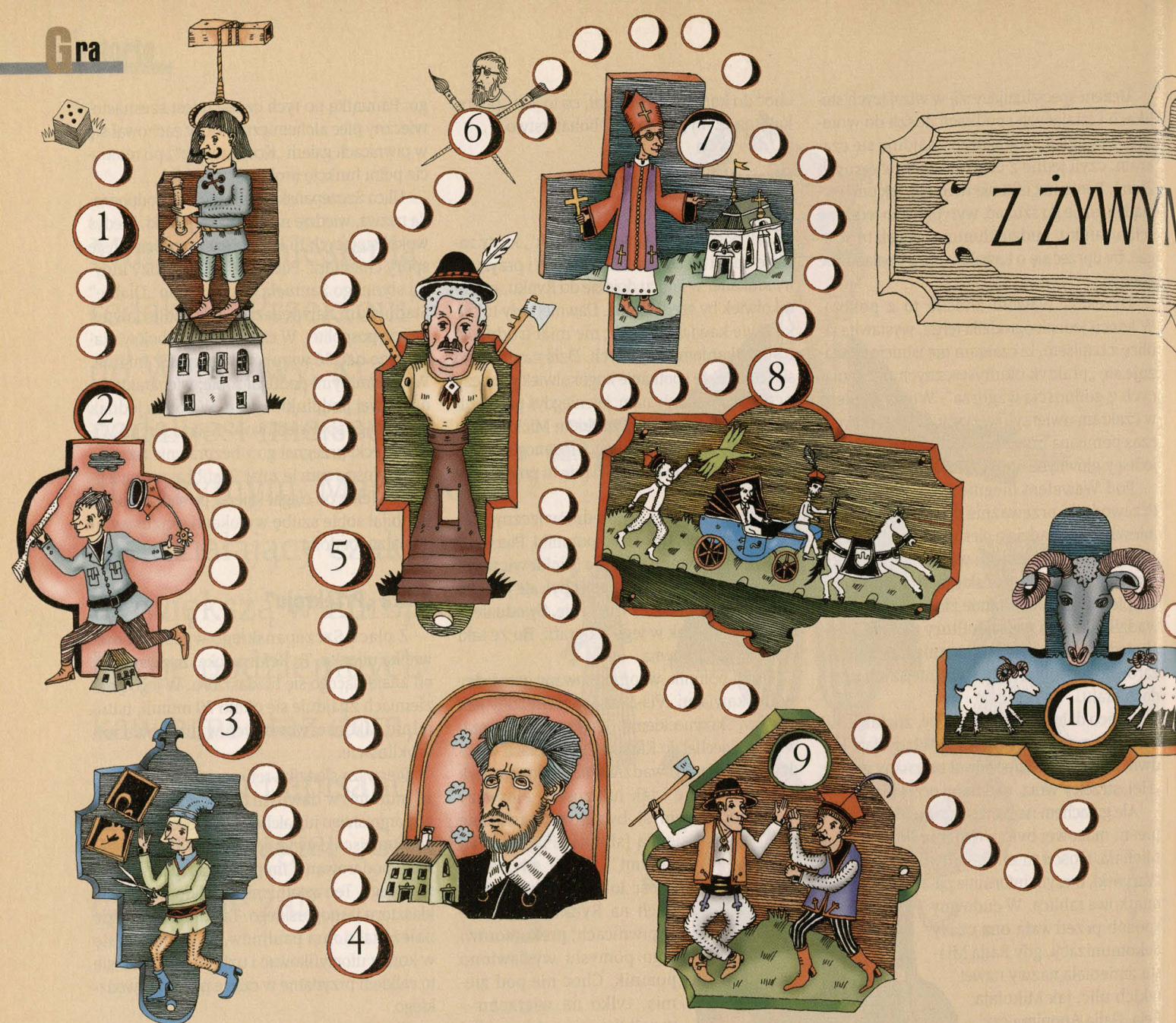
Co? Nie żal...? A to przecież tylko najbliższe okolice siedziby „Przekroju”. Ścieżki przedeptywane co dnia, szlifowane od lat redaktorskim butem.

A gdzie Błonia, gdzie Zwierzyniec, Krowodrza, Dębinki...? Dotarliśmy do Reformackiej, przy której w pięknej secesyjnej kamienicy – nie ma już redakcji „Przekroju”.

Cóż, zostaje tylko powtórzyć za Pismem Świętym: „nad brzegami Babilonu siedzieliśmy i płakali”. Gdzieś daleko młodzi i prężni zmagali się z konkurencją, parli do przodu, podbijali rynki. Gdzieś wrzała potyczka, prowokując sarmackiego ducha. Aż w końcu ktoś z redakcji nie wytrzymał: „Panowie, szable w dłoni – na stolicę!”.

Poeta Asnyk z ul. Łobzowskiej zawsze radował się: „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe...”. Jednak nie wysłuchiwał do końca, jaką ten exodus ma cenę. Co tu trzeba zostawić i ile, pokazuje nasza gra planszowa (ver-te). Panowie – odwagi!

Na następnej stronie – GRA!



Na Wawelu płoną na stosach okultyści. Uważaj, abyś do nich nie dołączył. Uratować Cię może tylko liczba 5. Rzucaj kostką tak długo, aż wypadnie (ale uważaj: nie chuchaj na kostkę, nie wykonuj nad nią magicznych znaków i nie odmawiaj zaklęć. Piątka uzyskana za pomocą magii nie jest ważna!).

1. Dom Długosza (początek ul. Kanoniczej) – dopada Cię duch Bartosza z Lusiny, który w 1559 r. ukradł biskupowi Padniewskiemu pieczęć koronną, za co został „srogo potraktowany rozpalonym żelazem” i powieszony na Pędzichowie. Słuchając jego opowieści, tracisz dwie kolejki.

2. Dom Anczyca – śpiewając „Hej, strzelcy wraz...”, dziarsko przeskakujesz dwa pola.

3. Dom Rycerski – mieszkający tu niegdyś Hińcza z Rogowa opowiada Ci, jak jego brat spłądował opactwo jasnogórskie i pociął cudowny obraz Czarnej Madonny. Oburzony tym, co usłyszałeś (bo nie ukarano ani jego, ani brata), stoisz dwie kolejki.

4. W dawnym gmachu sądu przysłuchujesz się procesowi Ludwika Waryńskiego, sądnego za rozpowszechnianie teorii socjalistycznych. Ponieważ dziś rządzi lewica, Twoja uwaga zostaje nagrodzona – przesuwasz się o trzy pola.

5. Spotykasz wypuszczonego z więzienia Michała Bałuckiego, który uczy Cię piosenki: „Góralu, czy ci nie żal?”. Kupujesz od niego prawa autorskie i, wzbogacony, awansujesz w społecznej hierarchii o pięć pól.

6. Klasztor Franciszkanów – w krążkach spotykasz Jana Matejkę malującego olbrzymie płótno historyczne. Informujesz go, że słynna bitwa z Krzyżakami w 1410 r. odbyła się niedaleko słynnej miejscowości Kłewki. Na szczegółowe wyjaśnienie tracisz dwie kolejki.

7. Pałac Biskupi – przypadkowo zostajesz zaproszony do prywatnej kaplicy biskupa na ślub Henryka Sienkiewicza. Nie chcąc przeszkadzać w uroczystości, stoisz grzecznie trzy kolejki.

8. Róg Brackiej i Gołębiej – omal nie rozjeżdża Cię zaczarowana do rożka z Gałczyńskim pędzącym do „Przekroju”. Złapawszy zieloną gęs, która wypadła z pojazdu, zabierasz się z nim i dojeżdżasz bez problemu do punktu 12.

9. Ulica św. Anny – spotykasz Wojciecha Bogusławskiego, ucznia pobliskiego Kolegium Nowodworskiego. Opowiada Ci o bójce, jaką na odpuscie w Mogile rozpętali krakowiacy i górale. Miałby ochotę ją opisać, lecz dopadł go „krakowski spleen”. Przez dwie kolejki radzisz mu, jak przełamać twórczą niemoc.

10. Pałac pod Baranami – mieszkający tu w renesansie wybitny węgierski poeta, Balint Ballasi, uczy Cię swojego rodzimego języka. Idzie jak po grudzie – tracisz cztery kolejki.

11. Kawiarnia „Vis-à-vis”, zwana popularnie „Zwisem” – przez trzy kolejki siedzisz i kłaniasz się wszystkim wchodzącym znanym krakowiakom.

12. Kawiarnia Noworolskiego – spotykasz Lenina przy porannej ka-

Z ŻYWYM NA PRZÓD



wie z Inessą Armand i Nadieżdą Krupską. Opowiadają Ci o pracowitym koledze, który ledwo zjechał do Krakowa, już siedzi w Bibliotece Jagiellońskiej i tworzy. Postanawiasz równać do kolegi Stalina i podejmujesz zobowiązanie przejścia ośmiu pól bez zatrzymania. Niestety, po dwóch tracisz entuzjazm.

13. Galeria „Krzysztofor” – w dawnym piecu alchemicznym spotykasz doktora Fausta, który niegdyś mieszkał w tych okolicach. Opowiada Ci o pierwszych przedstawieniach Kantor i eksperymentach artystycznych Grupy Krakowskiej. Stoisz jak wryty przez trzy kolejki.

14. Plac Szczepański – spotykasz starostę owruckiego, Łaszczę. Każe Ci wysłuchać melodii, którą zapisał w spadku swoim wierzycielom (by-

ła to jedyna rzecz, jaką posiadał). Na koniec musisz wypić z nim jeszcze trzy gąsiory. Dwie kolejki mijają nie wiadomo kiedy.

15. Stary Teatr – Helena Modrzejewska zaprasza Cię na herbatę do swojej willi na Krowodrzy. Godzisz się chętnie, a po drodze zabieracie Wyspiańskiego z „błękitnej pracowni” przy Krowoderskiej. Imprezka trwa trzy kolejki.

16. Ul. Reformacka, siedziba „Przekroju” – składasz kwiaty pod tablicą pamiątkową i trwasz w zadumie przez jedną kolejkę. Następne dwie pochłania Ci tłumienie w sercu łkania.

17. Planty – spotykasz Adama Asnyka, który zmierza do redakcji „Nowej Reformy”. Jeśli wyrzucisz liczbę parzystą, idziesz z żywymi

naprzód o pięć pól. Jeśli nieparzystą, przez trzy kolejki w uwiedlonych laurów liść z uporem stroisz głowę.

18. Początek ul. Karmelickiej – pod siedzibą komendantury Legionów stoi Józef Piłsudski i zastanawia się: na Oleandry czy do Jamy Michalika? Radzisz mu wypełnić historyczną misję, a duch dziejów przesuwają Cię z wdzięcznością o sześć pól.

19. Kościół Karmelitów – dłuższy postój. Najpierw Jan Matejko, potem Władysław Reymont proszą Cię, byś był świadkiem na ich ślubie. Na koniec spotykasz mieszkającego obok Boya-Zeleńskiego i wspólnie piszecie „Dzielnice konsystorskie”. Te towarzyskie obowiązki zajmują Ci trzy kolejki.

20. „Synagoga Szatana” – dawne mieszkanie Stanisława Przybyszewskiego. Król cyganerii częstuje Cię swoją słynną wysokoprocentową herbatą. Budzisz się sponiewierany, ledwo żywy na początku trasy.

21. Przystanek autobusowy przy Alejach Trzech Wieszczów – jesteś wolny. Koniec. Jeśli wsiądziesz do autobusu jadącego w lewo, trafisz na Dworzec Główny. Jeśli do autobusu jadącego w prawo, wylądujesz na dworcu lotniczym. Tak czy owak, opuścisz to miasto. Pora wygładzić paltocik, wziąć się w garść, zacząć szanować czas i pieniądze. W autobusie ćwiczysz: „Wiadoma rzecz, stolica i każde słowo zbędnem. I w ogóle, i w szczególności, i pod każdym innym względem”.

MACIEJ MIEZIAN

*Od młodych pod młodą skórą
Palców stóp aż po pachwiny,
W zapachu brzoźowych wiórów
I raków dobytých z głębiny,
Krucze, słodkie Maleństwo,
Wątlým złota okryte ognikiem,
Otwierasz się na szaleństwo
Mej żądzy milkliwej i dzikiej.*

Paul Verlaine

Nagość wiktoriańska to coś na kształt wynalazków Umberta Eco: psychologii tłumu na Saharze czy gramatyki wyjątków. Innymi słowy, sprzeczność, bo co rzec o czasach, gdy panów podniecał do szału pasek skóry między rękawiczką a koronką mankietu damy? A jednak nagość była realna jako fakt, który przed półtora wiekiem skrycie opętał świat zachodni.

Ohyda ciała

Im głośniejsze wielbiono piękno, tym głębsze tabu obejmowało jego żywy obraz. Dziś nagie ciało kojarzymy z wodą, słońcem, zdrowiem. Wówczas – z burdelem, wychodkiem, prosektorium. „Nagość była sakralna, czyli nieczysta” – wspominał lata młodości poeta Paul Valéry.

Ciało podległo represji, czyli zмовie milczenia i jak najstaranniejszemu osłonięciu. „Wynalazczość ówczesna skupiono na sporządzeniu dla wszystkiego niezliczonych pokrowców, ochraniaczy, futerałów i puzderek” – zauważa badacz Paryża XIX w., Walter Benjamin. Tylko płytowa zbroja mogła się pod względem niewygody równać z wieczorowym strojem męskim, w skład którego wchodziła zapinana na plecach koszula, mocowany do kałesonów krochmalony plastron i gryzący w policzki kołnierzyk. Niemożliwością wykazania w tym stroju jakiegokolwiek ekspresji tłumaczył deficyt sztuk współczesnych młody londyński krytyk teatralny, Bernard Shaw.

Strój i rozstrój

U pań zakryte pozostawało nawet to, co na pozór widoczne. Przed 120 laty moda nakazywała bowiem barwić z lekka karminem uszy, by prześwitywały subtelnie spod pukli, malować na skroniach, grzbiecie dłoni i tak zwanym gorsie błękitne żyłki, tudzież różować z lekka końce palców. Damy, nawet gdy minęła już wprowadzona przez hiszpańską małżonkę Napoleona III moda krynolin o architektonice paryskiej Opery, w których stelaże wkraczało się przez drzwiczki, nadal więziły zwoje tkanin marszczonych, upiętych, spienionych i wzniesionych w sąsiedztwie kości ogonowej na tiurniurach – włosianych wałkach, upodabniających sylwetki do drobiu. Spięte od góry stalowymi brykami gorsetów, poniżej pasa panie cieszyły się jednak pobudzającą wyobraźnię swobodą. Wspomniana cesarzowa Eugenia miała 486 koszul, lecz ledwie trzy pary majtek, używała ich bowiem tylko do jazdy konnej. Daje to pojęcie rozmiar



Lewis Carroll – Alicja Liddel.

Narodziny Lolity

JAN GONDOWICZ

patriotycznej egzaltacji młodej Elizy Orzeszkowej, gdy przed carskim żołďactwem ukryła pod krynoliną Romualda Traugutta. Na noc zaś przeznaczone były znane ze „Stu lat samotności” Márqueza koszule z dziurkami zdobnymi haftem, a nieraz i sentencją: „Niech się dzieje wola Boża!”.

Od aluzji do iluzji

Perwersja estetyki, a raczej estetyka perwersji, jako narzucił światu terror wstydu, sprawiła, że po-

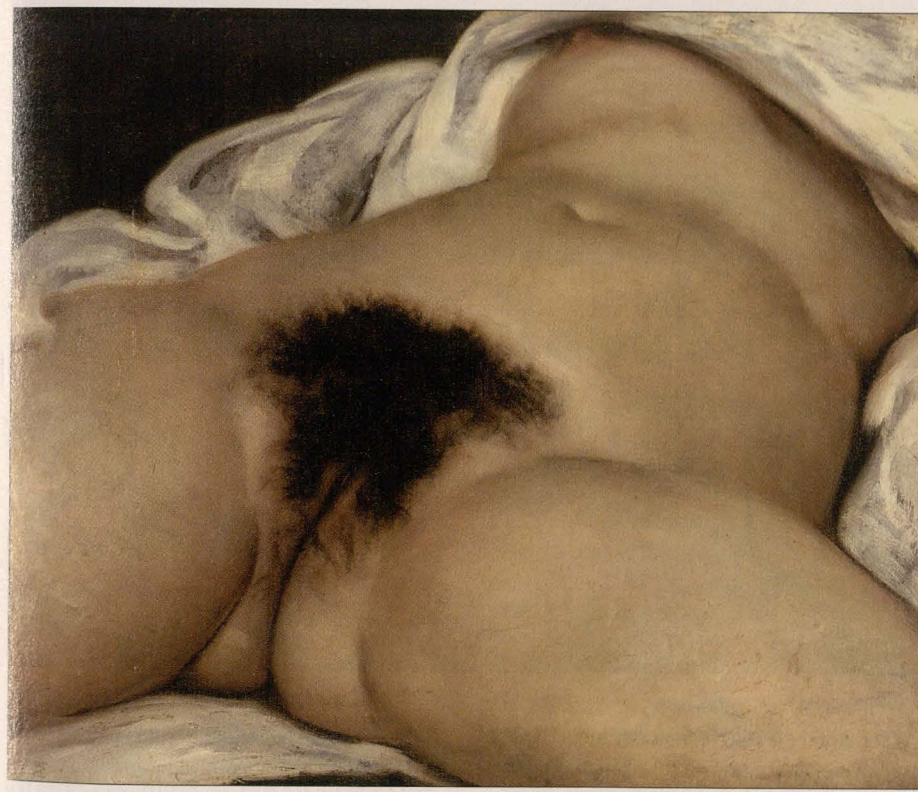
ważne skądinąd osobistości narażały zdrowie, dybiąc na deszczu, a przechodząc przez kałuże dziewczyna uniesie suknię do kostek. Dostojni dżentelmeni psuli wzrok przy lunetach, śledząc z wyżyn mola w Ostendzie czy Biarritz „machiny kąpielowe” – wtaczane do morza klatki, w których tylnej furcie migała przed zniknięciem w falach spowita w trykoty i barchany postać. Jak świadczy „Trzech panów w łódce”, płeć piękna w angielskim Brighton miała jednak swobodę obserwacji panów, biorących kąpiel w strojach adamowych. Za sprawą nie tyle

wyzwolonych, ile urlopowanych chuci plaży, w końcu XIX w. wciąż nowość, trafiły na karty wspomnień Nabokova, nowel młodego Manna i „W cieniu zakwitających dziewcząt” Prousta. „Na plaży – stwierdzał Valéry – rodzi się może nowe Społeczeństwo”.

Szereg słów, jak choćby „udo” (by na nim poprzestać), kompletnie wyłączono z mowy, a jednak była to epoka arcydzieł powieści. Pewna czytana osoba nie dała mi niedawno wiary, iż w „Annie Kareninie” Tołstoj, dla pełnego pogńębienia bohaterki, kazał jej, nie nazywając niczego po imieniu, używać środków antykoncepcyjnych. Aż musiałem pokazać palcem w tekście. Wzięty malarz, sir Lawrence Alma-Tadema, stracił pewnego razu intratne zamówienie, nazwawszy wobec damy z towarzystwa jeden z odcieni różu francuskim mianem cuisse de nymphe. W cenę poszły natomiast, w miarę upośledzenia wzroku, inne bodźce: niepokojące wonie lub równie oszała-

imitacji akwaforty – damskie akty, najprzód posągowe, przybierały w kolejnych ujęciach coraz wyszukaniejsze, niebywałe pozy. Dokładne zaś wpatrzenie się ujawniało u każdej wetknięty w anatomiczną ołówkę – wskazówkę, demonstrującą kopistom bieg kręgosłupa.

W malarstwie nagość dopuszczalna była zresztą, po uprzedniej depilacji, tylko w stylu antycznym bądź (wersja romantyczna) orientalnym. Odaliski duszone jedwabnymi szalami na szkicach do „Śmierci Sardanapala” Delacroix wiją się w kontorsjach, mogących zrosić widzowi czoło pod cylindrem – bynajmniej nie ze współczucia. Stąd każda golizna współczesna, jak „Olimpia” Maneta, „Rolla” Gervexa czy „Stwierdzenie cudzołóstwa” Garniera wywoływały murowany skandal. Wszystkich pobił jednak przyszły burzyciel kolumny Napoleona,



Gustave Courbet (1819–1877) – Źródło wszechrzeczy.

miające szelesty, jak odgłos damskich halek, zwany z francuska frou-frou. Najsędziwsi z lowelasów ubolewają wciąż, iż nigdy już tego nie usłyszą...

Brzydota piękna

„Przed paru laty tylko lekarz, malarz i klient niezbyt zamkniętych domów byli jedynymi śmierćelnikami, co znali nagość, każdy na swój sposób” – mówi jeszcze Valéry. Z lat 90. XIX w. pochodzi najsekretniejszy tom dawnych księgozbiórów publicznych – dzieło Krafft-Ebinga, uznające wszelkie, prócz misjonarskich, przejawy życia erotycznego za schorzenia. Przypomina mi to znalezioną w jednym z antykwariatów warszawskich ówczesną tekę fotografii rodem z Wiednia na użytek adeptów malarstwa. Zatopione w mroku sepii – dla

Courbet, ginekologicznym aktem „Źródło wszechrzeczy”, który i dziś porąbano by w salach Zachęty. Niemniej dzieło demaskatorów, innymi tylko środkami niżli obrońców cnoty, usunąć miało z kontaktów męsko-damskich wszelką spontaniczność.

Wonie i mgły

A że święte miejsce nigdy puste nie bywa, wzbronione i wyparte emocje prostodusznego erotyzmu doczekały się spełnień zastępczych. Jednym z nich okazało się przesunięcie aluzji erotycznych na teren, by tak rzec, gastryczny. Lektura monachijskiego tygodnika satyrycznego „Simplicissimus” dowodzi, że celowali w tym Niemcy, lecz i Anglicy pokrywali wnętrza swych

pubów wizerunkami dam podkaszających słuchaczy ogródkowej orkiestry czy puszcających wiatry przy próbie strzału z fuzji. Podobnie dekorowano ściany we Francji, choć tam do podmiejskich winiarni uczęszczała publika obupłciowa. Podmiejskich zaś dlatego, że za cesarstwa wprowadzono cło na handel winem w miastach. Wobec czego przedstawiciele tak zwanych ówczesnie klas niebezpiecznych, na przykład Paryżan czy w górnym biegu Sekwany. A że przyjemniej sływać z prądem, niż maszerować nocą w stanie demonstrującym stróżom porządku społecznego (rowerów jeszcze nie było), wymyślono przy okazji sport wioślarski. Tym miłszy, że na łódce wypadało, walcząc z nurtem, rozdziać się i porozpinać. Gustujący siłą rzeczy w tanich rozrywkach malarze-głodomory zwrócili przy oka-

*Koszulko dziewczęca, pancerzu ad hoc,
Na słodkie potyczki, które niesie noc,
Kiedy twoje koronki jak fala spieniona
Obnażają radosne i świeże ramiona:
Ciuszku uroczy,
Najmiłszy mój,
Cieszysz me oczy,
Mniejsza o króju!
A kiedy Ona zmierza do mnie wprost z pościeli,
Spoza twojej osłony kusząco się bieli
I napina ją dumnie krągłych piersi chwala,
Sycąc jedwab perfumą omdlałego ciała.*

Paul Verlaine

zji uwagę na dziwne poranne mgły i refleksy światła na wodzie. Tak z pazerności fiskusa narodził się impresjonizm.

Niewinność jako wyzwanie

Inne spełnienie zastępcze obiecywały dzieci. Pisarzom XIX w. patronuje skrycie dziecięcy erotyzm i to nawet w lekturach szkolnych, jak Dickens, Verne, Sienkiewicz. Czytelnicy Twaina pomną scenę, gdy zakochany w słodkiej Becky Tomek Sawyer bierze za nią od nauczyciela w skórę. Powód stanowi rozdarta przez Becky kartka należąca do pedagoga książki. W co tak się wpa-trzyła Becky, sięgnąwszy do cudzej szuflady, że zaskoczył ją Tomek? Otóż pedagog chciał zostać przed laty lekarzem i zachował z tych czasów

podręcznik, w który wgłębiał się melancholijnie podczas klasówek. Na rozdartej karcie widnieć musiał nagi mężczyzna!

Na literacki szlak rajów zakazanych wprowadza Dostojewski. Dwa razy – w „Zbrodni i karze” oraz w usuniętym przez wydawcę z „Biesów” rozdziale „Spowiedź Stawrogina” – opisuje przygodę dojrzałego donżuana z dziewczynką. Zwykle w obu historiach widzi się gwałt – ale nie: w każdej z nich lubieżnik został przez swą ofiarę swoiście sprowokowany. Niecisły jest zresztą i pogląd, że przygodę tę (czyżby własną?) opisał Dostojewski dwukrotnie. W istocie uczynił to raz jeszcze. Wiedza ta wymaga jednak poświęcenia, czyli lektury brulionów „Idioty”. Bezgrzeszny książę Myszkina miał tam być z początku kimś w duchu późniejszego Stawrogina, przyszła zaś lilia tygrysa, Nastasja Filipowna, nosi miano „rosyjskiej Mignon”.

zmu, pełna głodnych dzieci, była pod tym względem istnym zagłębiem erotycznym. Toteż kolejnym po Mignon wcieleniem ideału stała się równie mało w Polsce znana Anna, bohaterka autobiograficznych „Wyznań angielskiego pożeracza opium” Thomasa de Quinceya. Piętnastoletnia kurewka-trusia, samarytańska jak Sonieczka Mar-mieładowa, zajęła się strutym laudanum studentem bez grosza przy duszy, gdy doznał zapaści na londyńskiej Oxford Street. Odtąd pędzili czas na nie kończących się ulicznych wędrowkach – dwie bratnie dusze we wrogim, lodowatym mieście-molochu. Gdy Anna nagle znikła, przyszły pisarz poszukiwał jej daremnie kilka lat. Po niej obrażnię czytelników podbiła Kozeta, dreczona przez chlebobadców córeczka ładaczniczy z „Nędzników”.

– czas wreszcie mu to wytknąć – likwidacji ulega Iwona, księżniczka Burgunda.

Po drugiej stronie lustra

Była to cywilizacja słowa, nikt więc nigdy nie poznałby oblicza demonicznych aniołków, co opętały tyłu pracowników pióra, każąc im zmagać się z tąjoną żądzą, obawą opinii publicznej, cenzurą i własnym wstydem. Na szczęście jednak istniał Charles Ludwidge Dodgson, czyli Lewis Carroll. Wszyscy znamy dwa wcale nie dziecinne sny dziesięcioletniej Alicji Liddell i wiemy, że pierwszy z nich opowiedziany został czwartego lipca 1862 r. w trakcie wycieczki łódką po Tamizie pod Oksfordem. Z tej znajomości, którą lepiej nazwać fascynacją, pozostały też zdjęcia Alicji oraz jej sióstr Loriny i Edith.

*Pępek, ta gwiazda bioder,
Oko białe, rzeźbione w alabastrze,
Które Amor położył na środek
Sanktuarium, gdzie wstęp sobie
zastrzegł,
Niczym pieczęć rozkoszy!*

Théophile Gautier



Lewis Carroll – Alicja, Lorina i Edith Liddell

Znajomość wielkiej powieści Goethego, „Wilhelma Meistra”, bywa w Polsce dość ekskluzywna. Dodać więc trzeba, iż Mignon – dzika, śniada cyrkówka, którą zresztą pisarz obdarza swym szlagierem „Znasz-li ten kraj”, liczy sobie lat dwanaście. Pewnej nocy przychodzi do łóżka wielbionego Wilhelma, który bierze ją za dorosłą aktorkę, Filinę. W efekcie zazdrosne o rywalkę dziewczątko podpala teatr, i to podczas spektaklu „Hamleta”. Przygoda taka w Rosji Dostojewskiego musiałaby się dla bohatera skończyć Sybirem, dla autora zaś – katastrofą odrzucenia powieści, pisanej w trakcie przegrywania w ruletkę ostatnich szmatek nieśczęsnej żony. Ale cóż by to była za powieść!

Od anioła do demona

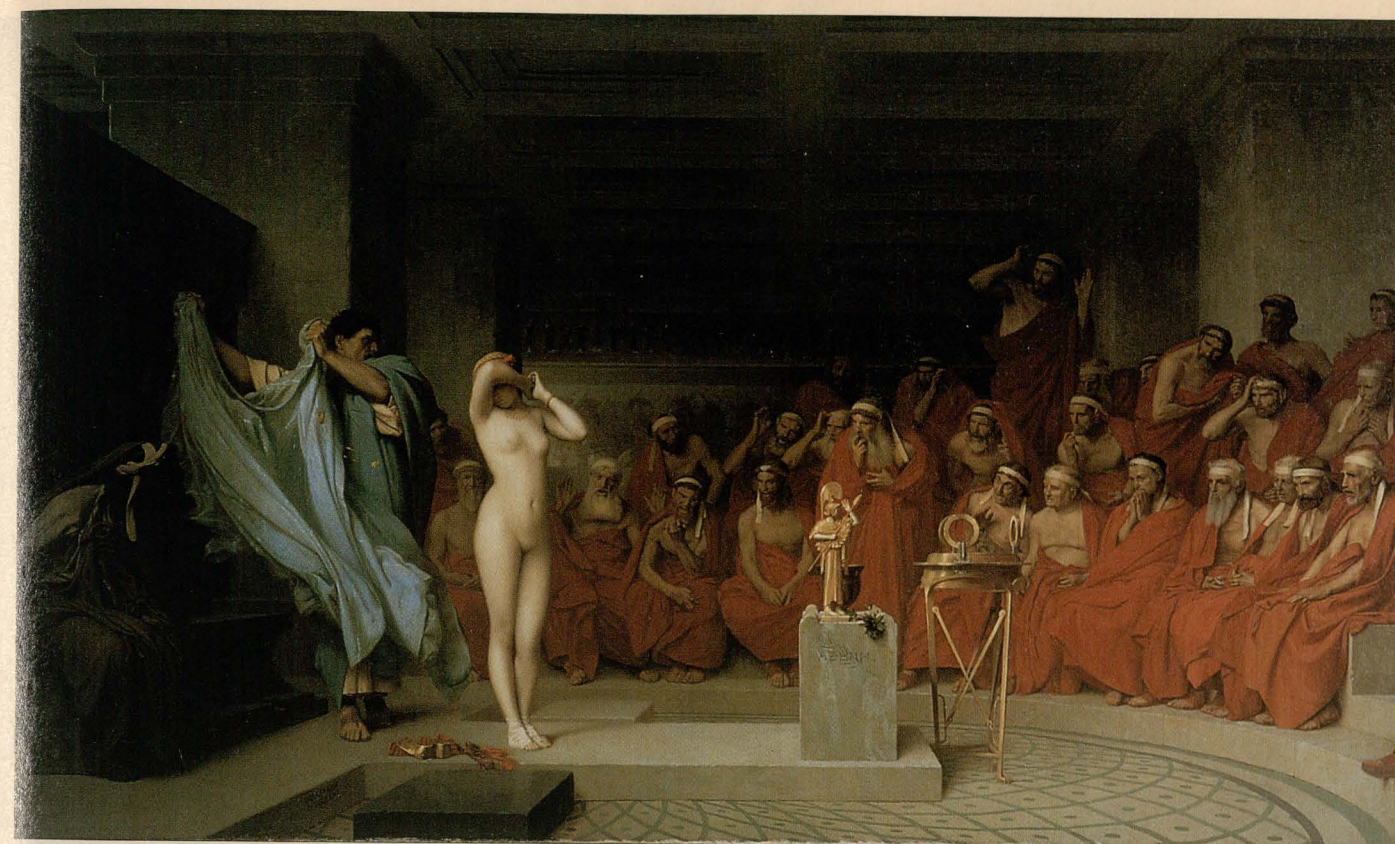
Wynika stąd, że dziewczynka, mająca dać bohaterom literackim to, czego pruderia wzbraniała kobietom dojrzałym, musi być przede wszystkim stosownie obdarta. Europa wczesnego kapitali-

Pod koniec wieku jednak ewolucja typu coraz jawniej wiąże niewinność z demonizmem. Trzynastoletnia bohaterka „Księgi Monelli” Marcela Schwoba udziela narratorowi nauk życiowych w stylu nietzscheańskim, po czym opowiada o szeregu swych „sióstr” – małych kusicielek poza dobrem i złem, niszczących chłopców i mężczyzn bezlitośnie, bo wręcz mimochodem. Punkt końcowy stanowi Malena ze sztuki Maeterlincka – wygnana księżniczka, dziewczę czternaście lat bez śladu biustu i pupy, o chorobliwie białych rękach, puszczonej oczach, zielone na twarzy, mówiące monosylabami i sunące somnambulicznym krokiem. A przy tym zwalające z nóg każdego spotkanego mężczyznę. Erotyzm Maleny wskazuje, że dramaturg belgijski, uznany dziś za nudziarza, wiedział na temat nimfetek nie mniej niż autor „Lolity”. Zahukane dziewczę, promieniujące destruktywnym wpływem, trzeba w końcu zbiorowym wysiłkiem usunąć ze świata, tak jak u Gombrowicza

Carroll umiał bowiem nie tylko opowiadać zagadkowe baśnie. Fotografował wszystkie dziewczynki, które przewinęły się przez jego życie, a było ich w sumie kilkaset. Czynał to bez wiedzy rodziców, przystajając modelki w poszarpane, żebrzące ciuszki i ustawiając w kusicielskich pozach. Z pełną ponocą niewinnością wystawiał się na pokusę – czy jednak obsesja może być niewinna? Pomni skandalu, który wybuchł, gdy 33-letni pastor profesor Carroll poprosił o rękę trzynastoletniej Alicji, spadkobiercy zniszczyli olbrzymi zbiór negatywów. Lecz i to, co ocalało, świadczy, że portrecista był genialnym. Dzięki niemu stanąć można twarzą w twarz z najgłębszym sekretem erotyzmu XIX w.

Nie w literaturze, lecz w tych zdjęciach przetrwała tęsknota, za którą dążyć trzeba po linie rozpiętej nad otchłanią najgłębszej hańby. Do ciał nie z mięsa, ze światła, do utraconego wraz z grzechem pierworodnym wdzięku – ostatniego refleksu boskości.

Tekst i przekład wierszy JAN GONDOWICZ



Pruderia i zakłamanie tej epoki przeszły do legendy, choć właśnie wtedy sztuka dała dzieła o najbardziej wysublimowanym erotyzmie.

Kobiety nie mogły mieć apetytów seksualnych. Odziane w ciasny gorset, nie były warte więcej niż ich cnota. Mężczyźni, przykładni mężowie oziębłych żon, brali odwet za seksualne niepowodzenia, szukając pocieszenia u ulicznicy i utrzymując luksusowe kochanki. Z lubością studiowali „nagie” wido-kówki i ilustracje – praprzodków dzisiejszych „świerszczyków”.

W życiu codziennym nie było miejsca na jakiegokolwiek przejaw seksualności, nagość wdarła się więc do malarstwa, rysunku, rzeźby, także do fotografii i wczesnych filmów. Każdy jej przejaw wywoływał żarte dyskusje o relacji między sztuką i moralnością. To zjawisko było charakterystyczne nie tylko dla sztuki brytyjskiej tego okresu – gdyby nie spory na temat zmysłowości i wyuzdania, nie byłoby francuskiego Salonu Odrzuconych, a Podkowiński nie zniszczyłby swego „Szału” w odruchu bezsilności.

Sztuka brytyjska eksponowała akt na szeroka skalę. Artyści czuli misję sformułowania narodowego stylu malarstwa, czemu patronowała sama kró-

Nagość po wiktoriańsku

wa Wiktorii, jak głoszą przekazy, wielka miłośniczka aktu. Inspiracje czerpano z historii i literatury. Często odwoływano się do świata fantazji: wiktoriańska nagość ma oblicze zarówno masywnej, do-brze zbudowanej matrony, jak i 12-letniej Lolity, bywa syreną obezwładniającą męskość rybaka i wystawioną na poniżenie Lady Godivę.

Po „nagie” tematy sięgali prerafaelici, z Johnem Everettem Millaisem i Edwardem Burne Jonesem na czele, oraz wielu innych: James Whistler, William Etty i John Singer Sargent, którego akt męski, noszący zresztą rysy samego artysty, wyróżnia się naturalistycznym ujęciem.

To, co mniej uchodziło w malarstwie, znajdowało ujście w rzeźbie. Na wystawie w Tate pokazano między innymi posagi Frederica Leightona. Jego doskonali anatomicznie herosi z brązu nawiązują do najlepszych tradycji rzeźby antycznej.

Oprócz sztuki wysokiej, nagości nie oparła się fotografia, od chwili powstania eksponująca ciało jako wdzięczny obiekt erotyczny. W tej dziedzinie nie obyło się bez skandali. Lokalny rozgłos uzyskała w Anglii sprawa Charlesa Dodgsona, czyli Lewisa Carrolla, autora „Alicji w krainie czarów”, który około roku 1879, jako eksperymentujący fotografik, zrobił serię roznieglizowanych zdjęć nieletnim dziewczynkom. Tych fotografii na wystawie zabrakło, pokazano natomiast liczne zdjęcia barona Wilhelma von Goedeny – akty młodych chłopców z małej sycylijskiej wioski.

Na wystawie odtworzono ówczesny fotoplastykon. Po raz pierwszy w historii obejrzeć można wiktoriańskie „peep show”, na którym mało pociągają-

ca gruba matrona pozbywa się siedemnastu warstw bawełny i jedwabiu w sposób zgola nie erotyczny.

Wystawa opowiada o hipokryzji i wyuzdaniu społeczeństwa epoki wiktoriańskiej. Jednak nagromadzenie aktów i ich podobieństwo sprawia, że w pewnej chwili widz poddaje się ich monotonii. Michael Palin, ex-Monty Python, powiedział, że to jak pobyt w łaźni publicznej. Po jakimś czasie chce się krzyknąć – wystarczy już tych tyłków!

AGNIESZKA PARTRIDGE

Wystawa „Nagość wiktoriańska – ujawniona!” Tate Britain, Linbury Galleries, listopad 2001–styczeń 2002.



Wilhelm von Gloeden. Akty młodych chłopców.



Ta droga biegnie
tysiąc metrów wyżej,
niż sięga szczyt
Mont Blanc.
Średnia życia
jej budowniczych
wynosi około 40 lat.

TEKST I ZDJĘCIA WOJCIECH HETMAN

Spotykałem ich w niedostępnym rejonie Himalajów. Na wysokości 4000 m, która u Europejczyka może spowodować zawroty głowy i duszności, w długich metalowych kadziach łopatami mieszały rozgrzany asfalt. Żyją z dala od jakiegokolwiek cywilizacji, w budowanych tymczasowo obozach. Przypominają postacie z piekła, skazane za niegodziwość na wieczne potępienie, a nie robotników wykonujących swą pracę. Mają zniszczone ręce i zobojętniałe od wysiłku spojrzenia. Łapczywie sięgają po papierosy. Mogą palić non stop. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że ich praca ma nie tylko dla nich, ale dla całych Indii wymiar o wiele większy, niż można by się spodziewać.

Droga = komunikacja

Był środek lata. Temperatura nie przekraczała tu 5 stopni. W tybetańskiej części Indii panuje nad wszystkimi żywymi stworzeniami zimny wiatr. Na 350-kilometrowym odcinku drogi nie było stacji benzynowych, barów, wiosek. Wkoło wznosiły się sześć- i siedmiotyśięczniki. Jedynym świadkiem cywilizacji była wąska wstążka asfaltowej, mocno postrzępionej drożki i jej budownicz, mieszkający w obozie.

Ich zajęcie wydaje się elementarnie proste i polega na budowie dróg, przebiegających przez najwyższe położone przełęcze w indyjskich Himalajach. Często są to miejsca położone na wysokości 4-5 tys. m n.p.m. Przez kierowców nazywani są popularnie i z respektem królami szos. Coś w tym jest – wykonują pracę nie tylko pożyteczną, ale i szalenie trudną i niebezpieczną. Jak podają statystyki, himalajskie drogi pochłaniają średnio jednego robotnika na kilometr.

Droga tylko czasami jest szersza niż 3-4 metry. Ciężarówki jadą swobodnie. Sytuacja komplikuje się, gdy w wykuwanych dynamicznie „mijankach” zaczyna brakować miejsca

na kolejny nadjeżdżający z przeciwka pojazd, a spod kół sypią się kamienie, lecąc z hukiem w 300-metrowe przepaście. W takich miejscach najlepsi kierowcy z pokorą zdejmują nogę z gazu. Kiedy przepaście są szczególnie blisko, na wysokich uskokach kierowcy muszą manewrować godzinami.

Droga = 5 500 m n.p.m.

Dzięki pracy budowniczych Indie stały się posiadaczem dwóch najwyższych położonych dróg samochodowych na świecie. Pierwsza prowadzi z Leh do doliny Nubra przez przełęcz Kardung La na wysokości 5570 m n.p.m., czyli prawie 1000 metrów wyżej niż najwyższy szczyt Europy.

Już sam wjazd na przełęcz zapiera dech. Kto choć raz dotarł na taką wysokość, zupełnie inaczej myśli o budowniczych drogi. Samo oddychanie i poruszanie się sprawia tu trudność – w rozrzedzonym powietrzu brakuje tlenu. Drugi światowy rekord to trasa prowadząca z leżącego na południu indyjskiego kurortu Manali. Ta droga ma 475 kilometrów i pokonuje się ją zazwyczaj w ciągu dwóch dni, przejeżdżając cztery wysokie przełęcze: Rothang (3998 m n.p.m.), Baralacha (4650 m n.p.m.), Lachulung (5065 m n.p.m.) i Taglang (5329 m n.p.m.).

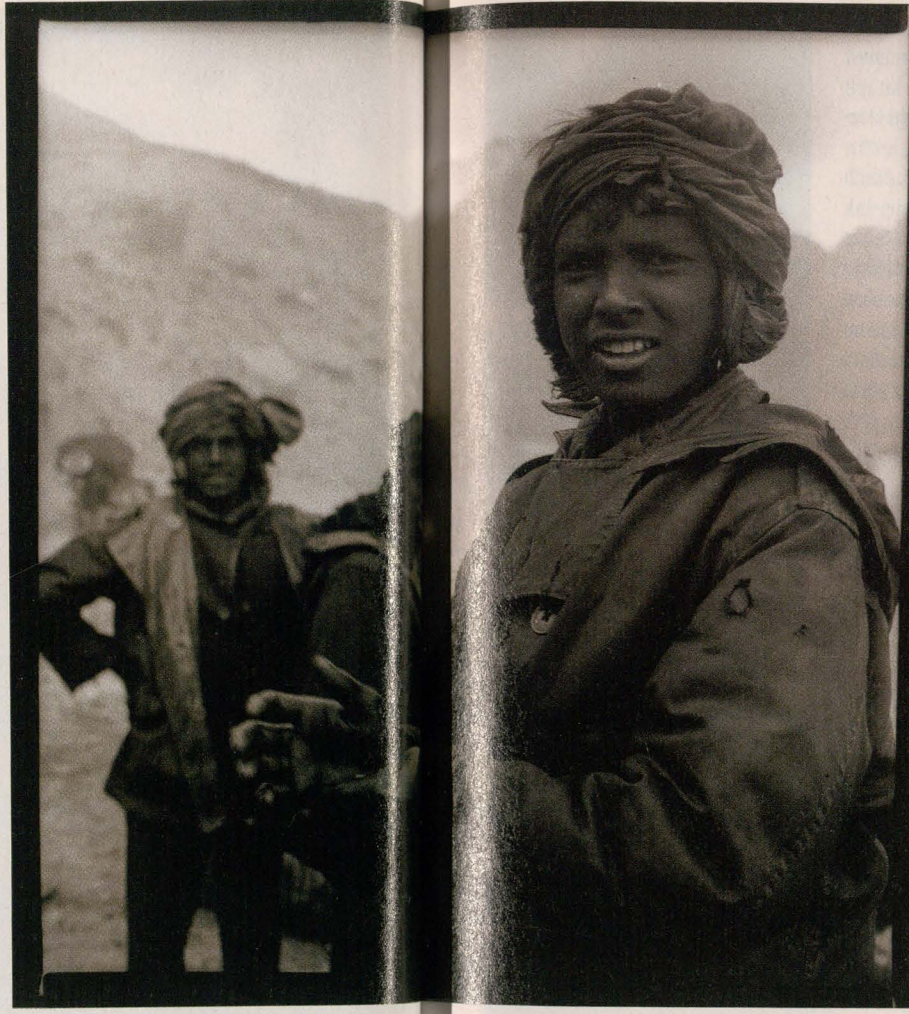
Droga = czarne dłonie

Z początku nie zamierzałem zatrzymywać się w tym górskim obozie. Ale w wypożyczonym w Manali motocyklu zapchał się gaźnik. Tkwiąc przy rozłożonym na części silniku, zawarłem nowe znajomości.

Najpierw poprosili mnie o papierosy. Po godzinie wyznali mi, że jestem pierwszym Europejczykiem, z jakim rozmawiają w tym roku. Rozpoczęliśmy konwersację na migi. W końcu Tashi, właściciel całkowicie czarnych od smoły rąk, powiedział: chodź, i zabrał mnie na spacer.

Pokazał mi, jak pracują. Nie mają żadnych specjalistycznych narzędzi. Najważniejsze są kilofy i łopaty. Najpierw rozbijają przywiezio-





ne beczki ze smołą i asfaltem. Następnie smołę rozdrabniają na mniejsze kawałki i wrzucają do długich żelaznych wanien. Pod wannami rozpalają ogień i kiedy smoła zaczyna wrzeć, wrzucają do niej drobne kamienie. To wszystko miesza łąpatami i przewożą taczakami. Jedyną współczesną maszyną jest walec drogowy.

Początkowo budowanie dróg powierzano uchodźcom tybetańskim. Jednak nie sprawdzali się w tak ekstremalnych warunkach i marli jak muchy.

Chociaż w Indiach miliony ludzi szukają pracy, niezwykle ciężko było znaleźć takich, którzy podołaliby temu wysiłkowi. Sprowadzano najemników z innych części Indii lub z Nepalu, przywykłych do rozrzedzonego powietrza i niemal niewolniczej dyscypliny. Zorganizowani w kilkunastoosobowych zespołach, mając nadzorcę, pracowali chętnie, bo to była dla nich jedyna szansa wyrwania się z wiosek i zarobienia kilku groszy.

Droga = 40 lat

Wszystko ma swoją cenę. Nawet krótkie przebywanie w oparach smoły i asfaltu powoduje poważne choroby, z rakiem na czele.

Dlatego średnia długość życia robotników nie przekracza 40 lat. Do tego dochodzi panująca na tych wysokościach zimno i niewłaściwe odżywianie.

Ahmed, wyglądający na 50-letniego mężczyznę, ma 31 lat. W tym gronie jest seniorem. Większość pracujących to młodzi chłopcy. Jak Tashi, twierdzą, że mają 18 lat, choć nie wyglądają nawet na 16. W nocy, kiedy temperatura spada poniżej zera, śpią w namiotach, okrywając się lichymi kocami. Myją się w strumieniu, a potrzeby załatwiają w prymitywnej latrynie.

Droga = turyści

Współczesna cywilizacja wkroczyła tutaj niedawno. Początkowo na terytorium spornego Kaszmiru drogi używane były tylko przez wojskowych i mieszkańców. Podróżowano latem i nie dalej niż do pobliskiej wioski, gdzie znajdował się sklepik. Prawdziwą wyprawę stanowiło pokonanie 100-kilometrowego odcinka do stolicy Ladakhu Leh.

Kiedy w 1989 r. droga łącząca Srinagar z Manali została udostępniona turystom, nastąpił przełom. Połączenie ukrytych w Himalajach państw Ladakhu i Zanskaru z In-

diami kontynentalnymi przyniosło jednak więcej szkód niż pożytku. Zamiast podróżować do Srinagar 10 dni na grzbiecie konia, można teraz dotrzeć tam w dwa dni ciężarówką lub lokalnym autobusem.

Jedyna zmiana, jaką zauważają mieszkańcy, to coraz większe transporty wojska. Do stolicy Ladakhu, należącego administracyjnie do Kaszmiru, docierają co prawda transporty garnków, czajników, siekier i chińskich tramppek, ale i tak każdy wie, że najlepiej samemu wszystko zrobić, uszyć, wystrugać.



Kaszmirczycy ze Srinagar stali się prawdziwymi monopolistami w dziedzinie handlu, wypierając rdzennych Ladakhijczyków. W lecie można jednak zarobić na turystach szukających tybetańskich klasztorów. Dzięki nim nastąpiło pewne ożywienie. Zaczęto remontować zaniedbane przez wiele lat budowle. Wszystko to trwa jednak tylko przez cztery miesiące lata, kiedy drogi są przejezdne.

Na początku listopada na przełęczach leży już śnieg. Komunikacja zamiera i wszystko wraca do pradawnego rytmu.

Droga = władza

Droga ze Srinagar do Leh jest jedną z najważniejszych w Azji. Jeżeli dojdzie do wojny między dwoma atomowymi potęgami – Indiami i Pakistanem, to jednym z pierwszych rozkazów będzie zdobycie drogi pod Kargilem i przejście kontroli nad tym terytorium.

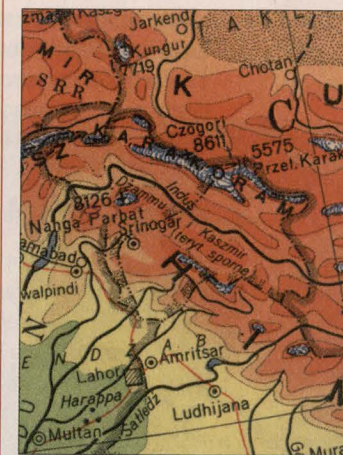
Różnice sił między armiami są znikome i tylko zastosowanie niekonwencjonalnej broni może zapewnić zwycięstwo. W górskich rejonach ten, kto kontroluje drogę, gwarantuje sobie sprawowanie realnej władzy na tysiącach kilometrów kwadratowych.

Od wieków drogą łączącą Kaszmir z Tybetem przechodziły karawany z centralnej Azji. Sama wyprawa do Tybetu trwała jednak miesiącami. Po 1947 r., kiedy Kaszmir został włączony do Indii, szybko okazało się, że do z pozoru nikomu niepotrzebnej skrawka gór i pustyni roszczą sobie prawa aż trzy duże państwa.

Dzisiaj, zamiast karawan wielbłądów, spotyka się tam mnóstwo indyjskich posterunków, spraw-

dzających dziesiątki razy dokumenty. Kontrole nasilają się szczególnie w okolicach Kargilu, gdzie obie armie prowadzą regularną wymianę ognia. Utrzymanie drogi ze Srinagar do Kaszmiru jest być albo nie być Indii w tym regionie. Kolejne rządy w Delhi za punkt honoru poczytują sobie utrzymanie tutaj jak największej ilości wojska, a co z tym związane – dobrego stanu drogi.

Tekst i zdjęcia WOJCIECH HETMAN



Jeżeli weźmiemy do ręki najdokładniejszą mapę Nellesa, zobaczymy, że te rejony mają intensywny pomarańczowy lub czerwony kolor, oznaczający tereny sporne lub pozostające w stanie wojny. Granice i postrzępione linie tymczasowego zawieszenia broni krzyżują się tu częściej niż gdzie indziej.

Spoglądając na te tereny na mapie w większej skali, odkryjemy, że to płaskowyż tybetański.

Mapa polityczna uświadomi nam zaś, że w tym miejscu krzyżują się interesy trzech największych azjatyckich potęg: Chin, Indii i Pakistanu.

Jeszcze dziwniejszą sytuację można odczytać, spoglądając na mapę z XIX w. Zamiast Indii odnajdziemy w tym regionie angielskie kolonie, małe państewka i niezależny Tybet. Na współczesnej mapie nie ma ich. Trudno powiedzieć, dlaczego, choć być może chodzi

właśnie o kolor, który ktoś chciał mieć na wyłączność.

Nigdzie, na żadnych mapach świata, nie ma tyle czerwieni i pomarańczy jak na Płaskowyżu Tybetańskim.



Skuteczniej niż seks

U Wacława Sieroszewskiego znalazła ekscytującą informację, że Ainowie pocierają się grzbietami nosów; u Bronisława Malinowskiego wyczytała, że intymną pieszczotą kiriwińską jest obgryzanie rzęs. Przyszła (wtedy ośmioletnia) pani profesor KRYSTYNA PISARKOWA ostatecznie zrezygnowała z lektury „Dzieł wszystkich” Józefa Piłsudskiego, wybierając z domowej biblioteki „Życie seksualne dzikich”.



Tubyłcy z wioski Kiriwina.

Książki zesłańców, podróżników, jak Wacław Sieroszewski i Bronisław Malinowski – wspomina po latach pani profesor – uświadomiły mi jeszcze w dzieciństwie rozkosze lektur antropologicznych. Na studiach w Krakowie przekonałam się, jak rozległe są ogrody polonistyki, także językoznawczej. A po studiach kontakty cudzoziemskie przekonały mnie, że żadna inna filologia nie łączy w tak „ciasny”, a równocześnie luźny sposób horyzontu egzotyki z sednem kultury europejskiej, która zresztą nie jest świadoma, że wielki Malinowski był Polakiem.

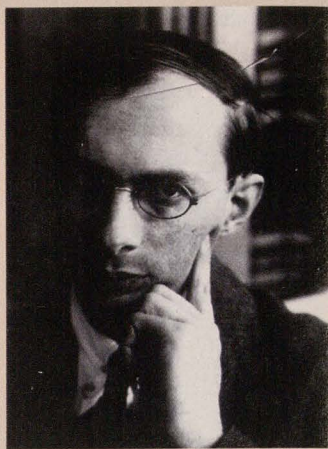
Antropolog językoznawcą

Pani profesor jest autorką wydanej niedawno znakomitej, nagrodzonej dwutomowej monografii „Językoznawstwo Bronisława Malinowskiego”, jednego z najwybitniejszych antropologów świata, znanego nam, zjadaczom chleba, prawie wyłącznie (a i to najczęściej tylko ze słyszenia) jako autora „Życia seksualnego dzikich” – monografii, którą w latach trzydziestych tłumaczył, wydawał i kupował cały świat. Ten tytuł – pokupny, że daj Boże zdrowie! – wymyśliła prawdopodobnie żona Malinowskiego, autorka tomiku poezji, kobieta o duszy poetyckiej, co widać i w tytułach innych, przygotowywanych przez nią do druku, prac męża: „Ogrody koralowe” czy „Argonauci Zachodniego Pacyfiku”.

Panią profesor zafascynował przede wszystkim fakt, że nasz znakomity rodak jako pierwszy antropolog świata wykorzystał do celów naukowych nie znaną wtedy jeszcze prawdę, iż dla nauki o społeczeństwie jednym z najistotniejszych zjawisk jest język, bo to on czyni z nas ludzi.

W maju 1915 r. wśród mieszkańców wyspy Trobrianda na Pacyfiku pojawił się 31-letni podróżnik. Zamieszkał w tubylczej wiosce Kiriwina, w namiocie, w którym na posłaniu rozścielił pościel z monogramem wyhaftowanym przez matkę. W kącie gramofon z płytami modnego wtedy Richarda Straussa.

Z wyjątkiem godzin, w których bębnił w maszynę do pisania, cały czas przebywał wśród mieszkańców archipelagu, wypływając z nimi na połów łodzią z żaglem z liści pandanusa, uczestnicząc w świętach ple-



Bronisław Malinowski w obiektywie Stanisława I. Witkiewicza.

miennych i rodzinnych oraz uwieczniając widoki i ludzi z wysp na niezliczonych fotografiach (przechowywane w archiwum London School of Economics; żyją „nowym życiem” dzięki zabiegom konserwatorskim australijskiego uczonego i fotografa Michaela W. Yunga).

On obserwował ich, oni jego. Potem napisze: „Tak zwany dziki zawsze był zabawką dla człowieka cywilizowanego – w praktyce wygodnym narzędziem eksploatacji, w teorii źródłem sensacyjnych wzruszeń. Dzicy byli dla czytającej publiczności ostatnich trzech stuleci rezerwuarem nieoczekiwanych możliwości w ludzkiej naturze; dziki miał przyozdabiać tę lub inną aprioryczną hipotezę jako istota okrutna lub szlachetna, rozwiązła lub skromna, ludożerca lub łagodna, zależnie od tego, co odpowiadało obserwatorowi lub teorii. W rzeczywistości dziki, z którym zapoznaliśmy się w Melanezji, nie odpowiadał żadnemu obrazowi...”.

Człowiek Pieśni

Tak o mieszkańców kolonizowanych terytoriów nie pisał jeszcze nikt.

Bronisław Malinowski był również – nie licząc odkrywców wyspy – pierwszym białym człowiekiem, który – przybywając tu – nie znał ani słowa w miejscowym języku, ani nie miał ze sobą tłumacza.

– Nie chciał nikogo – tłumaczy pani profesor. – Zresztą, wątpliwe, czy by się znalazł ktoś znający i język tubylczy, i angielski, a nie jedynie pidgin, przedziwną mieszankę tych obu języków. Malinowski nie chciał „pośrednika”, jego interesowały języki i miał świadomość swych zdolności ję-

zykowych – znał prócz polskiego i angielskiego również niemiecki, włoski, hiszpański, francuski, rosyjski, grekę i łacinę. I rzeczywiście, nawet nie wiedzieć kiedy przeszedł wszystkie etapy lingwistycznego oswojenia: rozumienia, co mówią, rozumienia, kiedy mówią szybko, rozumienia, gdy mówi kilku naraz...

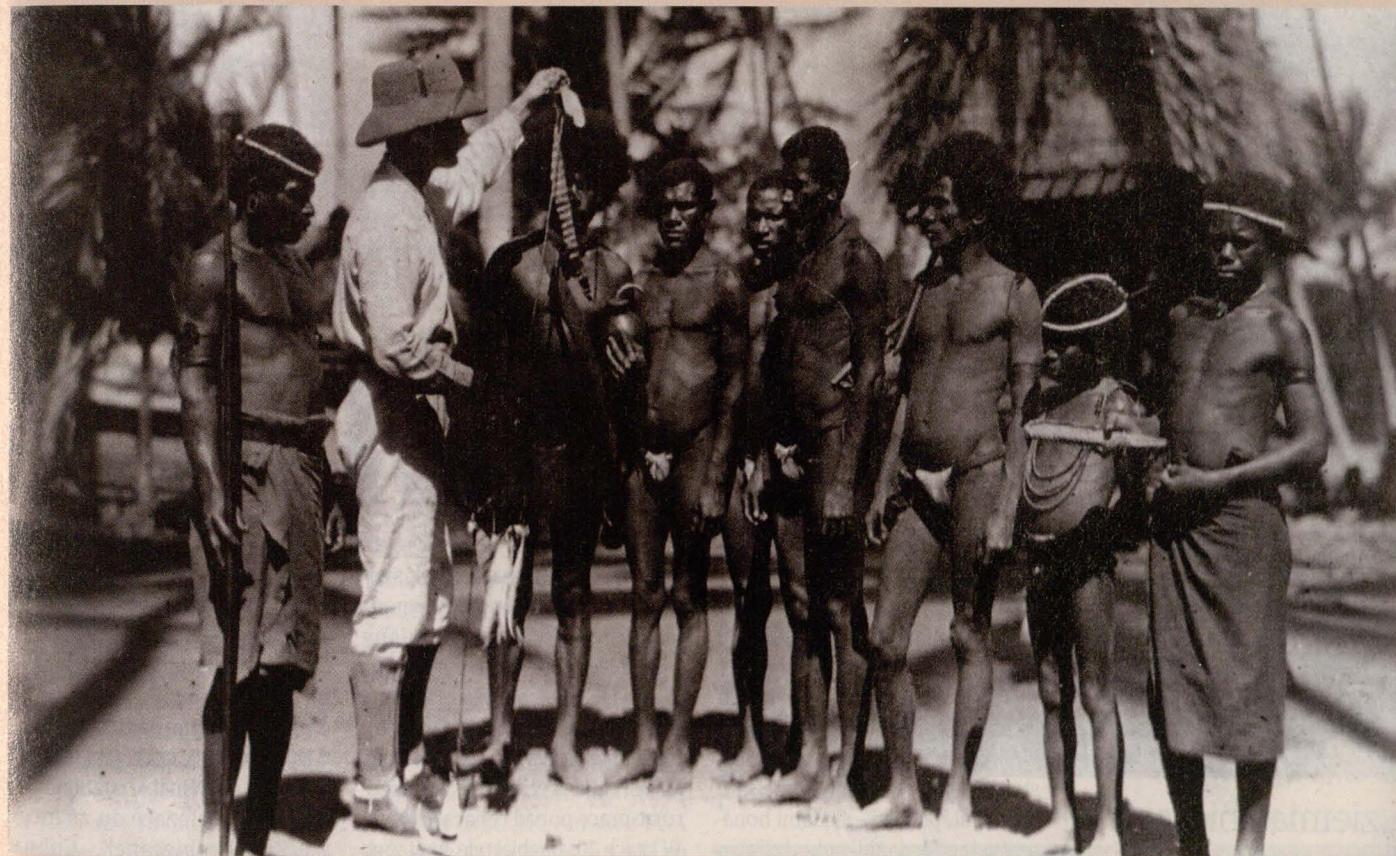
Po roku potrafił Malinowski swobodnie mówić w języku trobriandzkim, po siedemnastu miesiącach nabrał pełnej biegłości w posługiwaniu

wśród Trobriandczyków, a nieznanych zupełnie w Europie? Okazuje się, że można, osobiście dlatego, że w języku człowieka pierwotnego z Papui, z Nowej Gwinei znaczenie słowa jeszcze bardziej niż gdzie indziej, niż w świecie cywilizowanym, zależy od kontekstu, od sytuacji, w której zostało użyte. Np. – ikimali-se znaczy „Już oni (dalejże się) erotycznie drapać...”. Z tych słów można bez odmieniania ich przez nie istniejące w języku wyspiarzy deklina-

czeństwa. Ale to absolutnie cudowny mechanizm łagodzenia obyczajów i działania fizycznego. Pomaga jeszcze skuteczniej pocieszać i cieszyć niż obgryzanie rzęs. Niewykluczone, że gdy liczne gatunki ssaków wyginęły – człowiek ocalał dzięki językowi. Wyraziście uświadomił nam to dopiero polski antropolog, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, Bronisław Malinowski, rozszerzając reprezentowaną przez siebie naukę o wątek językoznawczy, wyodrębnia-

„pieśń”. A jeden z młodszych brytyjskich antropologów, który był na Trobriandach śladami Malinowskiego, stwierdził, że w świadomości dzisiejszych mieszkańców wyspy Malinowski żyje właśnie jako Człowiek Pieśni. Pewnie by dziś nie poznał „swojej” wyspy, którą uczynił tak sławną. Dziś Kiriwina ma swój hotel, swoje lotnisko, ale i przekład Pisma Świętego na język kiriwiński.

LESZEK MAZAN
zdjęcia archiwum „P”



Podczas podróży badawczej na Wyspy Trobrianda.

się nim w praktyce. Był tam dwa lata. Pisał w listach do przyszłej żony zarówno o satysfakcji z tej umiejętności, jak i o tym, jak ciężko mu przyszła nauka.

Ale gdyby postąpił inaczej, nie powstałoby dzieło tak znakomite, tak doskonale wyczułone także na zjawiska językowe, nawet w „Życiu seksualnym dzikich”.

Poznał 1300 osób, rozmawiał z nimi, zaprzyjaźnił się. Zanotował kilka tysięcy słówek, 200 zaklęć magicznych, kilkadziesiąt pieśni. Jak badacz mógł znaleźć w języku angielskim czy jakimkolwiek innym sobie znanym nazwy dla czynności czy zachowań seksualnych powszechnych

– cje i koniugacje zbudować zdanie o egzotycznym znaczeniu. Znakomity uczony nie zapisywał angielskich odpowiedników słówek. Słownik dwujęzyczny uważał za barbarzyństwo.

Język – atrybutem człowieczeństwa

– Był antropologiem, patrzył na język inaczej niż „zwykły” językoznawca – mówi prof. Pisarkowa. – I dopatrywał się rzeczy, o których się przed nim nie myślało. Wiedzano na przykład, że język ma funkcję przede wszystkim praktyczną: człowiek wpływa na człowieka przez język. Język jest atrybutem człowie-

jącą tę funkcję języka, która wiąże ludzi prawdziwymi więzami. Czasem aż tak, że nawet na śmierć i życie.

– Skuteczniej niż seks?
– Tak, skuteczniej niż seks. „Primitywni” Trobriandczycy uważali, że ten, kto milczy – ma coś do ukrycia. A ten, kto ma coś do ukrycia, to człowiek niedobry albo wróg.

Filozofowie uważają inaczej. Na nieszczęście filozofowie stanowią malutki procent ludzkości. Malinowski go zawyżył, pisząc (zresztą w innym kontekście): 5 proc.!

Pani profesor opowiada, że, być może, Trobriandczycy kojarzyli nazwisko Malinowski z wyrazem kiriwińskim maylu. Wyraz ten znaczą

K. Pisarkowa: „Językoznawstwo Bronisława Malinowskiego”. T. 1. – „Więzy wspólnego języka,” s. 344; t. II pod red. K. P.: „B. Malinowski Problem znaczenia w językach pierwotnych; Formanty klasyfikujące” (przeł. z ang. T. Szczerbowski); „Słownictwo Kiriwiny” – opracował Tadeusz Szczerbowski, s. 421. Universitas, Kraków.

* Tom I mówi o jego zaangażowaniu w językoznawstwo – tom II zawiera polski przekład jego dwóch rozpraw językoznawczych i wszystkie słówka kiriwińskie, rozsypane w pismach Malinowskiego jako przykłady. Teksty językoznawcze tłumaczył, a słówka ułożył w słownik kiriwińsko-polski prof. Tadeusz Szczerbowski.



Śmierć imperium

W slumsy przemienia się powoli sławna Reymontowska „ziemia obiecana”. Dziś nawet kwiatki nie rosną w Łodzi tak bujnie, jak za Scheiblera.

– Sto lat temu było tu królestwo Scheiblera. Dziś czuję, że krążę między duchami dawnych tkaczy – mówi 11-letni Piotruś Biliński, uczeń V klasy Szkoły Podstawowej nr 19 w Łodzi. Pokazuje mi resztki dawnego Scheiblerowskiego imperium: Księży Młyn. Czyli „ziemię obiecaną” pokoleń nędzarzy z okolic Warszawy i z Kujaw, ze Zgierza, Kolu-

szek, Piotrkowa, Tomaszowa. Oprócz wielkiej przędzalni Karol Scheibler, najpotężniejszy łódzki fabrykant, ponad sto lat temu wybudował tu całe osiedle. Po tym samym koślawym ulicznym bruku, którym wędruję z Piotrusiem, stapały tysiące robotników i sam Reymont, później – śladami bohaterów jego książki – chodził Andrzej Wajda, nim nakręcił film.

Człowiek jakby nie żył

Osiedle Księży Młyn to rzędy famułów: budynków z czerwonej, nieotynkowanej cegły. Bliźniaczo podobne do śląskich familoków, jak one niszczej w oczach. – Dla mnie to miejsce magiczne! Dumni jesteśmy, że wychowałem się tu, w dziewiętnastowiecznej scenerii osiedla robotniczego, w której do dziś prawie nic się nie zmieniło – mówi Marek Czekalski, inżynier włókiennik, prezydent Łodzi w latach 1994–1998. – O świcie budził mnie gwizd kotłowni, która zawsze o godzinie czwartej wypuszczała parę. Mój

dziadek dobrze znał dźwięk świstawek, opisany przez Reymonta. Oznaczały koniec zmiany w fabryce.

Dziadek Marka Czekalskiego był majstrem w tkalni Scheiblera i komendantem przyfabrycznej straży. Po hali chodził w białym kitlu, dozorując pracę ponad tysiąca krosien. W latach 20. zarabiał tyle, że stać go było na własny samochód. Majster – jak dyrektor, prokurent, obermajster, tkacz – należał do elity Scheiblerowskiej fabryki.

Od początku osiedle trochę było knajackie, ale piwko stanowiło obyczaj wyłącznie sobotni. W cegielnianych famułach mieszkańcy żyli jak w rodzinie. Gdy w latach 30. w fabrykach wybuchały strajki i strajkujący nie otrzymywali tygodniówek, kobiety z famułów dla wszystkich gotowały na podwórkach zupę w kotłach. Scheibler słynął z przebiegłości. Kiedy w łódzkich fabrykach strajkowano, nasłuchiwał, co wywalczą tam sobie robotnicy, i szybko te same przywileje dawał własnym pra-

cownikom. Unikał w ten sposób strajków – czyli strat – w swym kombinacie.

Popołudniami, gdy dzieciaki prowadziły uliczne wojny, zasiadano przed famułami, plotkując o skandalach. Choćby o Metysku. Z imperium Scheiblera graniczyło mniejsze, należące do znanego z „Ziemi obiecanej” Cohna. Ochroniarzem w fabryce Cohna był niejaki Metysek. Po pracy trudnił się stręczycielstwem. Co ładniejsze prządki wybierał dla swego pryncypała. Kiedyś znalazł mu dziewczynę, która miała narzeczonego. Gdy szef ją uwiódł, narzeczony prządki go zastrzelił. Metyska też ktoś wkrótce zastrzelił i odtąd, gdy na osiedlu coś się komuś nie powiodło, mówiono: „Przyszła krysa na Metyska”.

Wyzyskiwacz?

W jednej z famułów mieszka 84-letnia pani Janina Olszewska. Jej dziadkowie przywędrowali tu z małej wioski pod koniec ubiegłego wieku. U Scheiblera zostali tka-

czami. Jej matka, jak każda prządka, sama musiała czyścić swoją maszynę, z której wychodziła śnieżnobiała bawełna. Szybko zapadła na astmę. Kiedy ojciec Janki spadł z maszyny tkackiej – gdy urwały się w niej pasy transmisyjne – odszkodowania nie dostał. Pani Janina przez pół wieku ciężko pracowała w kurzu hali przędzalni jako kolorystka. Co dzień bała się utraty pracy. A jednak z łezką w oku wspomina czasy panowania w Łodzi „króla bawełny”:

– Scheibler o nas dbał! Dla robotników swoich zakładów wybudował cały kompleks: przedszkole, szkołę, szpital, przyfabryczny sklep-konsum. Towary sprzedawano nam po umiarkowanych cenach za okazaniem specjalnej książeczki. A że w zakładach włókienniczych często wybuchały pożary, miał własną straż ogniową i ogromną remizę. Działał tu teatr i orkiestra dęta. Jako dziecko za deklamację wiersza dostawałam od pana Scheiblera woreczek z ciastkami i cukierkami.

Ale Niemcy – dominujący tu do 1914 roku – traktowali Polaków z wyższością. Wypraszały z kościoła, kiedy ktoś się głośniejsze odezwał po polsku.

Dla robotników azyl stanowiła przyroda. Największą radością były ogródki działkowe przy niektórych domach. Majówki i zabawy w parku, gdzie rosły miłorzęby chińskie. Dziś pani Janina żałuje wyciętych drzew. Nawet kwiatki nie rosną tak, jak „za Scheiblera”. I żałuje dawnego pruskiego porządku na osiedlu. Grzeczności na co dzień, bo kindersztuba – mimo biedy – była najważniejsza. O godzinie 22 stróż, dzień i noc w drewnianej budce pilnujący spokoju, ryglowali „królestwo Scheiblera”: trzy żeliwne bramy i furtki. Mieszkańców obowiązywało cotygodniowe mycie schodów. I czystość w murowanych wychodkach.

– Do 1955 roku w naszym domu była tylko lampa naftowa, a wodę czerpaliliśmy ze studni, nieczystości wylewając do ulicznego rynsztoka – opowiada Andrzej Szmajda, mieszkaniowiec sąsiedniej famuły. W tkalni przepracował czterdzieści lat. – Dziadek mi opowiadał, że dawniej w ma-

łych, jedno- lub dwuizbowych mieszkaniach żyło po piętnaście osób. Jadło się barszcz z ziemniakami, kapustę, kluski, zalewajkę. A jednak Scheibler był tak szanowany, że pracownicy bez przymusu całowali go w rękę. Kim naprawdę był – wyzyskiwaczem czy dobroczyńcą?

Gdzie jest pomnik Scheiblera?

Nad rzeczką Jasień w XV wieku postawiono młyn. Należał do łódzkiego plebana i odtąd okolice nazywano Księżym Młynem. Gdy w połowie XIX wieku przeszedł w posiadanie Karola Scheiblera, nikt nie przypuszczał, że lokując tu swą fortunę, ów kulawy na jedną nogę sukiennik-potentat spod Akwizgranu stworzy jedną z największych fabryk włókienniczych dziewiętnastowiecznej Europy. Fortunę zrobił w czasie tzw. głodu bawełnianego – kryzysu spowodowanego brakiem bawełny w czasie wojny secesyjnej. Przewidział tę sytuację, zaopatrzył się w zapasy bawełny, sprzedał ją potem z wielokrotnym zyskiem i na dwustu morgach Księżego Młyna wybudował swe gigantyczne bawełniane imperium: przez kilkadziesiąt lat jego czteropiętrowa przędzalnia była największym obiektem przemysłowym Łodzi. Wzniósł tkalnie, niciarnie i wspomniane osiedle dla robotników oraz własny pałac-rezydencję.

– Gdy prof. Jan Karski z USA odwiedził kilka lat temu Łódź po pięćdziesięcioletniej nieobecności – mówi Marek Czekalski – opowiadał mi o nieludzkiej nędzy, jaka przed drugą wojną panowała w wioskach pod Łodzią. Kto znalazł pracę u Scheiblera, czuł się jak w raju. Reymont tego nie rozumiał!

Scheibler jako pierwszy w Polsce zastosował maszynę parową. Na łódzkie ulice wprowadził tramwaje, jego prywatna gazownia oświetlała fabrykę i osiedle robotnicze, stworzył też pierwszą bibliotekę dla robotników.

Na Księżym Młynie podśmiewano się z niego, że choć bogaty, nie wie, co to dobry gust i styl. Gdy planował budowę swej rezy-

dencji, zapytał go architekt, w jakim stylu ma być pałac. „Mnie – odpowiedział podobno – stać na wszystko”.

– To plotka! – oburza się dr Antoni Szram, historyk sztuki, główny konsultant filmu „Ziemia obiecana”, jeden z pierwszych konserwatorów zabytków miasta Łodzi i twórca Muzeum Kinematografii w pałacu Scheiblera na Księżym Młynie. – Obraz tępego kapitalisty wykreowano w Polsce po drugiej wojnie światowej. Pora ten stereotyp przełamać. Pamiętajmy, że na ziemiach polskich jego Księży Młyn był pierwszym zwartym kompleksem przemysłowo-mieszkaniowym. W pięknej willi, którą zbudował dla swej córki Matyldy i jej męża, mieści się dziś oddział łódzkiego Muzeum Sztuki.

– Miasto powinno wybudować Scheiblerowi pomnik – mówi pani

wali, sam Scheibler uważał się za Polaka.

W czasie II wojny syn Scheiblera nie podpisał volkslisty i zastrzeżił się. Kiedy fabrykę Scheiblera przemianowano na Zakłady im. Józefa Stalina, na osiedlu pojawił się „aktyw robotniczy”, zajmując mieszkania starzejącej się elity Scheiblerowskiej fabryki. Jej dawnych pracowników dziś już prawie tu nie ma. Od lat 70. osiedlowe famuły należą do miasta. Nie remontowane od ponad stu lat, rozsypują się.

Architekt miasta Wojciech Sarcho chce to osiedle wyremontować i ożywić. Już ćwierć wieku temu planowano w Łodzi budowę kolejki linowej nad Księżym Młynem. – Polscy i zagraniczni turyści mogliby z góry zobaczyć dawne imperium Scheiblera – podpowiada Piotruś Biliński. – Szkoda,



Janina Olszewska. – Za jego czasów luksusowo się tu żyło, nie tak jak dziś. – Po chwili zadumy dodaje: – Niemcy często się polonizo-

że całe przedsięwzięcie jest równie nierealne, jak szybki remont Księżego Młyna.

IZABELLA BODNAR

19 lipca 1976 r. na stacji benzynowej w Orem, w stanie Utah, Gary Gilmore podszedł do młodego sprzedawcy Maxa Jensena. Zażądał gotówki z kasy, potem zaprowadził chłopaka do łazienki, kazał mu położyć się na podłodze, strzelił dwa razy w tył głowy i wyszedł. Następnego dnia w podobny sposób zabił innego mormona, Bennie Bushnella, właściciela motelu w Provo. Aresztowany kilka godzin później, już w październiku został skazany na karę śmierci. Wyrok miał być wykonany 15 listopada.

Szaleniec

Sprawy zaczęły się jednak komplikować. Po pierwsze w Stanach Zjednoczonych od dziesięciu lat obowiązywało moratorium na karę

mi. Od tego czasu w Stanach Zjednoczonych wykonano ponad 700 egzekucji.

Śmierć na sprzedaż

Historię Gilmore'a przez kilka miesięcy żyła cała Ameryka. Pisało o nim na pierwszych stronach, pojawił się na okładce „Newsweka”, a wywiad z nim zapowiadano na okładce „Playboya”.

Sam Gary brał czynny udział w promocji własnej osoby. Zlecił wykonanie zielonych podkoszulków ze swoim zdjęciem i napisem: GILMORE - ŻYCZENIE ŚMIERCI. Umówił się też ze swym pełnomocnikiem, że jedną z nich założy na egzekucję, aby poszła lepiej na aukcji (w końcu założył jednak czarny podkoszulek). Sprzedał też prawa do wyłączności



Dyskusja panelowa „Kara czy śmierć”, inspirowana książką „Strzał w serce” autorstwa M. Gilmore’a i filmem Agnieszki Holland, nakręconym na podstawie tejże książki. Na zdjęciu: Bogusław Wolniewicz i Agnieszka Holland.

Zbrodnie Gary’ego Gilmore’a i wyrok śmierci na nim sprzed ponad 20 lat do dzisiaj napędza produkcję filmów, książek i gadżetów.

śmierci, po drugie Gary Gilmore tak bardzo domagał się wykonania wyroku, że wszystkim odeszła na to ochota – kara przestała być karą i stała się wybawieniem dla przestępcy, który deklarował, że nie ma zamiaru do końca życia „gnić w więzieniu”. Adwokaci Gilmore’a odwoływali się od wyroku wbrew jego woli, protestowali przeciwko kary śmierci, różne kroki prawne wykonywała rodzina. Gilmore w tym czasie usilnie protestował przeciwko tym protestom, podejmując kilka prób samobójczych i prowadząc ponadtrzytygodniową głodówkę. Był tak zdecydowany umrzeć, że nawet przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie zostaną oskarżeni o zabicie szaleńca. W końcu jednak Gary’emu udało się. Rankiem 17 stycznia 1977 roku został przywiązany do skórzanego krzesła, założono mu na głowę czarny kaptur, na klatkę piersiową przypięto tarczę. – Zróbmy to – powiedział, a pluton egzekucyjny przeszył jego serce pięcioma kula-

mi swoją historię Lawrence’owi Schillerowi, a zarobione w ten sposób 50 tys. dolarów rozdał rodzinie i kolegom z więzienia.

Inni jednak zarobili o wiele więcej. Nakłady gazet z Garym rozchodziły się jak świeże bułki, Schiller i jego kolega – pisarz Norman Mailer – zainkasowali po 250 tys. dolarów zaliczki już w momencie, gdy podchodzili do zbierania materiałów. Nie ostygły jeszcze dobre zwłoki Gary’ego, a już Mailer zabrał się do pisania książki na jego temat. Miał przy tym wielkie ambicje – chciał, by zyskała ona taką sławę jak wielka powieść faktu z 1966 roku autorstwa Trumana Capote’a pt. „Z zimną krwią”. Tę historię dwóch morderców, którzy wybili w pień czteroosobową rodzinę, okrzyknięto „arcydziełem” i „najlepszym dokumentem na temat zbrodni w Ameryce, jaki kiedykolwiek został napisany”.

Udało mu się. Jego ponadtyściostronicowa znakomita „Pieśń kata”, która ukazała się w 1979 r., zdobyła nagrodę Pulitzera. Schiller z kolei wyreżyserował film, który najpierw

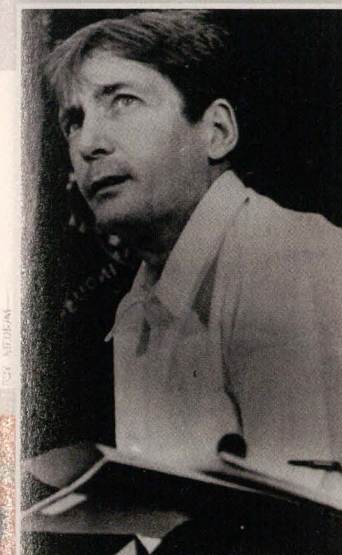
Horror na sprzedaż



pojawił się na antenie jako krótki serial, a w 1982 r. pełnometrażowy film telewizyjny. Tomy Lee Jones, grający Gilmore’a, dostał za rolę nagrodę Emmy.

Więzi rodzinne

Minęło kilkanaście lat, a do historii Gary’ego powrócił jego najmłodszy brat, Mikal Gilmore. Nigdy nie byli ze sobą związani, bo dzieliła ich 11-letnia różnica wieku i to, że 18 ze swoich 36 lat Gary przeżył za kratami. W momencie gdy kończył on swój niecny żywot, Mikal był początkującym, 25-letnim dziennikarzem, dumnym z tego, że zdołał wyrwać się z patologicznego domu. Z odrazą patrzył więc na spektakl to-



czący się wokół brata. Nie udzielił żadnego wywiadu, nie pomógł Schillerowi w zdobywaniu materiałów, zmienił numer telefoniczny. Zrobił za to dwie rzeczy: kilka razy przed śmiercią spotkał się z Garym, aby odwieść go od zamiaru śmierci, a po egzekucji napisał o nim tekst, który opublikował kultowy magazyn muzyczny „Rolling Stone”. Pismo to wkrótce zaproponowało mu pracę.

Przez kolejne lata Mikal robił karierę jako krytyk muzyczny. Ale w 1990 r. postanowił zmierzyć się z tematem rodzinnej tragedii. Twierdzi, że przeszłość gnębiła go w postaci traumatycznych snów i nieudanego życia uczuciowego. Ale równie prawdopodobny wydaje się bardziej racjonalny powód: dobry temat, na który miał do powiedzenia więcej niż ktokolwiek inny. Utwierdzali go w tym przyjaciele i koledzy po fachu.

„Jeszcze nim wziąłem się do pisania, wiele osób zachęcało mnie do realizacji tego pomysłu, oferując pomoc” – pisze Mikal w rozdziale podziękowań swojej książki. – „Szczególnie podziękowania jestem winien mojemu agentowi Richardowi, za jego cierpliwość i dodawanie mi otuchy w ciągu tych kilku niełatwych lat, pełnych falstartów. Bez jego niezachwianej wiary w moje zdolności ta książka z pewnością by się nie ukazała”.

Produkcja

Po przeczytaniu „Strzału w serce” odnosi się jednak wrażenie, że niezachwiana wiara agenta dotyczyła raczej popytu na historię o słynnym mordercy niż talentu autora. Gilmore połknął haczyki, ale to nie znaczy, że jest „grubą rybą” literatury, jak Truman Capote czy Norman Mailer. Jest dziennikarzem, który w literaturze jako środek wyrazu wybrał mroczny sentymentalizm. Już od pradziadków rozpoczyna poszukiwanie owego momentu, „w którym rozpoczęła się destrukcja rodziny, a zwłaszcza Gary’ego”, a w tym specyficznym śledztwie pomagają mu złowieszcze słowa-klucze: „fatum mityczne”, „straszliwe fatum”, „fatalne dziedzictwo”, „mroczne siły”, „nieznane demony”, „kłątwa”, „poczucie potępienia” itd.

Jak łatwo można się domyślić, autor nie znalazł jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, dlaczego jego brat stał się mordercą. Znalazł za to

kolejnego „odtwórcę” historii Gary’ego, tym razem w postaci producenta filmowego HBO, który wyczuł „dobry temat” na kolejny film.

Scenariusz powstał w oparciu o niewielki, lecz najbardziej filmowy fragment książki, opisujący spotkanie Mikala z Garym przed samą egzekucją. Reżyserię tego telewizyjnego obrazu powierzono najsłynniejszej polskiej reżyserce, Agnieszce Holland.

– Reżyseria jest bardzo męczącym zawodem. Ciśnienie rynku jest ogromne. Znam scenarzystów, którzy mają świetne pomysły. Nie pisała, bo wiedzą, że nie mają szans – mówiła w wywiadzie dla „Polityki”, zapewniając jednocześnie, że przyjęła propozycję HBO ze względu na ambicje producenta i przesłanie książki. Film trudno oceniać, gdyż data jego telewizyjnej emisji w Polsce nie jest jeszcze znana. Ale już w lutym ubiegłego roku, na wieść o rozpoczęciu realizacji filmu, książką Gilmore’a zainteresowało się wydawnictwo Libros, należące do giganta wydawniczego Bertelsmann Media. W ten sposób ruszyła kolejna maszyna produkcyjna. „Obiecałem wydawnictwu Bertelsmann, że przekład będzie gotowy przed rozpowszechnianiem filmu w Polsce” – pisze tłumacz, Jacek Łaszczyński, w „Magazynie Gazety Wyborczej”, która 10 stycznia opublikowała obszerny fragment już gotowego tłumaczenia.

Promocja

Wydawca polskojęzycznego „Strzału w serce” zadbał też o promocję w innych mediach. 8 stycznia na Uniwersytecie Warszawskim, przy niewielkim stoliczku miła blondynka sprzedawała książki Gilmore’a, a zachętą do ich kupienia była wielka dyskusja o karze śmierci, do której zaproszono kilka znawców: reżyserkę Agnieszkę Holland, prezesa Stowarzyszenia Przeciwno Zbrodni im. Jolanty Brzozowskiej, Krzysztofa Orszagha, eksperta w dziedzinie praw człowieka prof. Wiktora Osiatyńskiego, psychoterapeutę Andrzeja Samsona, prof. filozofii Bogusława Wolniewicza i posła PiS Zbigniewa Ziobro. Miał przybyć też Mikal Gilmore, ale kradzież jego kolekcji płyt w ostatniej chwili zmusiła go do odwołania wizyty w Polsce.

– Trudno jest rozmawiać o filmie, którego nikt nie widział, i książce, której nikt nie czytał – mówiła do gości Agnieszka Holland i miała całkowitą rację. Ale dyskusja trwała dwie godziny i można było dowiedzieć się z niej kilku ciekawych rzeczy. Andrzej Samson zdradził na przykład, że niektórych swoich pacjentów uważa za kanalie i manipulatorów. Profesor Osiatyński zwierzył się, że życie wydaje mu się za długie. Zbigniew Ziobro bezwiednie udawał, jak nudne potrafią być przemówienia posłów. Nie zabrakło też elementów dramatyczno-komicznych: gdy Krzysztof Orszagha mówił o karze śmierci, zepsuł się wzmacniacz i zaczął wydawać z siebie głośnie huki przypominające strzały z karabinu maszynowego.

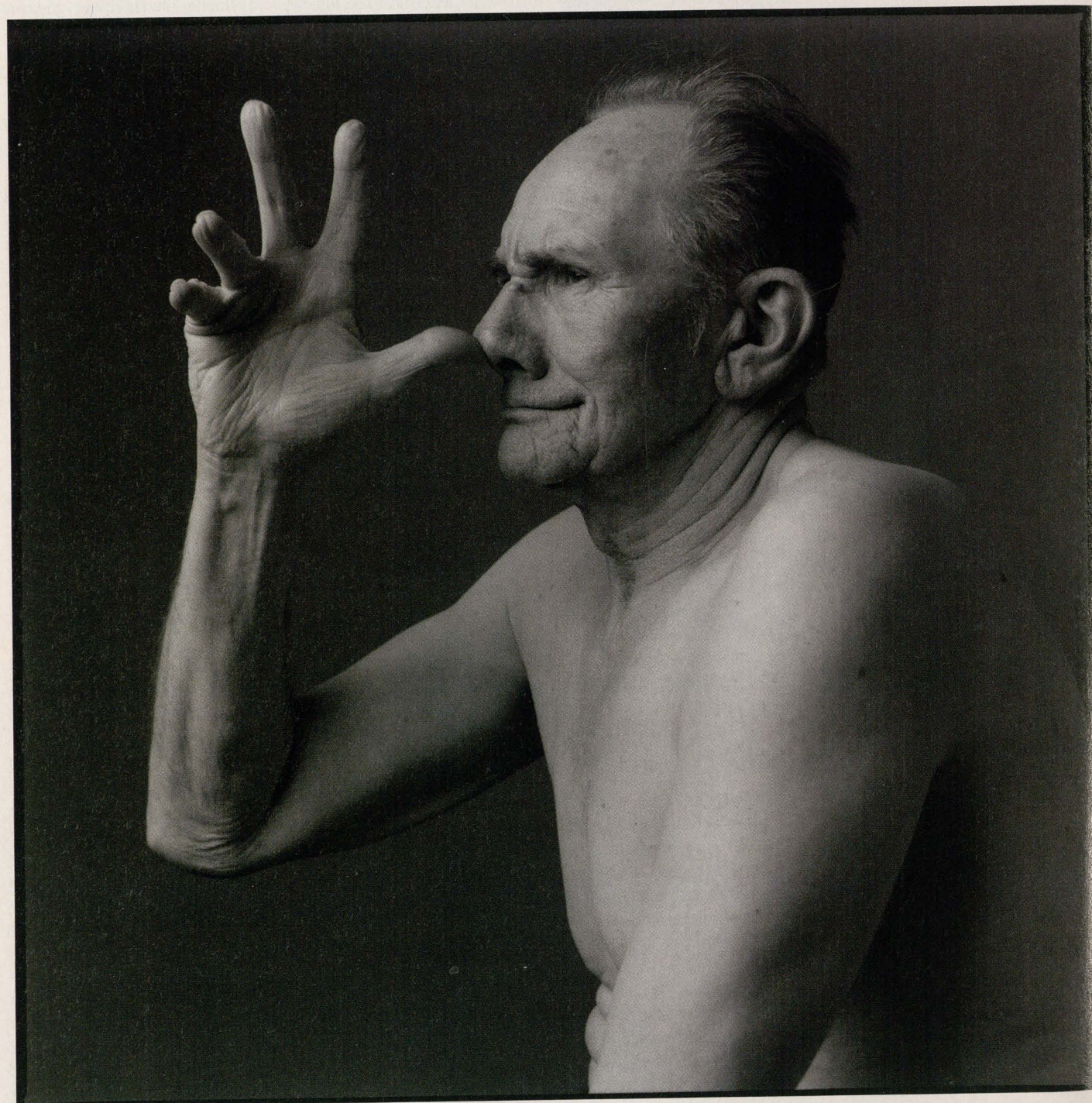
Dyskusja

Oczywiście dyskutowano też o książce i o karze śmierci. – Ja nie rozumiem zachwytów nad tą książką pani Holland ani fantazjowania pana Samsona. To jest sentymentalny kicz. Kicz o karze głównej, bo autor zorientował się, że jest na to popyt – grzmiał profesor Bogusław Wolniewicz, twierdząc jednocześnie, że prawo bez kary głównej jest jak karabin bez naboju. W tym stanowisku gorąco popierał go Krzysztof Orszagha. – Zastanawiam się, czy nie wyjdziemy przed budynek i nie oddamy hołdu mordercy – ironizował. – Trzeba karać, żeby później rehabilitować – odpierał ataki zwolenników kary śmierci profesor Osiatyński. W rezultacie z tej dwugodzinnej wymiany zdań wszyscy dyskutanci wyszli utwierdzeni we własnych przekonaniach, a przedstawiciel wydawnictwa zaprosił na następną promocję: tym razem książki o tak interesującym dziś świecie arabskim.

– Cieszę się, że powstają takie książki – mówił na zakończenie o „Strzale w serce” Andrzej Samson. – Że nie wszystko jest w krzykliwych okładkach typu „zabili go i uciekł”.

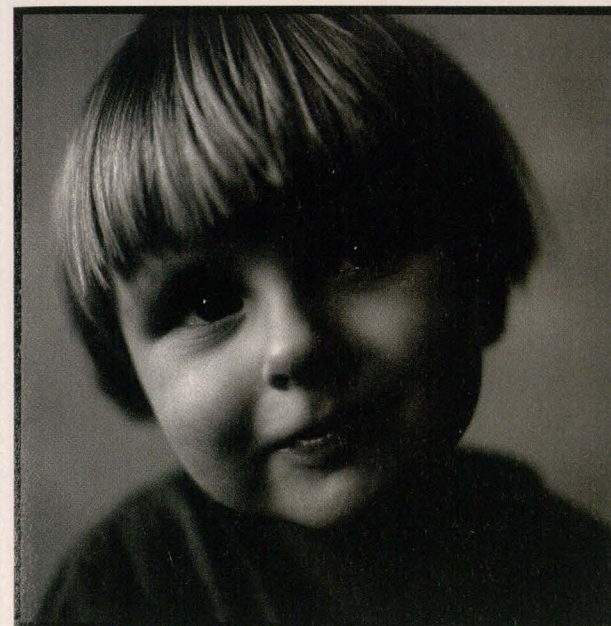
Paradoksalnie jednak historia Gary’ego Gilmore’a to właśnie historia człowieka, którego dosłownie „zabili i uciekli”. Ale to już osobny temat. Na kolejne filmy, książki, panelowe dyskusje i artykuły prasowe.

BEATA MACIEJEWSKA



Dziadek Paweł. Tata mojej mamy. Bardzo go kocham.

MAREK SZCZEPAŃSKI fotografuje ludzi, bo ich lubi. Jego kontakt z modelami jest tak bliski, że może mu go pozazdrościć niejeden psycholog i negocjator.



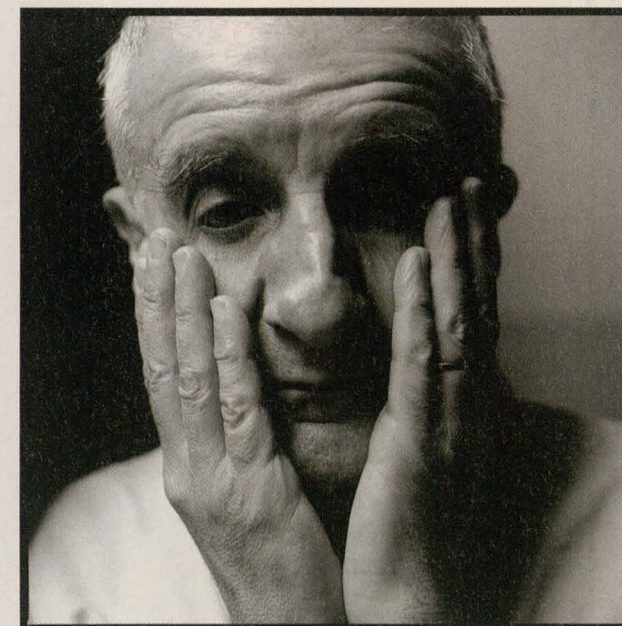
Franio Barański. Syn Lucyny i Zbyszka.

Najpierw muszę nawiązać rozmowę – bez tego nie ma zdjęć. Zawsze rozmawiam. Zdjęcia są dokumentem mojego spotkania z ludźmi. Jestem otwarty i nie mam najmniejszych problemów z zadawaniem nawet osobistych pytań, ale zawsze tak, aby nikt nie czuł się obrażony.

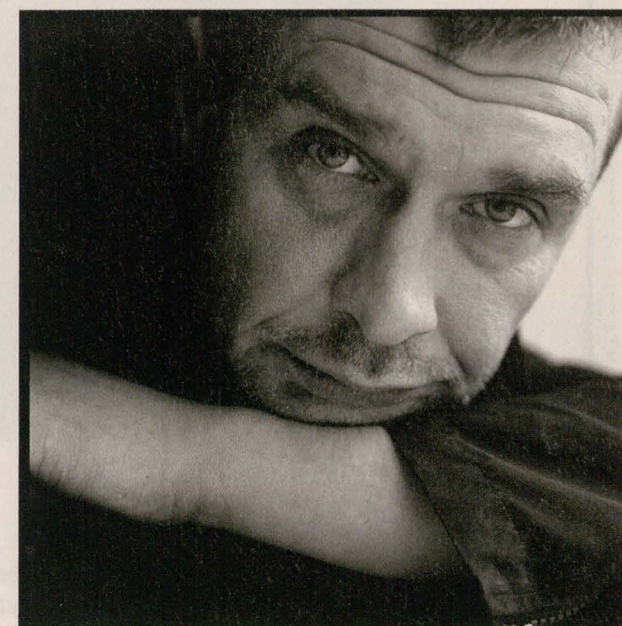
Z dylematu – dobre zdjęcie i nieudane spotkanie lub niedobre zdjęcie i udana rozmowa wybieram prawie zawsze rozmowę. Po części gwarantuje mi to następne spotkanie i szansę, że coś z tego wyjdzie. Nie myślę o komforcie rozmówcy, po prostu rozmawiam. W trakcie sesji jest jednak moment, gdy widzę, że coś się zaczyna dziać – wtedy muszę podtrzymać rozmowę nieco sztucznie, aby zrobić zdjęcie. Niekiedy muszę wręcz powiedzieć – proszę się nie ruszać. Ale mimo wszystko więcej czasu jestem rozmówcą niż fotografem.

Lubię być blisko, jak najbliżej twarzy. Używam zazwyczaj obiektywu 80 mm i pierścienia, to one zmuszają mnie do zbliżenia się. Ta odległość jest już niemal intymna – to około 30, 40 cm.

Większość ludzi, których znam, jest ciekawa zdjęć i pozowania, ale równocześnie zawstydzona, że będzie portretowana. Ale przypadki są różne, czasami niespodziewane. Dziadka Pawła fotografowałem wiele razy. Na początku był problem, żeby się rozbrajał. Jest człowiekiem starej daty, o dużym poczuciu wstydu – jak

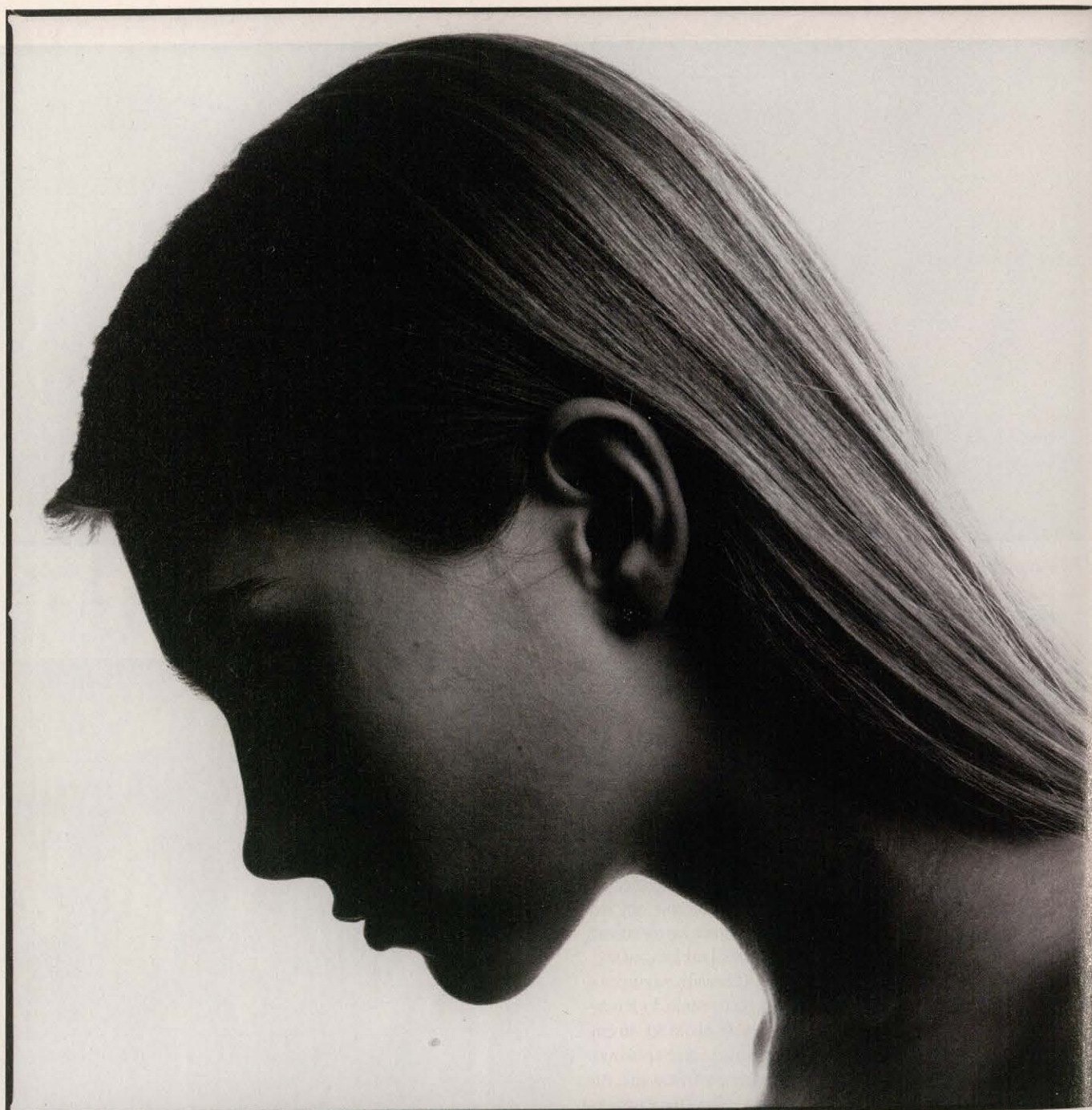


Andrzej Dobosz. „Artysta nie może być jednocześnie twórcą i twórczym.”



Marcin Świetlicki. Uvodził się 29.12. Ja też.

Bardzo blisko



Asia Kamińska . Zaczepiłem ją kiedyś u autobusu dla jej profilu.

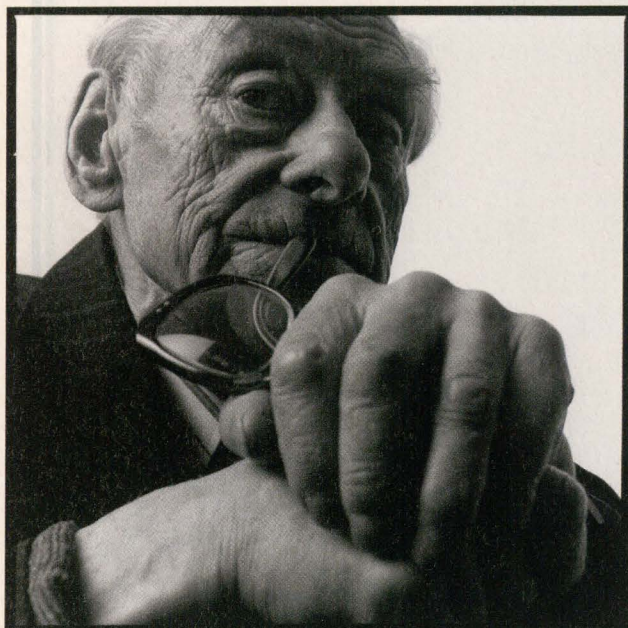
to tak, rozbierać się i grać komuś na nosie? Zaszantażowałem go – jeśli nie zrobisz tego, nie dostanę zaliczenia. Dziadek ma bardzo plastyczną twarz i jest mi bodaj najbliższą osobą – to wszystko dało dobre efekty.

Z Franiem Barańskim było inaczej – to jedno z trójki dzieci, które fotografowałem w moim życiu. Przyszedł do mnie z rodzicami i siostrami. Powiedziałem – Franio, chodź, zrobię ci zdjęcia. Odpowiedział – dobrze. Poszliśmy do pokoju obok, gdzie było dobre światło. Usiadł na łóżku, skupiłem jego uwagę – patrz tutaj w szkielko. Wtedy zrobiłem pierwsze zdjęcie, zaraz potem następne... i Franio miał dość – Marek, ja już nie chcę. Sesja trwała może dwie minuty, a Franio miał może trzy latka.

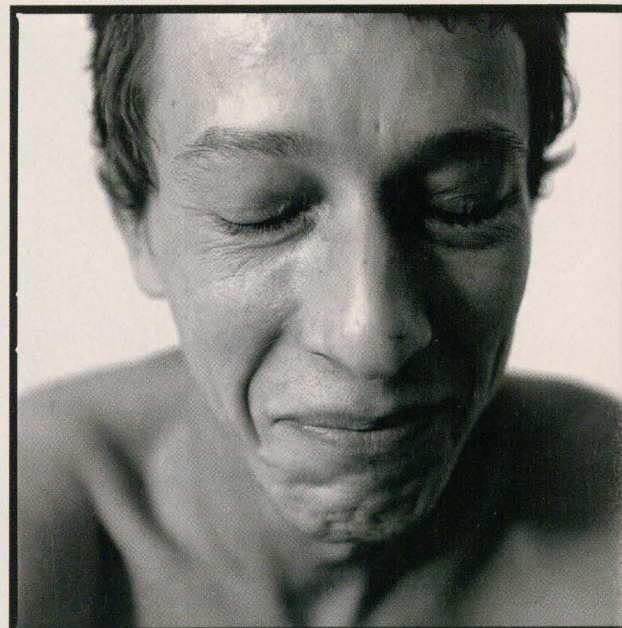


Alina

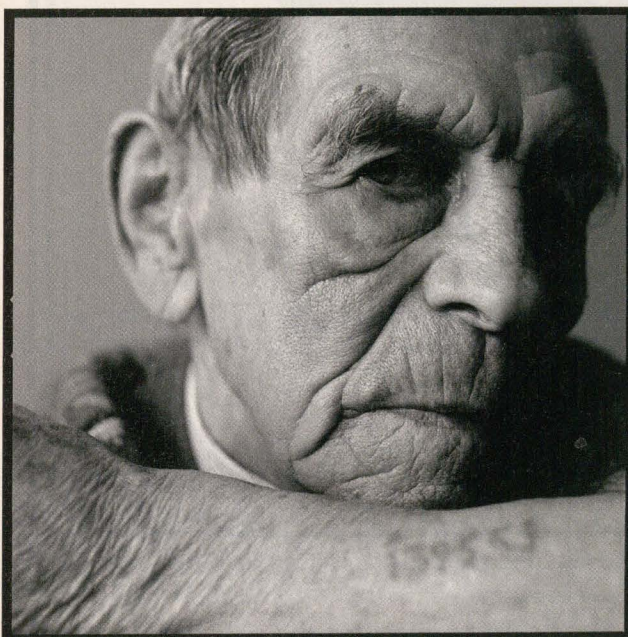
Andrzejowi Doboszowi robiłem zdjęcia w bramie pod redakcją „Przekroju”. Tam było magiczne światło. Pan Andrzej miał dla mnie mało czasu. Najpierw szukaliśmy się na ul. Sławkowskiej – sytuacja jak z „Rejsu”. Umówiliśmy się na początek ulicy, ale pomyliłem numery. Trafiłem na koniec. Tam go nie było. Pobiegłem na początek, też nic. Okazało się, że szukaliśmy się kwadrans, nie widząc się nawzajem. Człowiek o twarzy takiej jak pana Andrzeja jest doskonałym modelem. W pewnej chwili schował się do bramy, nie wiedziałem dlaczego. Wy tłumaczył mi, że zobaczył przechodzącego profesora Woźniakowskiego, który szedł na koncert, gdzie mieli się spotkać. Nie chcąc zabierać mojego czasu, wolał uniknąć subiekcji, przywitań, konwersacji i pożegnań.



German Migawa. Fotograf.



Atilla Arpad. Budapeszt.



Antoni Czortek. Bokser.

Marcin Świetlicki wymyślił sobie zdjęcie z anielskimi skrzydłami. Akurat grał w filmie duszę, która trafia do nieba, więc nie było problemu. Poprosiłem go, żeby pozował z kieliszkiem i papierosem – zgodził się. Po kieliszek poszliśmy do redakcji „Tygodnika Powszechnego”, gdzie Marcin pracuje. Papierosy miał przy sobie. Tam poprosiłem go, żeby oparł się o parapet. Zdjęcie wyszło jak robione w studio.

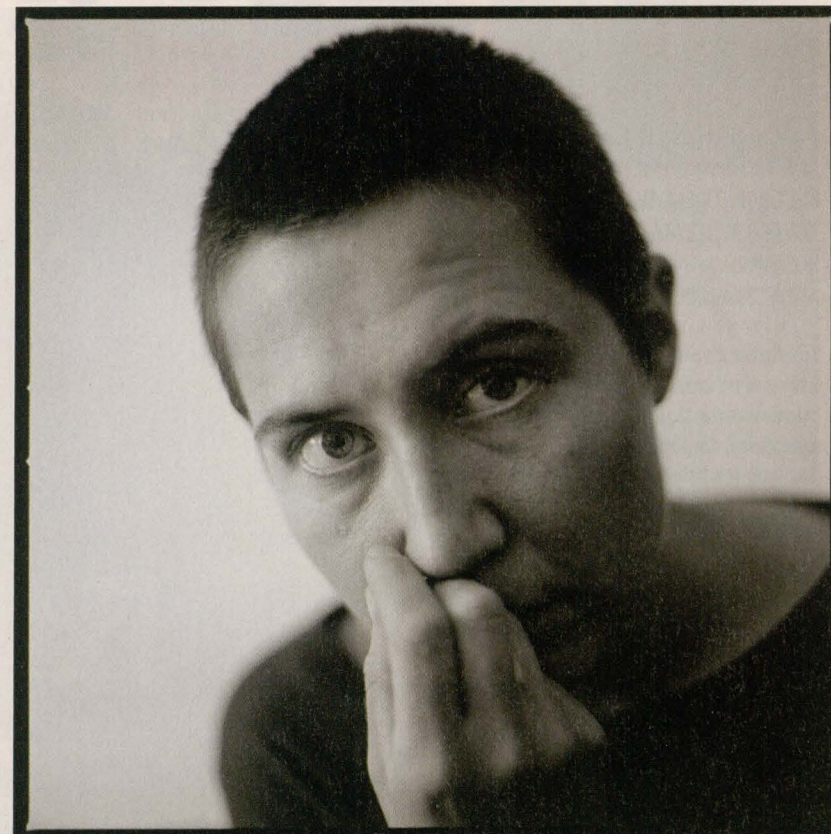
Asia Kamińska to właściwie profil, który chciałem bardzo sfotografować. Dziewczynę spotkałem w autobusie, pozowała mi tylko raz. To stare zdjęcie, ale lubię je. Z kolei Alina posłużyła mi do zrobienia zdjęcia „high key”, czyli w „wysokim kluczu” – polega to praktycznie na wyeliminowaniu czerni. Dobrze zgrało się, że dziewczyna miała jasną cerę, włosy i oczy. Przy okazji powstał ciekawy portret.

Joanna Rajkowska to przykład dobrej koleżanki i przy okazji modelki. Mieszkaliśmy w Krakowie w jej pracowni. To bardzo otwarta osoba, pełna ciepła. Na zdjęciach wypadła jak Joanna D'Arc z filmu Dreyera. To było bardzo dobre spotkanie i niezłe zdjęcie – właśnie w tej kolejności.

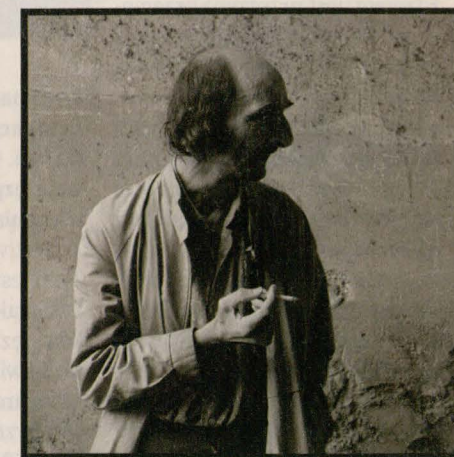
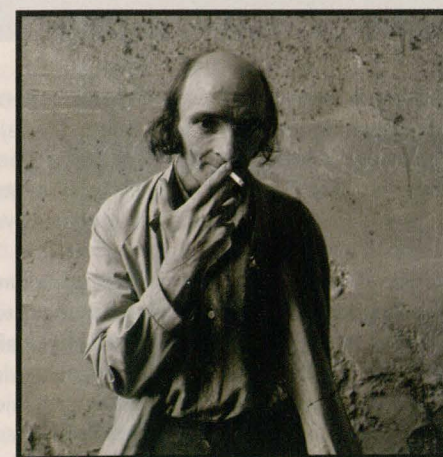
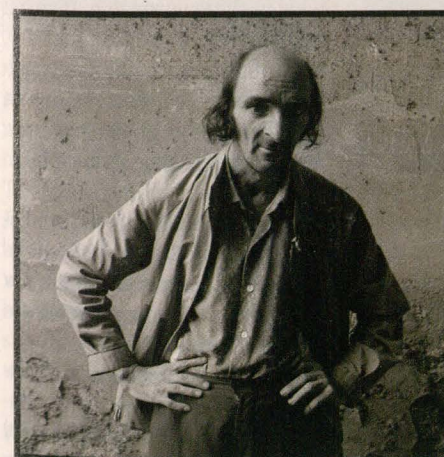
Atilla Arpad pozował mi w Budapeszcie. Był zawstydzony – chciał zdjęć, ale się peszył. Żeby się rozluźnić, powiedział – wyobrażam sobie, że zamiast w obiektyw, patrzę w oczy wysokiej, rudowłosej piękności o długich nogach. Zaśmiałem się. W ułamku sekundy, zanim Atilla sam wybuchnął śmiechem, zrobiłem zdjęcie. Z kolei Lutek to dziwna postać. Wszyscy tak na niego mówią, ale nazywa się Albin Wiśniewski. Jest znaną postacią Grudziądza, skąd pochodzi. Jest bardzo fotogeniczny. Rzecz jasna, dostał ode mnie odbitki. Panu Germanowi Migawie nie zdążyłem ich dać, wcześniej odszedł. Był sędziwym fotografem z mojego miasta. Robiłem mu zdjęcia do cyklu portretów znanych fotografów.

Antoni Czortek to też grudziądzanin. Nie wiedziałem o tym. Dopiero gdy przeczytałem o nim artykuł, pojechałem do Radomia, gdzie mieszkał. Czortek był mistrzem Europy w boksie, brał udział w olimpiadzie w Berlinie. Był bardzo uczciwy i nie dorobił się majątku na sporcie. Trafił do obozu – gdy poprosiłem go o pokazanie numeru, nie miał żadnych oporów. To tyle.

Dopytywał się i notował
WOJTEK KOCOŁOWSKI



Joanna Rajkowska. Dobra czarownica.



Albin Wiśniewski. Nie wiem, dlaczego u moim rodzinnym mieście nazywaiz go Lutek.

Być żyrafą, nie szakalem

Z MARSHALLEM ROSENBERGIEM, AMERYKAŃSKIM PSYCHOLOGIEM I NEGOCIATOREM, TWÓRCĄ KONCEPCJI „JĘZYKA BEZ PRZEMOCY” ROZMAWIA AGNIESZKA NIEDŚWIEŃSKA

Jest pan znany jako negocjator, który wyróżnił dwa sposoby porozumiewania się: język szakali i język żyraf. Czy mógłby pan wskazać różnice między tymi językami?

Język żyraf to język serca. Wybrałem żyrafę, bo ma największe serce spośród zwierząt lądowych. To język, bardziej formalnie nazywany porozumiewaniem się bez przemocy, który ma nas łączyć na poziomie serc. Tak, abyśmy radzili sobie z różnicami między nami pokojowo, w sposób, który zapewnia zaspokojenie potrzeb wszystkich osób. Język szakali to język wyalienowany, odcięty od życia. Składa się z sądów moralnych: dobre – złe, właściwe – niewłaściwe. Jego używanie, moim zdaniem, jest przyczyną przemocy na naszej planecie i jest częścią naszego wychowania. Uczy nas się widzieć w ludziach wrogów, a język oceniania innych uzasadnia ich karanie.

Mógłby pan podać przykłady zdań w obu językach?

Weźmy na przykład rodzica, który widzi, że starsze dziecko bije młodszego. Może powiedzieć w języku żyraf: „Niepokoję się, kiedy bijesz młodszego brata. Chciałbym, żeby wszyscy byli bezpieczni. Proszę, jeśli nie zgadzacie się z czymś, porozmawiajmy o tym, zamiast się bić”. W języku szakali brzmiałoby tak: „Co z tobą? Dlaczego bijesz brata? Powinieneś być od niego mądrzejszy”. Pierwsza wypowiedź płynie z serca, wyraża uczucia i potrzeby. Język, który oskarża i potępia, to język szakali.



Co zainspirowało pana do wprowadzenia podziału?

Obserwowałem ludzi żyjących w sposób, który cenię. Starałem się zrozumieć, czym różnią się od innych. Dostrzegłem, że są uczciwi i nie krytykują innych. Wyrażali uczucie swoje uczucia i potrzeby, nie analizowali. Uczestniczyłem też w badaniach prowadzonych przez znanego psychologa, Carla Rogersa. Ich wyniki sugerowały, że empatia, rozumienie uczuć drugiej osoby jest potężnym środkiem terapeutycznym. Źródłem inspiracji była dla mnie także analiza różnych religii.

Czy w życiu politycznym język żyraf może być skuteczny?

Nie wyobrażam sobie sytuacji, w których język żyraf nie byłby skuteczny. Organizujemy warsztaty dla polityków, żołnierzy, policjantów, nauczycieli. Wszyscy mówią nam, że ten język to mocny środek. Oczywiście w czasie szkoleń uświadamiamy uczestnikom, że w pewnych strukturach społecznych stosowanie języka żyraf stanowi większe wyzwanie. W życiu politycznym, które jest, niestety, oparte na walce i rywalizacji, trudno zachować wartości, które leżą u podstaw języka bez przemocy. Stanowi to poważne wyzwanie.

Pracował pan w wielu krajach jako negocjator. Czy są różnice między politykami z różnych krajów i regionów świata w sposobie porozumiewania się?

Nie zawsze pracuję z politykami. Mediowałem między wodzami dwóch plemion w północnej Nigerii, gdzie jedna czwarta populacji zginęła w ciągu roku w walkach. Po mniej więcej godzinie, gdy pomagałem obu stronom wyrażać potrzeby, a nie oceniać drugą stronę, jeden z wodzów powiedział mi: „Marshall, gdybyśmy wiedzieli wcześniej, jak rozmawiać ze sobą, nie musielibyśmy się wzajemnie zabijać”. W każdej

w świecie zachodnim są ludzie, którzy nigdy nie dają się złapać w pułapkę języka ocenającego. Jest wiele osób nieświadomie mówiących językiem żyraf.

Czy istnieją różnice między kobietami i mężczyznami w posługiwaniu się tymi językami?

Oczywiście – w większości krajów, gdzie organizujemy otwarte warsztaty języka bez przemocy, 80 proc. uczestników to kobiety. Wydają się bardziej otwarte. Kobiety mają większe trudności z uświadomieniem sobie potrzeb oraz z ich wyrażaniem, a mężczyźni z wyrażaniem uczuć. Ale wszyscy mogą nauczyć się języka żyraf.

Czy ludzie powinni uczyć się języka żyraf?

kulturze ludzi cieszy taki sposób porozumiewania się. Rzecz jasna, są pewne różnice. W czasie treningu mówimy, by nie formułować sądów moralnych. Pracowałem kiedyś w Rzymie z grupą działaczy religijnych – nie mogli tego zrozumieć. Byli zaniepokojeni – uważali, że mówię im, iż można robić wszystko, co się chce – zabijać, gwałcić, że nie ma rzeczy dobrych i złych, właściwych i niewłaściwych. Wyjaśniłem im, że to język oceniania jest niefortunny. W porozumiewaniu się bez przemocy formułujemy tzw. oceny służące życiu. Oceniamy, że jakieś zachowanie jest lub nie jest zgodne z naszymi potrzebami. Nie oceniamy osoby, tylko zachowanie. Ludziom przywiązany do zasad zabrało trochę czasu zrozumienie tego.

Uczestniczył pan w negocjacjach między Palestyńczykami i Izraelczykami. Czy mogą osiągnąć porozumienie i żyć w pokoju?

Mogą bez trudności żyć obok siebie. Pracuję tam od 20 lat, z grupami Izraelczyków i Palestyńczyków. Dla większości z nich wspólne działanie nie sta-

rzystując nasze umiejętności, możemy pokazać ludziom lepszy sposób porozumiewania się.

Ale ci ludzie to często idioci i nie widzą nic złego w nazywaniu ich idiotami.

Można nie widzieć w tym niczego złego, ale moje doświadczenie uczy, że nazywanie ich idiotami nie uczyni ich mądrzejszymi.

Uważa pan, że gdyby ludzie nauczyli się technik porozumiewania, to na świecie nie byłoby konfliktów?

Mediowaliśmy między walczącymi grupami. Nawet kiedy wchodzili do pokoju z chęcią zabicia drugiej strony, to wychodzili zainteresowani jej dobrem. Jestem pewien, że gdyby udało się stworzyć na świecie takie struktury, by możliwy był ten rodzaj negocjacji między walczącymi stronami, to nie musielibyśmy oglądać wojen. Problem polega na tym, jak dotrzeć do ludzi. Jak uzyskać dostęp, szczególnie do ludzi wychowywanych w sposób prowokujący przemoc? A niestety większość ludzi była w taki sposób wychowana. Trzeba by mieć możliwość wychowania następnej generacji

ca dzieci”. Starałem się usłyszeć ich uczucia i potrzeby. Powiedziałem: „Jesteście wściekli, bo potrzebujecie innego rodzaju wsparcia niż to, które daje wam mój rząd”. Byli zszokowani. „Tak. Nie potrzebujemy waszej cholernej broni. Nie mamy domów”. Powiedziałem: „Kiedy ktoś potrzebuje podstawowych rzeczy i ich nie dostaje, to nie powinno się mu przysyłać broni”. „Masz rację, do cholery. Wiesz, jak to jest żyć w takich warunkach od 28 lat?”. Godzinę później zaprosili mnie na wieczorny posiłek do swojego domu. Teraz mamy szkołę żyraf w tym obozie.

Czy rozróżnienie na język szakali i język żyraf odnosi się również do życia prywatnego, do konfliktów między rodzicami i dziećmi, mężem i żoną?

Dziś rano rozmawiałem z kobietą, która ma problemy z córką. Typowa sytuacja – córka nie chce robić tego, czego oczekuje matka. Nasza rozmowa wyglądała tak:

– Jakie są twoje cele?
– Zmusić ją, żeby to robiła.
– Właśnie dlatego ona tego nie robi.

Jeśli zdamy sobie sprawę, że potrzeby innej osoby są tak samo ważne jak nasze, zmieni się nasza świadomość. Nauczmy się unikać konfliktów.

nowiłoby żadnego problemu. Niestety, jak w większości krajów, władzę sprawuje mniejszość, która widzi w drugiej stronie diabła. To oni utrzymują to nieszczęście. Jestem pewien, że Palestyńczycy będą mieli swój kraj i będą żyć z Izraelczykami w pokoju. Problem nie polega na tym, czy to się stanie, ale kiedy to nastąpi i jak wiele będzie jeszcze ofiar.

Czy powinni być lekcje języka żyraf w szkołach?

Prowadzimy około tysiąca szkół żyraf. Badania wykazują, że przemoc wśród dzieci spada mniej więcej o 50 proc. w porównaniu z okresem przed wprowadzeniem naszego programu.

W ciągu ostatniej dekady język polskiej polityki stał się brutalny, napastliwy i pełen oskarżeń. Czy pana zdaniem można zatrzymać proces brutalizacji tego języka?

W czasie treningu pokazujemy, jak nie słyszeć tego, co mówi osoba używająca języka szakali. Jak natomiast usłyszeć to, co jest w sercu, ponad językiem. Nie dać się złapać w pułapkę języka przemocy. Wyko-

na, by wiedziała, jak radzić sobie z różnicami bez przemocy.

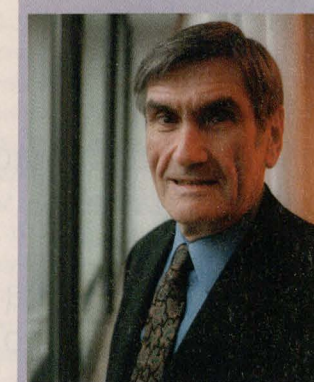
Czy to znaczy, że mam po-

czuli krzyczeć: „morderca”, „zabój-

– Co?
– Wygląda na to, że jedyny twój cel to zmusić ją, żeby coś zrobiła.
– Tak. To dla jej dobra.
– Ale jedyny twój cel to zmusić ją do tego.
– Ależ oczywiście.
– I dlatego ona stawia opór.
– Co masz na myśli?

Dopóki człowiek czuje, że ktoś inny zdecydował, co powinien zrobić, nawet jeśli rozumie powody, to ma poczucie, że jest pozbawiony możliwości wyboru i szacunku. To sprawia, że z uporem broni się, nawet jeśli wie, że robi sobie krzywdę. Kobieta zapytała z urazą w głosie:

– Czy to znaczy, że mam pozwolić, żeby robiła, co chce?



Marshall Rosenberg – psycholog i negocjator, twórca koncepcji komunikacji bez przemocy, zwanej też „językiem żyraf”. Założył wiele szkół na świecie, propagujących tę metodę, prowadzi warsztaty komunikacji na całym świecie. Uczestniczył jako rozjemca w wielu konfliktach na Bliskim Wschodzie i w Afryce.

– Nie. Dla wielu rodziców są tylko dwie opcje – albo zmusić dziecko do robienia tego, co uważa się za właściwe, albo zrezygnować z wszelkiej kontroli.

Nasz trening jest oparty na trzeciej opcji, ale wymaga od ludzi świadomości, że ich celem jest określona jakość porozumienia. Jeśli uda ci się zmienić jakość porozumienia, potrzeby wszystkich będą zaspokojone. Jeśli natomiast uporczywie trwasz przy swojej strategii, kładąc nacisk na to, co ty chcesz, to niczego nie osiągniesz.

Czy to, co pan nazywa językiem żyraf, nie jest po prostu sposobem myślenia o ludziach i świecie?

W istocie, język żyraf w 90 proc. składa się z duchowej świadomości, a w 10 proc. z technik jej wyrażania. Kobieta, która miała problemy z córką, myślała, że ma zmusić córkę do robienia tego, co uważa za właściwe, bo wie lepiej, bo taka jest jej rola, itd. To jej świadomość była problemem. Zaproponowałem, by uznała, że celem jest stworzenie określonej jakości porozumienia, aby potrzeby wszystkich osób były zaspokojone. To jest duchowa świadomość. Wymaga zdania sobie sprawy, że potrzeby innej osoby są tak samo ważne jak nasze. To świadomość, że nigdy nie uzyskasz tego, co chcesz, stosując kary.

Są konie, które uwielbiają aplauz widowni, brawa, tupanie na trybunach. Niektóre klacze zachowują się jak aktorki, potrafią patrzeć na sędziego, kokietować.



Arystokratki z pustyni



Na nadnidziańskie pastwiska z wiosną wybiegną najpiękniejsze konie w świecie. Czempionki świata i Europy dumnie wyciągną długie szyje i z godnością zmierzają wzrokiem gości stadniny. Będą prychać, grzebać kopytami. Może będą wspominać swoich wspaniałych przodków, którzy niegdyś biegali po piaskach Arabii?

Odzyskane stado

Jest rok 1953. Do gospodarstwa w Michałowie na Kielecczyźnie trafiają 22 klacze arabskie z likwidowanej stadniny w Klemensowie koło Zamościa. To klacze z przedwojennych polskich stadnin, odzyskiwane po wojnie

z Niemiec. Do Michałowa przyjeżdża też Ignacy Jaworowski. Podejmuje żmudną pracę odbudowy polskiego stada koni arabskich czystej krwi. Jego wiedza i intuicja, a często hodowlany siódmy zmysł i odważne decyzje sprawiają, że po pół wieku stadnina w Michałowie jest największą w świecie hodowlą koni czystej krwi arabskiej. Liczące 120 klaczy matek stado uznawane jest za jedno z najdoskonalszych.

Siła rodowodu

Kiedy w 1997 roku długoletni dyrektor stadniny, Ignacy Jaworowski, przechodzi na eme-

ryturę, przekazuje swemu następcy, Jerzemu Białobokowi, pracującemu w Michałowie od 1976 roku, pokój pełen pucharów, statuetek, dyplomów i ozdobnych uprząży. To wszystko nagrody zdobyte w Polsce, Europie i świecie przez konie z Michałowa. Od tego czasu nagród przybywa w ogromnym tempie. Michałowskie araby stały się po latach prawdziwą końską arystokracją.

Dziś każda z klaczy czystej krwi może się poszczycić wspaniałym rodowodem, którego korzenie często sięgają pustynnych stad Beduinów. 11 klaczy michałowskich pochodzi z VII linii rodziny Szwejkowska. Rodzina ta obchodziła niedawno 200-lecie udokumentowanej hodowli.

Kiedy Rzeczpospolita prowadziła wojny z Turcją i Tatarami, na stepowych kresach sprawdzały się konie orientalne. Ogiery w tureckim wojsku były zwykle oryginalnymi arabami z pustyni. Polacy kupowali je i sprowadzali do swoich stadnin. Potem miłośnicy i hodowcy koni sami wyprawiali się po araby na pustynie, do plemion Beduinów.

Sławniejsze niż w Arabii

Od początku XIX wieku w polskich stadninach były już wspaniałe araby, szczególnie u Sanguszków w Sławucie na Wołyniu, Braniczych w Białej Cerkwi na Ukrainie, Dzieduszyckich w Jarczowcach i Jezupolu, Wacława Rzewuskiego w Sawranii na Podolu.

Juliusz Dzieduszycki w 1845 roku sprowadził do Jarczowiec siedem ogierów i trzy klacze: Mlechę, Saharę i Gazellę, które dały początek trzem wielkim rodzinom żeńskim. Przedstawicielki tych linii w 1920 roku trafiły do państwowej stadniny w Janowie Podlaskim. Są też dziś reprezentowane wśród dziesięciu innych rodzin żeńskich w Michałowie, a Kawkada, pochodząca właśnie z rodziny Gazelli, została czempionką USA w 1993 roku.

Wacław Rzewuski, legenda polskiego romantyzmu, sprowadził z pustyni 137 koni czystej krwi. Tak kochał konie i orient, że Arabowie nadali mu tytuł emira. Kiedy jednak wybuchło powstanie listopadowe, przeznaczył swe konie do zorganizowanego przez siebie oddziału kawalerii. Po klęsce oddziału i śmierci emira konie zostały skonfiskowane przez Rosjan.

Ze słynnej stadniny Braniczych w Białej Cerkwi 106 koni do nowo zakładanej stadniny kupił sułtan turecki. Po rewolucyjnej zawierusze trafiły ze stadnin białocerkiewskich do Polski tylko dwa ogiery i dwie klacze. Linię odbudowano jednak, a historia powtórzyła się, kiedy rząd turecki za pół miliona dolarów kupił w Janowie wspaniałego biegającego michałowskiego ogiera Druida – najlepszego konia wyścigowego wyhodowanego w Polsce po II wojnie światowej.

Ze stadnin Sanguszków od przywiezionych z pustyni klaczy pochodzą reprezentowane do dziś linie: Wołoszka, Szwejkowska, Ukrainka i Milordka. W Janowie kontynuowane są też rody pustynnych ogierów ze Sławuty.

Dlaczego Michałów?

Kiedy po wojnie szukano miejsca dla polskich arabsów, wybór padł na Kielecczyznę. Michałów był miejscem idealnym. Leży w dolinie, ma specyficzny mikroklimat. Ziemia bogata jest tu w wapń, co sprzyja budowie u koni dobrej tkanki kostnej i mięśniowej, a niewielka ilość opadów sprawia, że gleba tu pęka, a roślinność wędnie i wysycha. Środowisko sprzyja arabom, które mają we krwi niesprzyjające warunki pustyni i nie mogą otrzymywać zbyt bogatej paszy.

Michałowskie araby tylko w 2000 roku wygrały trzy Narodowe Czempionaty Polski, trzy Czempionaty Skandynawii i dwa Czempionaty Pucharu Narodów w Aachen. Kiedy potem przyszedł zmagania o prymat w Europie, rezultaty przeszły oczekiwania. Czempionami Europy zostały: El Dorada w klasie klaczy młodszych, Kwestura w klasie klaczy starszych i Ekstern – najlepszy wśród ogierów.

Wielka klasa została potwierdzona raz jeszcze. Na światowym Salonie Konia w Paryżu michałowskie konie znów są najlepsze. Czempionami zostają: Emmona w klasie klaczy młodszych, Zagrobla w klasie klaczy dorosłych (Kwestura została tym razem wiceczempionką) i ogier Ekstern. Takiego wyniku nie osiągnęła jeszcze nigdy żadna hodowla.

Koń jak kobieta

Co sprawia, że michałowskie araby są najpiękniejsze w świecie?

– Nie tylko pochodzenie, rodowód i praca hodowlana. To także trening, specjalistyczne przygotowanie, czasem cechy charakteru konia – mówi dyrektor Jerzy Białobok. Oceny dokonują sędziowie w danym momencie i wszystko zależy od tego, jak się koń pokaże. Są konie, które uwielbiają aplauz widowni, brawa, tupanie na trybunach. Niektóre klacze zachowują się jak aktorki, potrafią patrzeć na sędziego, kokietować. Ale są też piękne klacze, które boją się pokazów, kulą się w sobie, drżą, tężeją im mięśnie. Takich nie pokazujemy. Z kolei młodziutki Wieża Babel, niedawna młodzieżowa Czempionka Polski, uwielbia pokazy. Gdy usłyszy owacje i muzykę, z klaczki przemienia się w demona, podnosi ogon, fuka i płynie w ruchu, uwidaczniając wszystkie swoje zalety.

– Koń wymaga stałej, ciągłej pracy – mówi Mariusz Liśkiewicz, trener i prezydent. Zagrobla lubi publiczność, kocha pokazy. W 2000 roku w Paryżu została Czempionką Świata. Ale później poświęciłem jej za mało czasu. I jakby wiedziała o tym i chciała to powiedzieć. Na Czempionacie Polski była rozkojarzona, denerwowała się, źle się pokazała...



Młody koń oderwany od stada musi zdobyć zaufanie trenera i podporządkować mu się. Ma mieć w trenerze podporę i przewodnika, który chroni przed niespodziankami: kałużą, przelatującym ptakiem, plamą na piasku. Nauka trwa tygodniami i miesiącami. Jest żmudna, bo araby, choć ufają człowiekowi, chcąby dominować. Wyciągnięcie szyi dla konia jest oznaką uległości.

Pokaz to konkurs piękności. Skóra ma lśnić, kopyta błyszczeć. Więc urodę podkreślają umiejętnie stosowane kosmetyki. W Michałowie wizażystką arabsów jest Krystyna Podlejska. Stosuje kosmetyki dla dzieci i niemowląt, bo skóra koni jest delikatna. Ma swoje tajemnice, jak kiedy wizażysta. Umiejętnie zastosowany kosmetyk uwypukli najwspanialsze cechy konia, ale kosmetyki nie mogą zmieniać naturalnego koloru owłosienia, nie wolno też barwić kopyt ani strzyc końskich grzyw i ogonów.

Czempion z portretu

Dyrektor Białobok zna prawie wszystkie konie po imieniu. Są wśród nich zasłużone emerytki Michałowa, matki dzisiejszych wspaniałych klaczy czempionek. Niedaleko na pastwisku jest pamiątkowy kamień z imionami najwspanialszych przedstawicieli michałowskiej hodowli, wśród nich imię Eukaliptusa, wspaniałego ogiera, kontynuatora linii oryginalnego Ibrahima, ojca Egny. Końskie imiona mają tu swoją długą historię.

– W stadninie mamy również konie mało-polskie rzadkiej maści tarantowatej, odbudowane w Michałowie, stado kucy szetlandzkiej oraz dwa stada bydła mlecznego, w tym rasy jersey – podkreśla dyrektor Białobok.

Koń eksportowy

W czerwcu 2001 r. Jerzy Białobok odebrał w Poznaniu z rąk prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Gospodarczą Nagrodę Polski, przyznawaną dla najlepszej polskiej firmy. W uzasadnieniu prezydent podkreślił ogromny wkład stadniny w promocję Polski w świecie.

– Koń arabski z etykietą Michałowa to jedyne zwierzę gospodarskie, które ze znakiem najwyższej jakości Polska eksportuje na cały świat. Także do krajów, skąd wywodzą się potomkowie polskich arabsów – mówi nie bez dumy dyrektor Białobok. To zasługa wszystkich, którzy przez dziesięciolecia prowadzili hodowlę, trening i umieli własny dorobek właściwie wypromować.

W stadninie od założenia urodziło się 2289 źrebiąt czystej krwi arabskiej. Około 800 koni wyeksportowano do 35 krajów świata. Klacz Dianę sprzedano do USA za 1200 tys. dolarów, ogiera Druida do Turcji za 500 tys. dolarów.

MAREK MACIĄGOWSKI
Zdjęcia Autora

Pytanie jest takie, czy to, co widzimy na modowym zdjęciu, to jest moda czy zdjęcie. Czyli czy mamy oglądać modę, ubrania na modelce, czy samo zdjęcie jako dzieło?

Nasuwa się odpowiedź, że obie te rzeczy jakoś się łączą. Świetne zdjęcie, piękna dziewczyna, cudne ubrania, śliczny makijaż i mamy prawdziwe dzieło. Zamiast przymiotników: świetne, piękne, słoneczne, znakomite, możemy wstawić: dramatyczne, ostre, odjazdowe, pełne wyrazu, erotyczne, tajemnicze itd.

Zdjęcia modowe podlegają modom jak wszystko, jak wszystko, co dotyczy mody w szczególności. Makijaże idą w kierunku dziwności, fryzury bywają zupełnie abstrakcyjne. Same zdjęcia bywają tak ciemne, że nic nie widać, tak zamazane, że nic nie widać, w takim ruchu, że nic nie widać. Na tłach szczególnie obrzydliwych, w jakiejś oślizgłej atmosferze, straszliwie ponurej, sięjącej grozą i poczucie totalnej zapaści. Modelki leżą jak denatki w ponurych wnętrzach-melinach, pozuja na „szyk heroinowy”, mają dziki lub smętny wzrok, podbite oczy w pozie jakby sobie coś wstrzykiwały, najchętniej na brzegu wanny. Muszle klozetowe są też ulubionym motywem oraz pozy jakby się na nich siedziało. Amerykańska dziennikarka opisuje sytuację jak weszła w N. Y. gdzieś, gdzie dziewczyna siedziała na sedesie. Była pewna, że przez pomyłkę weszła do toalety, a to było studio słynnego fotografa mody, który właśnie robił zdjęcie.

Niedawno przyleciała moda na zdjęcia – trudno powiedzieć, że z podtekstem, bo to było dość wyraźne – o charakterze lesbijskim. Wszystko to są zdjęcia znakomite, bezsprzecznie są to dzieła. Plus wysoki poziom grafiki, poprawki komputerowe, które doprowadzają fotografie do ideału i tworzą niekłamną odnogę sztuki fotografii przez duże F, jaką są zdjęcia mody.

Czy jeszcze tam widać ciuchy? Raczej nie, bo wyraźnie nie o to tam chodzi. Chodzi o dobrą fotografię.

Dalej są zdjęcia mody, może nie tak posunięte, te też świetne, na których widać trochę jakieś ubrania, trudno powiedzieć, jak one wyglądają, jaką mają linię, czy są szerokie czy wąskie, ale ludzie pracowali nad zgromadzeniem różnych rzeczy, niezwykłym aranżem, doprowadzeniem do tego, co nosi i jak wygląda modelka, do jakiejś wyabstrahowanej rzeczywistości, która przekłada się na bardzo ciekawe i dobre zdjęcie, ale niewiele nam mówi o samej modzie.

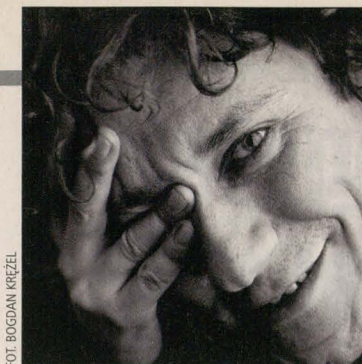
I zdjęcia bardziej realne, gdzie jest cały nacisk na pokazanie pewnej idei mody, np. zdjęcia z pokazów mody czy studyjne, gdzie pokazuje się coś bardzo konkretnego. Ejże, nie dajcie się zwieść. Tu też pilnie i w pocie czoła trzusi się cała grupa ludzi. Szyje się specjalne nieludzkie rozmiary na nieludzko szczupłe osoby, które w takich wymiarach zwykle w przyrodzie nie występują. Następnie się to bóstwo godzinami maluje, czesze, a potem zadręcza, aby pozowało całymi dniami w upalnych światłach, w nieco i nienaturalnych pozach, bez mrugania oczami, z określonym wyrazem twarzy, trudnym do długiego utrzymania i z ogromnym entuzjazmem trudnym do wykrzesania z siebie po kilku godzinach szarpania za włosy, nieustającego poprawiania makijażu i stania w niewygodnych butach – bez czego nie ma zdjęć.

Sama stoję po tej stronie rampy i wiem, co robimy, żeby sfotografować młodą ładną dziewczynę. I jeszcze na końcu możemy wrzucić pannę Claudię Schiffer w komputer i odmłodzić ją spokojnie o te 10 lat.

Czy pokazujemy Wam piękno, które Was zachwyca, stymuluje, cieszy, zaciekawia, czy powodujemy w Was zwykłą, prozaiczną frustrację?



Modny krokodyl w Hofflandzie, proj. Hoff. Galeria Centrum Warszawa, Wrocław, Szczecin. Fotografował: ROBERT KULEZA.



FOT. BOGDAN KRZEL

13.01.02

Z Renatą i Wojtkiem oglądamy na wideo sławny film von Trotty „Czas ołowiu”, taka sobie interwencyjna ramotka zrobiona bez wyobraźni i bez biglu. Dwie wybitne aktorki odgrywają role dwóch siostr, teatralnie padając sobie w ramiona etc., na dodatek w scenach z dzieciństwa podobne są do siebie na krzyż, tzn. feministka do terrorystki, a terrorystka do feministki, wprowadzając tym Wojtkę w niemą dezorientację, podczas gdy my z Renatą od razu domyślamy się, że reżyserka założyła, iż będziemy je rozpoznawać nie po twarzach, tylko po włosach. A potem film się smutno kończy i na ekran telewizora wpada z impetem Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy; „Siema!” – krzyczy do mikrofonu pani prezenterka, „Siema!” – odpowiadają jej dzieci zgromadzone na widowni, „Siema!” – krzyczy pan prezenter, i dzieci znów „Siema!”. Celebrycja dobrego samopoczucia ma się jak najlepiej i tylko wszyscy zapomnieli o przebywającej również na estradzie Kasi Skrzyncekiej, gdzie jest mikrofon Kasi?, ojej, ojej, a piosenka już leci i wszyscy słyszą, co by nam Kasia zaśpiewała, gdyby istotnie miała zamiar śpiewać. Poczucie nierzeczywistości przenosi mnie na moment w całkiem inne sfery.

14.01.02

Nie da się ukryć, że wszyscy boimy się rzeczy nadprzyrodzonych. W czasie kolacji przypominam sobie nagle, jak parę dni temu odwiedziła mnie Ewa C. i kiedy poszliśmy do kuchni zrobić coś do jedzenia, opowiedziałem jej o jedynym strachu, jaki mnie tu niekiedy dopada: że kiedyś nocą w tym oknie od kuchni (wychodzącym na loggię) pojawi się czyjaś twarz. I że nie będzie to żaden „ktoś” – łapie w lot Ewa. No właśnie. Bo kto by to miał być, sąsiadka?, jakiś zapóźniony gość?, pijak, co mu się bramy pomyliły?, złodziej? Ależ właśnie nic z tego, chodzi o samo zjawienie się twarzy, i że przez chwilę byłoby to jakieś nie wiadomo co.

15.01.02

Budzi mnie skandowane pod oknem przez ansambl męskich głosów hasło „My też!”. Wyglądam na ulicę, a tam pochód kilkunastu facetów w czarnych płaszczach, z transparentami, z których udaje mi się odczytać tylko jeden: BIZNES – RÓWNOŚĆ – INFORMACJA. Biznesmeni domagający się lepszego dostępu do nowych wiadomości? Ale przecież zawsze wydawało mi się, że to oni są właśnie najlepiej i w wszystkim poinformowani. Więc może kandydaci na biznesmenów? Wszystko jedno, co mnie to w sumie obchodzi, tylko

dłaczego maszerują właśnie ulicą Gazową?, czemu drą się tu pod moim oknem?

W pociągu dosiada się do mnie straszna para, biznesmen i bizneswoman, ona od razu bierze torbę z zakupami i zaczyna odpakowywać, omawiając zalety poszczególnych towarów, on zakłada sobie na uszy słuchawki z dołączonym mikrofonikiem i gada przez to z jakimiś podległymi mu paniami, które traktuje z charakterystyczną mieszańką lepkiego erotyzmu i chamstwa. Tak mu wygodniej, bo ręce ma zajęte obieraniem mandarynek. W końcu postanawiają wyjść do warsu. „Będzie pan tu siedział?” – pytają mnie bezceremonialnie. „Nie wiem, czy mam ochotę uzależniać moje

nuje to, z czego sami się pokątnie wyśmiewamy, nie podoba mu się, że Burszta usiłuje sprzedać nas, podczas gdy on sprzedał się jako tako bez Burszty, makabra po prostu i żenada, bo przecież wszyscy jedziemy mniej więcej na tym samym wózku.

Prof. Janion, ledwośmy się przywitani, mówi:

Wygląda pan jak anioł.

Taki trochę podupadły – odpowiadam skromnie.

Ale tacy są właśnie najlepsi – puentuje pani prof., wzbudzając uzasadnioną radość Beaty Chmiel.

Promocja wychodzi jakoś tak akademicko; seminarzystka B. zadaje pytanie o „holokaust świrów”, pani prof. nie wie, co odpowiedzieć. „Pani Kazia jest wegetarianką,



© A. Wiedemann

siedzenie tutaj od Państwa siedzenia tam” – odpowiadam, więc biorą te swoje toboły (śmieci, rzecz jasna, pozostawiając na siedzeniu) i się wynoszą, dzięki czemu mogę wreszcie zacząć czytać „Żyjąc tracimy życie”, nowe dzieło prof. Marii Janion, na którego promocję właśnie jadę. Książka zaczyna się tak pięknie, że aż strach czytać dalej, wreszcie ktoś potraktował literaturę jako zbiór pytań dotyczących „mnie”, mnie-badacza, i tylko co się z tego (pewnie nie zdołam zobaczyć podczas podróży) wylęgnie?

W Warszawie idę najpierw do redakcji „Literatury na Świecie”, tam Piotrek wstrząśnięty artykułem Jacka Podsiadły o Burszcie, proponuje napisanie jakiejś polemiki, ale w sumie z czym tu polemizować, Jacek pięć-

więc może niech ona coś powie”, stwierdza w końcu. Wychodzimy napchani bułkami z kaszą.

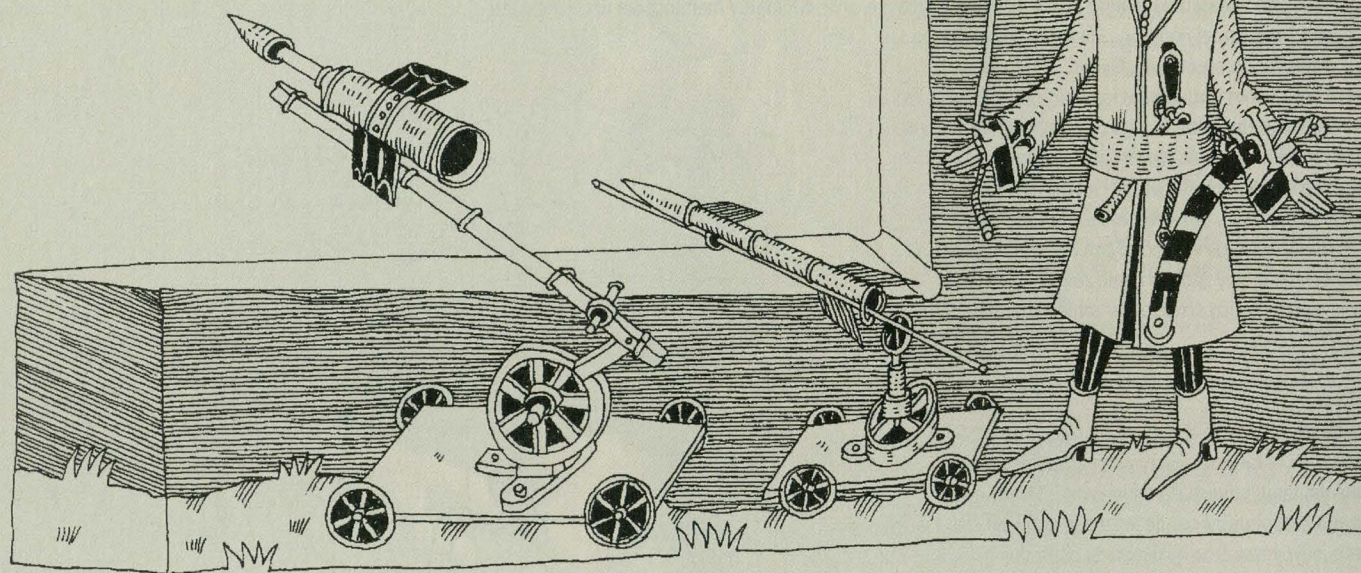
17.01.02

Dziś byłem na warszawskiej premierze „Oczyszczonych” Sary Kane, ale o tym wypowiem się pewnie już w innych łamach, bo tutaj będziemy się powoli żegnali, stary „Przekrój” zdechł, niech żyje nowy „Przekrój”, i życz mu, Panie Boże, jak najlepiej, a ja tymczasem wybywam na ferie do Lublany i najchętniej zostałbym tam już na zawsze, ale się pewnie nie uda, a więc – do zobaczenia!, i to już mój ostatni do Was tutaj e-mail.

ADAM WIEDEMANN

Smoki ogniste spod znaku Orła Białego

440 lat temu imć Mikołaj Rej
z Nagłowic dumnie pisał, że Polacy
nie gęsi i swój język mają. Mógł
jeszcze dodać, iż mają też... rakiety.



Znamy dokładną datę, kiedy Polacy po raz pierwszy zobaczyli rakietę w akcji. Było to 9 kwietnia 1241 r. – w dniu pamiętnej klęski rycerstwa śląskiego i wielkopolskiego pod Legnicą, gdy życie stracił książę Henryk Pobożny.

Mongołowie, zwani u nas Tatarami, użyli wtedy prostych rakiet. Nie omieszkał o tym wspomnieć w swoim monumentalnym dziele Jan Długosz. Bardzo prymitywne jeszcze konstrukcje nie spowodowały zapewne wielkich szkód w polskich szeregach. Możemy jednak sobie

wyobrazić, jak wielki zamęt musiały wywołać ogniste pociski spadające prosto z nieba na ludzi i konie.

Rakiety – rzecz rycerska

Użycie budzącej przerażenie broni musiało zainteresować tych, którzy przeżyli legnicką klęskę. Kwestią czasu było bliższe zapoznanie się z ognistymi pociskami i próby wprowadzenia ich do własnej praktyki wojennej. Stare inwentarze zamkowe dowodzą, że prymitywna broń rakietowa należała do wyposażenia wojska

polskiego co najmniej od przełomu XV i XVI w. Nie byliśmy zresztą pod tym względem specjalnie oryginalni. Nowa broń pojawiła się też w różnych innych armiach europejskich.

Człowiekiem, który nie tylko osobiście zetknął się z tego typu bronią, lecz pierwszy w polskiej literaturze ją opisał, był Marcin Bielski – szlachcic herbu Prawdzic, rodem z ziemi sieradzkiej. Ten uczestnik walk z Tatarami i Wołochami był jednocześnie płodnym pisarzem. W 1569 r. (tym samym, w którym umarł Mikołaj Rej) wydał drukiem

w Krakowie dzieło zatytułowane „Sprawa rycerska”. Pisał tam głównie o sztuce wojennej starożytnych, lecz jeden rozdział poświęcił artylerii, a w nim zawarł porcję wskazówek na temat wytwarzania rakiet i materiału pędnego do nich.

Badający te wskazówki krakowski historyk nauki, dr Bolesław Gomółka, zwracał uwagę na ich oryginalny charakter. Bielski nie powtarzał cudzych wiadomości i sądów, ale wyraźnie opierał się na własnych doświadczeniach. Opisywał różne odmiany rakiet – race, szypy, smoki ogniste.

Najbardziej podobne do rakiet dzisiejszych były race. Ich korpus stanowiła papierowa tuleja, a rolę stabilizatora spełniał drążek ogonowy. Szypy były odmianą rac; wystrzeliwało się je z kuszy – jak zwykle strzały – a przywiązany ładunek prochowy zwiększał prędkość i przedłużał lot. Inny charakter miały smoki ogniste. Były to rakiety unoszące się w powietrzu na uwięzi niczym latawiec. Nie służyły do atakowania przeciwnika; miały jedynie go straszyc. Bielski nie krył swego negatywnego stosunku do tej odmiany rakiet.

Jak widać, tatarska lekcja nie poszła na marne.

Wyprzedził epokę

Pociski rakietowe opisywane przez Marcina Bielskiego były bardzo proste i niedoskonałe. Lecz niespełna sto lat później polski inżynier Kazimierz Siemienowicz pisał już o rakietach bardzo zbliżonych do konstrukcji współczesnych. W roku 1650 Siemienowicz wydał w Amsterdamie dzieło „Artis Magnae Artilleriae, pars prima” („O wielkiej sztuce artylerii, część pierwsza”), gdzie jako jeden z pierwszych opisał rakietę wielostopniową.

Jak bardzo pionierskie na owe czasy było to rozwiązanie, świadczy fakt, że zaczęto je wykorzystywać dopiero pół wieku temu, gdy konstruktorzy rakiet stanęli przed zadaniem przenoszenia ładunków na odległości międzykontynentalne i wyłaniania pierwszych sztucznych satelitów Ziemi.

Nowatorstwo polskiego inżyniera zostało docenione przez współczesnych. Jego dzieło zostało niebawem przełożone na francuski i niemiecki, później na holenderski.

Godnym następcą Siemienowicza okazał się bohater Polski i Węgier, generał Józef Bem. U progu swej kariery przeprowadził on w Warszawie w 1818 i 1819 r. serię eksperymentów z rakietami. Pod wpływem raportu z tych badań utworzony został w armii polskiej Korpus Rakietników, działający w latach 1823–1831 r.

Święty projektuje statek kosmiczny

Od rakiet do projektowania podróży kosmicznych był już jeden

krok. I w tej dziedzinie nie zabrakło nam wizjonerów, którzy na wiele lat przed wystrzeleniem pierwszego sputnika prognozowali kosmiczną przyszłość ludzkości.

Jednym z nich był ojciec Maksymilian Kolbe. Z okresu jego studiów w Rzymie, z lat 1913–1918, zachowały się notatki zawierające zarys idei budowy statku kosmicznego, nazywanego „eteroplanem”. Przyszły święty miał nadzieję, że takim aparatem można będzie dotrzeć do Księżyca, innych planet, a nawet odległych gwiazd.

Wczytując się w notatki Kolbego, odnajdujemy wiele idei zakorzenionych dziś na trwałe w astronautyce. Są tam propozycje zarówno statków załogowych, jak i sond automatycznych. Autor tych zapisków wskazywał na konieczność skonstruowania hermetycznej i odpowiednio wytrzymałej powłoki statku. Brał jednocześnie pod uwagę możliwość zderzenia podczas lotu z drobnymi ciałami kosmicznymi. Kolbe postulował, aby opracowane rozwiązania testować najpierw w lotach bezałogowych i z udziałem zwierząt – tak jak zrobiono to w rzeczywistości kilkadziesiąt lat później.

Autor omawianych zapisków zwracał też uwagę na biomedyczne aspekty przeciążeń i stanu nieważkości. Bardzo realistycznie przedstawiał warunki, jakie trzeba stworzyć człowiekowi do życia we wnętrzu statku kosmicznego. Jedynie propozycja napędu odbiegała całkowicie od rzeczywistości dzisiejszych lotów kosmicznych. Kolbe wymyślił całkiem oryginalny napęd odrzutowy, oparty na idei zwielokrotnionego wystrzału armatniego.

Św. Maksymilian nigdy nie opublikował swoich pomysłów. Zresztą, jak się okazało, nie potrzebował żadnego statku kosmicznego, żeby trafić prosto do nieba.

Fantazji nie brakowało też innemu Polakowi – Franciszkowi Abdonowi Ulińskiemu, inżynierowi zamieszkującemu w Wiedniu. W latach dwudziestych XX w. zaproponował on bardzo futurystyczną koncepcję statku kosmicznego, który miał być napędzany strumieniami elektronów czerpanych z energii wytwarzanej za pomocą baterii słonecznych. A w 1939 r., na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, Kazimierz Zarankiewicz opublikował

w „Przeglądzie Technicznym” pracę „O ruchu rakiety kosmicznej”.

Z kosmosu na ziemię

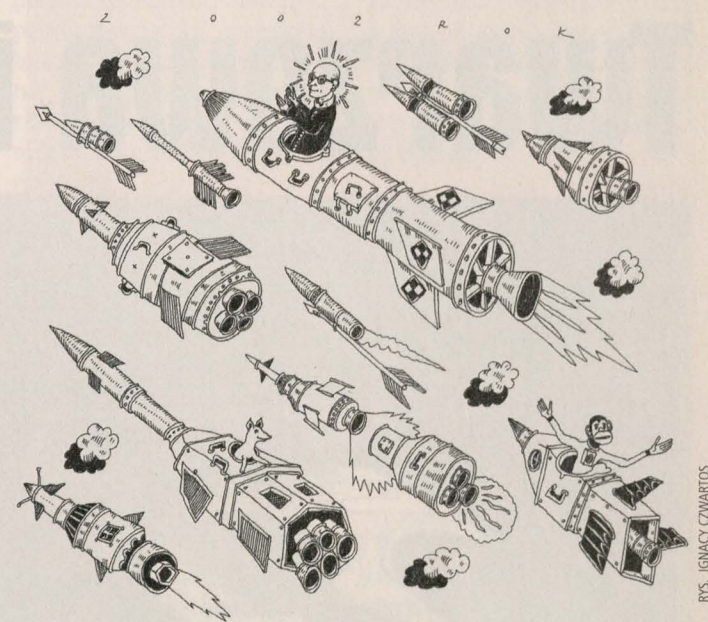
O ile Marcin Bielski pisał o prostych rakietach na podstawie własnych doświadczeń z ich wytwarzaniem, a Józef Bem przeprowadzał nawet własne badania, o tyle później polscy autorzy przeważnie musieli się ograniczać do rozważań teoretycznych. W wieku XX eksperymenty rakietowe zaczęły się wiązać z takimi kosztami i problemami logistycznymi, że na ich prowadzenie mogły sobie pozwolić jedynie zasobne kraje o ambicjach mocarstwowych. Do II wojny światowej w tej stawce liczyły się jeszcze Niemcy, później na placu boju pozostały już

tylko dwie superpotęgi – Stany Zjednoczone i Związek Radziecki.

Mimo to nie ograniczyliśmy się całkowicie do roli kibiców. U schyłku lat pięćdziesiątych z inicjatywy prof. Jacka Walczewskiego podjęto w Krakowie próby z rakietami meteorologicznymi do sondażu atmosfery. W rezultacie licznych eksperymentów rakiety balistyczne serii Meteor zaczęły osiągać pułap 100 kilometrów – umowną granicę kosmosu. Całkiem realne stało się wysłanie polskiego sztucznego satelity Ziemi własną rakieta nośną.

Z tych marzeń o polskim podboju kosmosu na ziemię sprowadziły nas realia polityczne, w jakich przyszło żyć nam w tym czasie. Ale to już zupełnie inna historia.

LESŁAW PETERS



RAKIETY W HYMNIE

Rakietę, uznawaną za jeden z symboli osiągnięć techniki XX wieku, jest w istocie bardzo starym wynalazkiem. Prymitywne rakiety, używane w charakterze fajerwerków, były znane w Chinach już w IX w. Stąd w trakcie podbojów mongolskich jako środek bojowy trafiły w XIII w. do Europy i znalazły się w wyposażeniu wojsk różnych krajów. Rozwój broni palnej sprawił, że do XX w. nie znalazły szerszego zastosowania militarnego, jednak sporadycznie wprowadzano je na pole walki. W 1792 r. władca Majsuru w Indiach użył rakiet podczas wojny z Anglikami. Podczas wojen napoleońskich stosowano pociski napędzane prochem, które skonstruował brytyjski inżynier William Congreve. W 1807 r. spowodowały one pożar dużej części Kopenhagi. W 1814 podczas wojny ze Stanami Zjednoczonymi marynarka brytyjska użyła ich do ostrzeliwania Fortu McHenry. Francis Scott Key uwiecznił to w słowach hymnu amerykańskiego: „the rockets' red glare” („czerwony blask rakiet”). Prostej broni rakietowej używali też w latach 1828–1829 Rosjanie podczas wojny z Turcją, a następnie w wojnie krymskiej.

Nie zdradź, że spotkałaś mnie w gabinecie u doktor S. – wymusiła przyrzeczenie znajoma z telewizji. Teraz korzysta z urlopu. Do pracy powróci bez kurzych stopek i obwisłych policzków.

Twarzowa inwestycja

Nie każdy ma odwagę piosenkarki Cher, która nie tai, co sobie upiększyła i ile ją to kosztowało. Zabiegi kosmetyczne w Ameryce, w przeciwieństwie do Polski, nie są utrzymywane w tajemnicy. Tam czterdzieści lat temu popularna wówczas striptizerka, Carol Dona, publicznie wyznała, że nie natura, lecz lekarze z San Francisco silikonowymi zastrzykami jej biust i ciało uczynili pełnym.

Dona pierwsza przerwała milczenie. Potem Michael Jackson upodobił się do Dian Ross. O Raquel Welch mówi się, że tylko wnętrze ma ludzkie. Lista „nowych” twarzy z roku na rok się wydłuża. Także o polityków, biznesmenów i zwykłych śmiertelników. Z raportu Amerykańskiego Towarzystwa

Chirurgii Plastycznej i Rekonstrukcyjnej wynika, że w minionym roku w USA przeprowadzono prawie trzykrotnie więcej operacji niż osiem lat temu. Poddano się im milion kobiet i ponad sto tysięcy mężczyzn. Obsesja fizycznej atrakcyjności dotknęła nie tylko Zachód.

Piękny, zdrowy i bogaty

Również Polak dbałość o wygląd coraz częściej zaczyna traktować... jak inwestycję. Nawet młodzi zwykli uważać, że twarz i sylwetka muszą być „młodsze” od metryki, bo od tego ma zależeć kariera zawodowa. Zwiększa się szansa znalezienia nowej pracy, choćby w charakterze sprzedawcy czy hotelowego boya. Dlatego operacjom

plastycznym poddają się nawet osoby poniżej 35. roku życia. Pracodawcy uważają, że od tego wieku zaczyna się starość...

Pięknym, zdrowym i bogatym chce być każdy. Jednak dla wielu poprawianie urody oznacza konkretny punkt realizacji planu – agresywną interwencję w naturę. Już nie markowy i drogi krem oraz masaż mają usuwać zmarszczki. Zniwelować (wypełnić) je trzeba implantami z kolagenu, preparatami powstałymi na bazie rozmaitych kwasów czy toksyn, m.in. z jadu kielbasianego.

Liftingi polegające na wstrzykiwaniu pod skórę aktywnych środków, operacje z użyciem skalpela przestały dawno szokować. I zadowalać, zwłaszcza że wywołują czasem komplikacje. Od kosmetologów i lekarzy dziś oczekuje się spektakularnych efektów. W żadnym razie narażania na szwy, ból czy długotrwałą opuchliznę występujące po chirurgicznych cięciach.

Stąd wiara w promienie lasera. W ich bezbolesną i bezpieczną inwazję, po której rekonwalescencja – choć sprawa to indywidualna, zależna od reakcji organizmu – trwa krótko.

Metamorfozy

– W medycynie stosuje się lasery o małej mocy, które leczą schorzenia skóry, stawów i zmiany pourazowe. Mocniejsze służą między innymi do zabiegów okulistycznych. Najsilniejsze zastępują skalpel; precyzyjnie ścierają naskórek, odsłaniają kolejne warstwy skóry, likwidują zbędne tkanki. Dlatego nimi zaczęto spłycać bruzdy i zmarszczki. Tym bardziej że emitowana fala świetlna i kontrolowany wzrost temperatury stymulują też produkcję nowego kolagenu, który, tworząc siatkę, znów staje się podporą dla skóry ujędrnia ją – mówi dr Georg Wolnicki, specjalista w dziedzinie medycyny laserowej z Düsseldorfu.

Efekt wygładzenia skóry – a laser najnowszej generacji potrafi odmłodzić nawet o 15 lat! – jest widoczny już po tygodniu. Można się nim cieszyć przez sześć, siedem lat. Tyle że za metamorfozę trzeba zapłacić od czterech do siedmiu tysięcy złotych. Mniej kosztowne (od dwustu do ośmiuset zł, choć zabieg laserem diodowym trzeba powtórzyć trzy razy) jest uszlachetnienie skóry, trwałe usunięcie z niej nadmiernego owłosienia. – Częstej przyczyny – jak na podstawie własnych obserwacji twierdzi ginekolog, dr Kazimierz Karolewski – licznych kompleksów i stresów wielu pacjentek.

20 lat później

Poprawy elastyczności skóry, likwidacji jej przebarwień, trądziku, porów, łojotoku lub „zamknięcia” popękanych naczyń, wygładzenia blizn i zmarszczek można dokonać – koniecznie pod okiem lekarza! – w gabinetach kosmetycznych oraz w gabinetach medycyny estetycznej.

Te drugie pączkują w Polsce dopiero teraz, choć medycyna estetyczna jako oddzielny dział narodziła się we Francji ćwierć wieku temu – za sprawą endokrynologa, profesora Legrand. Później, dzięki profesorowi Bartolettiemu, dotarła do Włoch; w Rzymie istnieje unikatowa dotąd w świecie czteroletnia szkoła szerząca kult pięknego ciała: Scuola Internazionale di Medicina Estetica. Jej absolwentem jest zresztą i nasz rodak, dr Andrzej Ignaciuk z Lublina – dziś przewodniczący Sekcji Medycyny Estetycznej PTL, która skupia około stu specjalistów z interny, dermatologii, endokrynologii, ginekologii, biofizyki, biochemii, patologii, chirurgii, psychologii, stomatologii, rehabilitacji itd.

Holistyczne spojrzenie

– Medycyna estetyczna – mówi dermatolog, dr Danuta Sztencel – traktuje człowieka holistycznie. Chce znać odpowiedź na pytanie: dlaczego? Stąd najpierw ustala przyczyny defektów: znamion, przebarwień na skórze, trądziku, żyłaków, otyłości lub wychudzenia, nadmiaru lub braku owłosienia itd. – później leczy chorobę, która objawy te wywołuje.

Pacjent wspólnie z lekarzem rozważa, co może zmienić w swoim stylu życia, by zyskać lepszy wygląd. Może to sprawa przejadania się? Przeżywania napięć? Bezsensowności? Chirurgiczne usunięcie zmarszczek, przebarwień na skórze czy odessanie fałdów tłuszczu nie pomoże, jeśli mięśnie twarzy nadal będą spięte z powodu stresu, wątrobą chora, apetyt ponad normę, a na dodatek organizm będzie zatruty papierosami, alkoholem lub narkotykami.

Medycyna estetyczna absolutnie nie neguje chirurgii kosmetycznej. W terapii też uwzględni korekcję twarzy lub sylwetki. I jeśli ktoś niezbyt dobrze czuje się we własnej skórze, uważa, że zbyt wielki nos, za bardzo wysunięta szczeka lub opadające powieki – zmniejszają jego powodzenie w życiu osobistym czy ograniczają zawodową karierę – stara mu się pomóc. Uroda musi jednak iść w parze ze zdrowiem. Również z psychicznym.

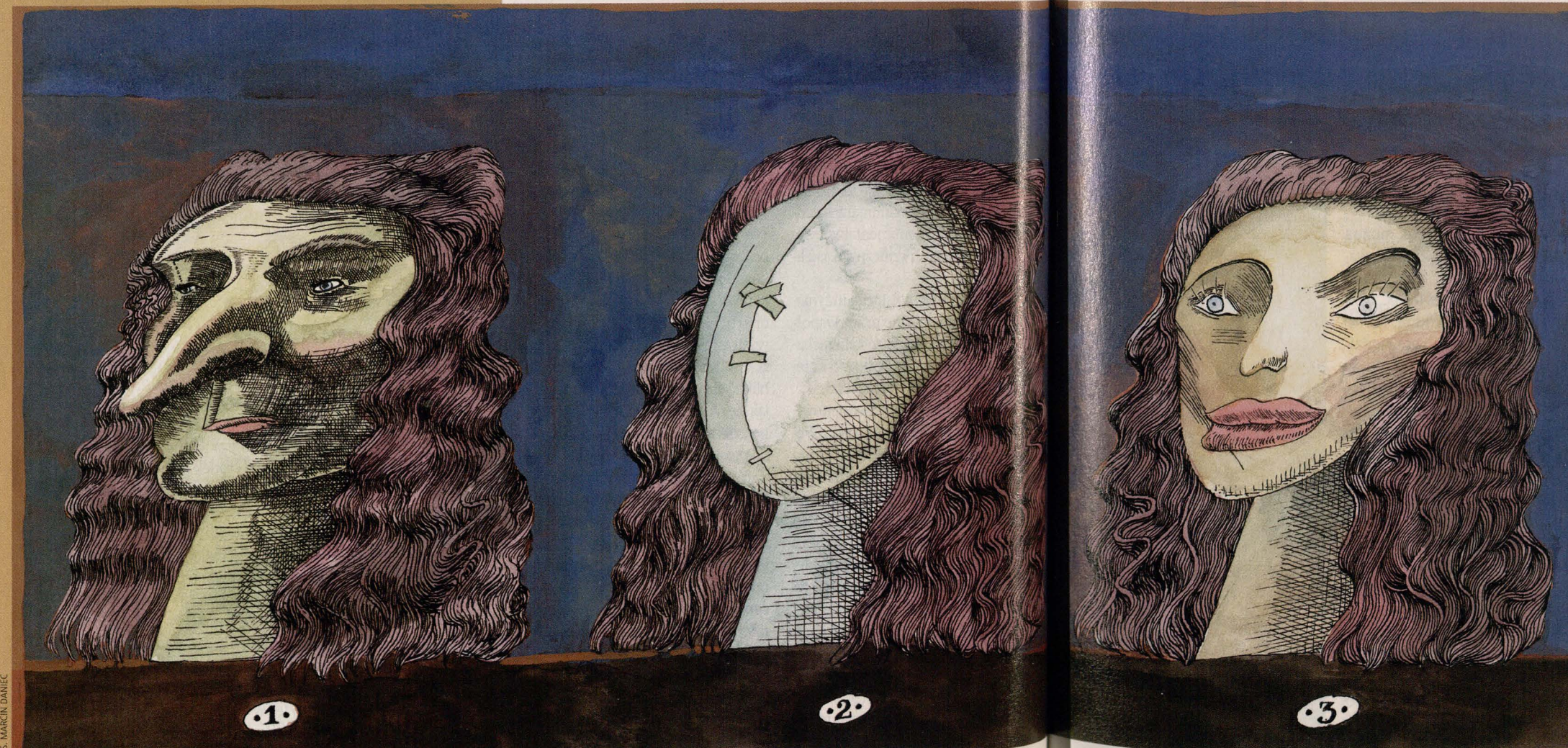
Dla dobrego samopoczucia

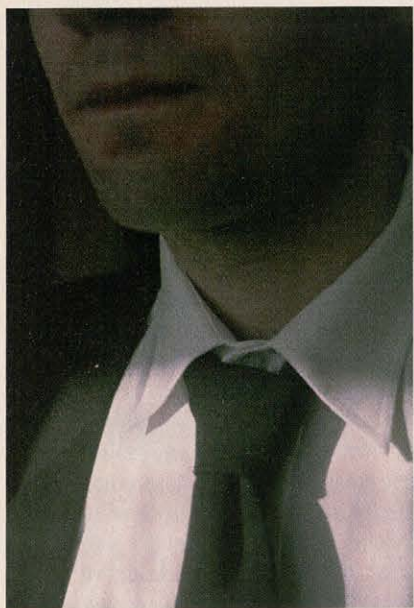
Zabiegi prowadzące do usunięcia defektów i poprawiania urody są modne i na ogół bardzo kosztowne (np. zamykanie naczynek – od 50 do 400 zł, depilacja pach i nóg – ok. 1500 zł, pach – 400 zł, wąsików na górnej wardze – 250 zł). Jeżeli warunkują jednak dobre samopoczucie na resztę życia?

Nieżyjący już nasz rzymski korespondent, Jerzy Hordyński, zwykł kiedyś mawiać: „Trzeba myśleć o radosnym, pięknym życiu, nie o testamencie” (rzeczywiście o nim przed śmiercią nie pomyślał). Jako pierwszy z Polaków z Piazza Navona wąskimi uliczkami dotarł więc do rzymskiej uczelni, zasiadł na sali wykładowej pośród lekarzy-estetystów pragnących w przyszłości upiększyć ród ludzki i zasłuchał się w wykład Carlo Alberto Bartoletiego pod hasłem: mens sana in corpore sano – w zdrowym ciele, zdrowy duch... O czym wiedzieli już starożytni.

Z dziennikarskiego obowiązku trzeba odnotować, że farmy piękności mają się dobrze w całym świecie, a w Polsce coraz lepiej!

TERESA BĘTKOWSKA





Jeszcze do niedawna wierzono, że główną rolą pachnidła jest zwiększanie atrakcyjności seksualnej człowieka, a wiele składników kompozycji zapachowych uznawano wprost za afrodyzjaki, jak np. piżmo czy wyciąg z rozmarynu. Dziś do takich twierdzeń podchodzi się z dużym dystansem, gdyż nie znalazły potwierdzenia w poważnych badaniach naukowych, a niektórzy uważają nawet, że perfumy mogą atrakcyjność seksualną obniżać, przeszkadzając w działaniu naturalnych substancji zapachowych wytwarzanych przez organizm, zwanych feromonami. Coraz większą zaś popularność zyskuje pogląd, że woń samodzielnie wybieranych perfum koresponduje z osobowością człowieka lub jest odbiciem tego, jak chciałby być postrzegany przez innych. Zależność między cechami charakteru a doбором zapachu najłatwiej można prześledzić na przykładzie luksusowych perfum dla mężczyzn.

Kowboj

Współcześni mężczyźni najchętniej kupują perfumy z rodziny zapachowej zwanej fougère, czyli „paprociowej”, choć z wonią paproci nie mają nic wspólnego (nazwa pochodzi od pachnidła „Fougère Royale” z końca XIX wieku). Ich aromat łączy w sobie narkotyczną i wizjoner-

skie nuty lawendy i siana z ostrym, nieco drażniącym, cierpko-balsamicznym akordem żywicy i mchu. Pierwsze takie kompozycje pojawiły się na rynku pod koniec lat 70. XX wieku, kiedy na ekranach kin królował „Brudny Harry”, a do walki o fotel amerykańskiego prezydenta przygotowywał się aktor, specjalizujący się w rolach twardych kowbojów, Ronald Reagan, a Arnold Schwarzenegger zapoznawał się ze scenariuszem „Conana barbarzyńcy”. I trzeba przyznać, że doskonale oddawały ducha czasów, sprzyjając kreowaniu wizerunku silnego człowieka.

Mężczyzna, który ich używa, niewątpliwie dąży do zdominowania otoczenia i ma naturę wojownika (najstojniejsze pachnidło z tej rodziny nazywa się Drakkar Noir – drakkar, czyli łódź wikingów – okrutnych wojowników). Bywa arogancki i zadziorny, jest egoistą, kocha władzę i nie lubi się nią dzielić. Przyciąga kobiety nie samodzielnie, które oczekują od niego opieki i zapewnienia bezpieczeństwa w zamian za całkowite podporządkowanie.

Najbardziej znanymi pachnidłami fougère, oprócz wspomnianego Drakkar Noir, są takie perfumy, jak Azzaro pour Homme (pierwszy zapach z tej rodziny, który odniósł sukces), Boss N°1 czy bardzo cenione w Polsce Adidas Active Bodies (tzw. czarny adidas) i Good Life for Men.

Podwładny

Lata 80. ubiegłego wieku przyniosły modę na sportowy tryb życia. Urzędnicy i biznesmeni, zamiast siedzieć po pracy na kanapie przed telewizorem, przeżyli mięśnie w siłowniach, a w weekendy wyjeżdżali za miasto, by uprawiać różnego rodzaju sporty. Takie zmiany obyczajowe musiały pociągnąć za sobą pojawienie się nowego typu pachnidła. W roku 1988 firma Davidoff wprowadziła do sprzedaży zapach Cool Water, który natychmiast stał się światowym przebojem, dając początek nowej rodzinie zapachowej, zwanej wodną, ozonową lub nową świeżością.

Te pachnidła są mało wyraziste i bardzo dyskretne. Odbieramy je jak powietrze tuż po przejściu burzy z piorunami, wodniste owoce i warzywa, jak np. melon czy ogórek. Niektórzy ich zapach przyrównują do aromatu świeżo rozciętego kaktusa. Mężczyzna, który ich używa, jest miłośnikiem nowoczesności i nowych technologii, ceni sporty ekstremalne, lubi morze i łatwo ulega modom.

Niestety, perfumy wodne nie podkreślają bogactwa osobowości, wręcz przeciwnie, pomagają ukryć wszelkie głębie intelektualne. Są więc idealne dla ludzi, którzy nie mają doświadczenia w dobieraniu pachnidła (nie popełnią błędów) i podwładnych, pragnących nie drażnić szefa. Nie znaczy to, że nie mogą ich używać ludzie o wyrafinowanym guście, pod warunkiem jednak, że akurat przebywają na polu golfowym lub na wycieczce za miasto.

Mężczyźni używający pachnidła z tej rodziny będą przyciągać raczej bardzo młode kobiety, o mało wyszukanych upodobaniach estetycznych. Interesującymi pachnidłami z tej rodziny są chociażby Pleasures for men Estée Lauder, L'Eau d'Issey Homme czy Acqua di Gio pour Homme.

Dyplomata

Stosunkowo najmniej można powiedzieć o mężczyźnie używającym zapachów z rodziny drzewnej, zwanej też leśną. Woń mają bardzo różnorodną. Perfumy weterowate (Vetiver Guerlaina, Vetiver Carven, Homme de Grès), zwane złośliwie „bagiennymi”, pachną np. wilgotną ziemią oraz zbutwiałymi korzeniami i liśćmi. Zdecydowana większość tych kompozycji rozciąga jednak wokół siebie przyjemną woń świeżo piłowanego drewna z dodatkiem aromatów żywicznych (np. S. T. Dupont, Life Essence Fendi czy Jungle pour Homme Kenzo).

Mężczyzna używający pachnidła drzewnych z pewnością stara się być osobą zrównoważoną i ceniącą elegancję, pełną życzliwości do świata i szczerą w intencjach. Wierzy we własne siły i nie widzi



Tajemny język męskich perfum

Spotkanego po raz pierwszy mężczyznę zwykle ocenia się po butach i zegarku. Najwięcej jednak można się o nim dowiedzieć dzięki jego pachnidłom...

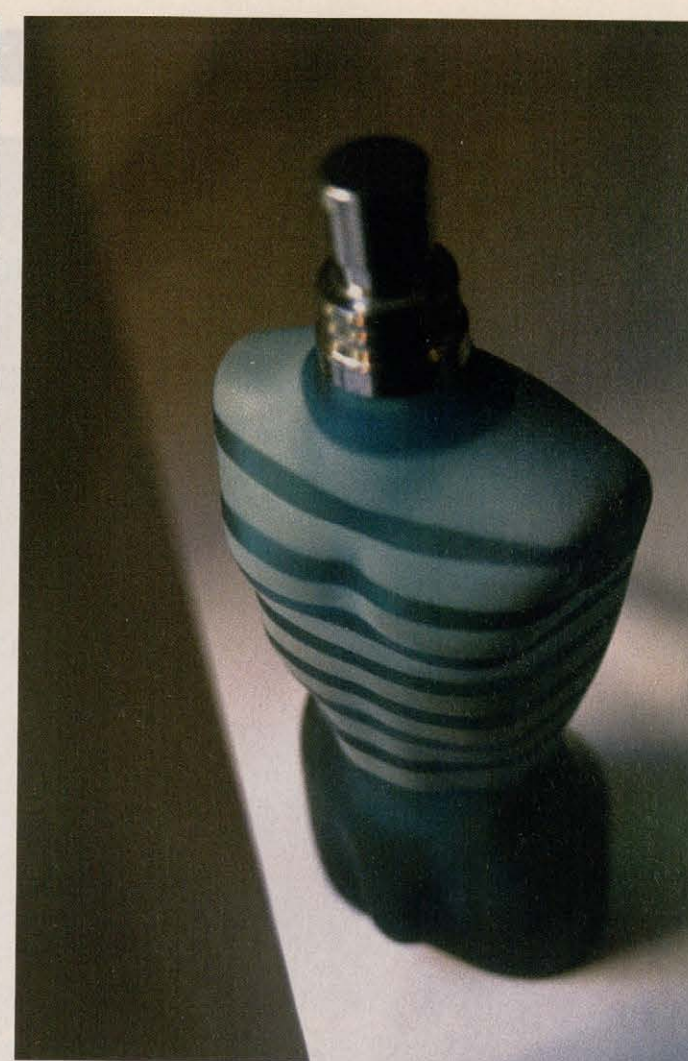
potrzeby bezwzględnej walki o wszystko i z każdym. Ceniony jest przez kobiety, które nie lubią niespodzianek. Miłośników perfum weterowatych dodatkowo cechuje duża doza autoironii i dystansu do własnej osoby.

Smakosz

W latach 90. XX wieku mężczyźni odkryli perfumy z rodziny orientalnej, wcześniej, za sprawą nut słodkich i ciepłych, zarezerwowane dla kobiet. Większość męskich kompozycji nawiązuje wreszcie do perfum dla pań – A Men (Angel Thierry Muglera), Lolita Lempicka pour Homme (Lolita Lempicka pour Femme), Opium pour Homme (Opium Yves Saint Laurenta).

W pełni oryginalnym zapachem jest za to dość popularny w Polsce Minotaur Palomy Picasso. Te i podobne im pachnidła łączą w sobie zmysłowo rozgrzewające aromaty egzotycznych żywic i piżma, wonie odurzających kwiatów (np. tuberozy, ylang-ylang) oraz słodkich owoców i przypraw (przede wszystkim pachnącej nieco pudrowo wanilii). W ostatnich latach dołączyły do nich syntetyczne wonie smakolek – czekolady, karmelu czy pierników.

Miłośnik takich zapachów z pewnością lubi korzystać z życia, ceni wszelkie przyjemności i nie przepada za sportem (chyba że ogląda go w telewizji). Jest smakoszem i nie stroni od degu-



stowania dobrych trunków. Przyciąga kobiety pełne fantazji i posiadające wspaniałe poczucie humoru, bez skłonności do anoreksji i filozoficznych medytacji.

Intelektualista

Najbardziej wyrafinowaną rodzinę zapachową w świecie perfum tworzą niewątpliwie kompozycje szyprowe, oparte na kontraście między nutami narkotycznie przyciągającymi, trochę ciepłymi i delikatnie kwiatowymi a akordem cierpkim, niepokojącym i budzącym dystans (mch, dębowy). Szczyt popularności takich pachnidła przypadł na przełom lat 60. i 70. XX wieku, kiedy bogate społeczeństwa Zachodu pogrążyły się w kryzysie wartości. Wieloznaczne, trudne do zinterpretowania i robiące wrażenie rozdartych wewnętrznie zapachy szyprowe idealnie korespondowały z atmosferą moralnego niepo-

Perfumy szyprowe nie są dziś zbyt popularne, jednak w dalszym ciągu można kupić najstojniejsze zapachy z tej rodziny – Aramis Classic czy Eau Sauvage Diora. W nowszych zapachach akord szyprowy jest zwykle łagodzony przez inne nuty, np. w cK One Calvina Kleina woniami świeżymi, w Rocobar Hermesa drzewnymi, a w Basali Shiseido – skórzanymi.

Niezdeterminowany

Warto na koniec zapytać, co ma zrobić mężczyzna, który nie chce być zapachowo zaszufladkowany. Perfumiarze znaleźli na to sposób, wprowadzając do sprzedaży perfumy niezwykle złożone, łączące w sobie z pozoru przeciwstawne akordy. Np. perfumy Le Male Gaultiera zawierają zarówno męski akord fougère, jak i ciepłe nuty orientalne. Z akordem paprociowym coraz częściej łączy się wonie charakterystyczne dla pachnidła wodnych, dzięki czemu perfumy nie tylko podkreślają silną osobowość, lecz także emanują świeżością. Natomiast perfumy drzewne wzbogacane są często o zmysłowe aromaty orientalne. Takie zestawienia zapachów z pewnością utrudniają analizę osobowości mężczyzny na podstawie perfum.

Dodatkowym utrudnieniem w Polsce jest panująca od dziesięcioleci moda na zapachy niezwykle charakterystyczne i – co tu dużo mówić – „bizantyjskie”, co jest związane ze starym przekonaniem pokutującym nad Wisłą, wedle którego „elegancko” znaczy „bogato”. Wybór pachnidła może więc wypływać nie tyle z wewnętrznego przekonania, co z przyzwyczajenia i naśladownictwa.

Coraz częściej również pachnidła wybierają panom kobiety. Tym samym nie można powiedzieć, jaki naprawdę jest mężczyzna używający jakiegos zapachu, lecz jedynie jakim chciałaby go widzieć partnerka. Ale przecież perfumy istnieją właśnie po to, by ich użytkownik wydawał się lepszy, niż jest w rzeczywistości.

AGATA WASILENKO
Fot. KUBA DĄBROWSKI

G i o t t o p o d s p e c j a l n y m n a d z o r e m



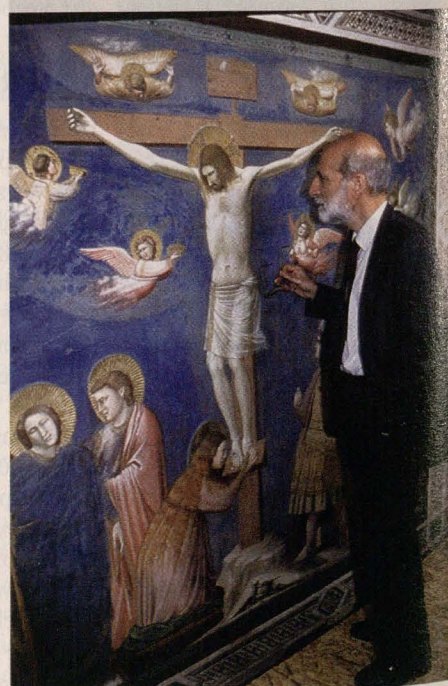
Czternastowieczna kaplica kryje jedno z największych osiągnięć sztuki europejskiej, monitorowane przez system najnowszej ochronnej technologii.

1. Prace konserwatorskie przy „Sądzie Ostatecznym”.

2. Nadzorujący prace prof. G. Basile przed freskiem „Opłakiwanie”.

3. Tych rusztowań już w kaplicy nie ma, ale wciąż działa system filtrów, utrzymujących specjalny mikroklimat.

4. i 5. Jedna ze scen „Sądu Ostatecznego” i centralna postać fresku – Chrystus jako Sędzia.



W siódmym kręgu piekła, zarezerwowanym dla grzesznych lichwiarzy, Dante spotkał padewczyka Reginaldo degli Scrovegni i opisał to spotkanie w „Boskiej komedii”:

A wtem duch, co miał błękitnej maciory
Znamię kreślone na woreczku białym,
Rzekł do mnie: „Po coś wszedł do strasznej nory?”

Reginaldo był lichwiarzem i skąpcem tak bezlitosnym, że po śmierci odmówiono mu chrześcijańskiego pochówku. Jego syn Enrico też nie miał w Padwie najlepszej opinii – uchodził za pyszałka, oszusta i hipokrytę. Aby odku-

pić grzechy ojca i zapewnić sobie zbawienie, młody Scrovegni za radą biskupa ufundował w 1303 roku kaplicę i zamówił u Giotto di Bondone cykl fresków.

Niewielki kościół położony przy Corso del Popolo jest dla wielu głównym celem wycieczki do Padwy i pierwszym zabytkiem, jaki przyjdzie im zwiedzać. Skromna fasada wcale nie zaporowiada bogactwa wnętrza, całkowicie pokrywającego malunkami.

Co rzadkie w tych czasach, kaplica powstała właściwie tylko po to, by pomieścić freski. Przez około dwa lata Giotto pracował z uczniami nad



cyklem 60 obrazów. Na tle nasyconego błękitu trzy kondygnacje fresków przedstawiają życie Chrystusa i Marii Panny. Szereg postaci pod głównymi malowidłami uosabia cnoty i występki.

Jasna, prześwietlona przestrzeń, prostota ubrań i gestów, wyjątkowe jak na owe czasy podkreślenie wewnętrznej natury postaci sprawiły, że już wówczas malarstwo Giotto uchodziło za nowatorskie. Wybitnych krytyk Charles de Tolnay uznał padewski cykl, obok Kaplicy Sykstyńskiej i malowideł Tintoretta w weneckiej San Rocco, za jedno z najpełniejszych świadectw trzech faz zachodniej religijności. Capella degli

Scrovegni byłaby odbiciem średniowiecznej pobożności – łagodnego chrześcijańskiego raju. Ostatnim, wieńczącym dzieło, jest pokrywająca całą ścianę fresk „Sąd Ostateczny” z rzekami ognia płynącymi od Boga ku piekłu.

Od niespełna roku Capella degli Scrovegni jest zamknięta dla zwiedzających. Pod nadzorem profesora Giuseppe Basile grupa konserwatorów z padewskiego uniwersytetu zabezpiecza freski.

Główne prace nie dotyczą jednak ich renowacji, ale zbudowania systemu monitorowania mikroklimatu wewnątrz kaplicy. Uszczelniono mury i dobudowano boczne wejście – nowocze-

sny przeszklony budynek, który spełnia rolę śluzy. Trzystopniowy system: wejście, strefa filtrów i wyjście, oddziela środowisko zewnętrzne, pełne kurzu i zanieczyszczeń, od utrzymywanej w odpowiedniej wilgotności i temperaturze sterylnej atmosfery wnętrza.

W lutym kaplica zostanie ponownie otwarta. Konsekwencją zainstalowanych zabezpieczeń jest ograniczenie liczby zwiedzających – freski będzie mogło oglądać równocześnie najwyżej 25 osób. Może lepiej zarezerwować wejście już teraz.

MARTA SOBOLSKA



Już dawno temu świętowałem swoje jedenaste urodziny, ale – w odróżnieniu od Harry'ego Pottera – w moim życiu nic się nie zmieniło (poza wiekiem). Zatem – nici z czarowania.

Jako że okazałem się pospolitym mugolem (patrz pod M, ale bynajmniej nie pod U) – proponuję wyznania tego typu osobnika, ale za to w wyrafinowanej i sprytniej formie alfabetu. „Harry Potter” jest książką do czytania, zatem ta forma nie powinna nikomu sprawić trudności. Chyba że jest nie tylko mugolem,

ALFABET MUGOLA UŚWIADOMIONEGO

lecz także analfabetą. A z taką sytuacją nie poradziłby sobie już nawet chyba sam Harry wraz z dwójką swoich przyjaciół – Hermioną Granger i Ronaldem Weasleyem.

ANALFABETA – człowiek, który nie powinien chodzić do kina na filmy zagraniczne. Takim filmem jest „Harry Potter i kamień filozoficzny”. Chyba że jacyś mugole (M) wyczarują mu dubbing (D).

BARBARZYŃSTWO – dubbing. Chyba że naszym celem jest to, aby do kina przychodzili analfabeci (A). O czytaniu książek w takiej sytuacji też nie ma mowy. „Harry Potter i...” to cykl książkowy.

COLUMBUS Chris – reżyser filmu o Harrym Potterze. Ameryki wpraw-



dzie nie odkrył, ale ją podbił kilkoma swoimi filmami.

DUBBING – wynalazek, dzięki któremu film o Harrym Potterze mogą zobaczyć nawet ci, którzy nie potrafią czytać.

EMPIK – duży sklep z książkami, który czasem otwierają nawet o północy.

FILM – dwudziestowieczny kamień filozoficzny. Zbudowany jest z taśmy celuloidowej, która przy odpowiednim alchemiku (zwanym reżyserem) zamienia się w złoto.

GILLIAM Terry – jeden z trupy Monty Pythona. Startował do realizacji filmu o Harrym Potterze, ale producenci się go wystraszyli. Co

więcej – wystraszyli się nawet samego Stevena Spielberga (chciał przenieść historię do Stanów Zjednoczonych). Ale i tak Ameryka górą – film zrobił przecież Amerykanin Krzysztof Kolumb.

HARRY POTTER – chłopiec, który uratował całe pokolenie przed plagą analfabetyzmu (przynajmniej wtórnego).

IDIOTYZM – stanie w kolejce po książkę o północy. Tym bardziej że w kilka godzin później można ją kupować nie po ciemku i bez kolejki.

JEDENASTE urodziny – wtedy może zdarzyć się w Twoim życiu naprawdę coś. Wielu czeka na te urodziny do samej śmierci.

KASA – podstawa wszechrzeczy. Bez niej nie powstałby żaden film. O zabezpieczeniu finansowym Harry'ego Pottera pamiętają nawet jego rodzice, chociaż są przecież czarownikami (zatem taki mugol powinien myśleć o tym co najmniej w trójnasób)

LUSTRO – zwierciadło. Harry Potter i jego koledzy widzą w nim między innymi przyszłe wydarzenia. Dlatego my patrzymy weń na wszelki wypadek coraz rzadziej.

Ł – nie ma takiej litery w języku angielskim.

MUGOL – „pozamagiczny gość” (cytat, bo sam bym tego nie wymyślił). Zatem człowiek, który nie potrafi sobie niczego wyczarować – np. pieniędzy, kiedy go wyrzucają z pracy (por. U).

NASTĘPNA – część filmu o Harrym Potterze. Już się robi.

OBAWA – że film „Harry Potter i kamień filozoficzny” będzie kiepski. Bezpodstawa. Trzeba jednak mieć się na baczności (por. N).

PENTATEUCH – pięcioksiąg. Liczba tomów książek o „Harrym Potterze” (i: kamieniu filozoficznym, komnacie tajemnic, więzieniu Azkabanu, czarze ognia oraz „the Order of the Phoenix”).

ROWLING, Joanne K. – autorka pentateuchu o „Harrym Potterze”. Jedyna empirycznie istniejąca niemugolka, która wyczarowała sobie wiele, wiele dolarów (ew. euro lub funtów szterlingów) dochodu na czymś tak mało opłacalnym jak pisanie książek.

STO czterdzieści cztery minuty – trwa seans filmu „Harry Potter i kamień filozoficzny”. To prawie dwie i pół godziny. Jeżeli wybrałeś się na premierę o północy, to wyszedłeś z kina o pół do trzeciej. Takśódkarke zacierali dłonie z zimna, ale przede wszystkim z radości.

TATA i mama – dwoje mugoli, którzy wyczarowują nam bilety do kina na „Harry'ego Pottera”.

UPPER middle class – czyli wyższa klasa średnia, czyli rodzina Dursleyów, u których wychowuje się Harry Potter. To dogmatyczne supermugole. Zresztą wystarczy się tylko rozejrzeć wokół siebie.

WYJAZD – do szkoły magii w Hogwart. Nie wchodzi w rachubę. Alternatywa – żadna. Czarownicy występują tylko w książkach i filmach.

ZAŻENOWANIE – subiektywne odczucie widza (dziecięcego i dorosłego), gdyby film o Harrym Potterze nakręcił któryś z polskich specjalistów od kinowych widowisk dla dzieci (filmowcy prosili o niepodawanie ich nazwisk i numerów telefonów – i słusznie, bo kto by o nich pamiętał i do nich zadzwonił z propozycją).

Żegnam Państwa.

JACEK ZIEMEK

● SŁABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



D'ARTAGNAN

Kolejna ekranizacja znanej prozy Aleksandra Dumasa ojca, lecz tym razem powieść jest tylko pretekstem. Zresztą sam tytuł – „Muszkietier” – świadczy, że pozostali waleczni osobnicy pozostają całkowicie w tle: d'Artagnan daje sobie radę własnoręcznie i własnonożnie. Mamymy bowiem do czynienia z wersją kabaretowo-cyrkową: fabuła to coś na kształt nieudolnej parodii Dumasa, szkielet dla serii walk prowadzonych przez gibkiego Gaskończyka. Uprawia on bowiem coś w rodzaju sztuk walki Wschodu („ciekawny styl” – ocenia d'Artagnana jeden z bohaterów, gdyby widzowie tego nie dostrze-

gli), mieszaninę fechtunku, pireutów, szpagatów i innych fikołków (w czołówce pojawia się jako tzw. action choreographer Xin Xin Xiong, który chyba przejął całkowitą kontrolę nad projektem w czasie jego realizacji). Nie wspominać już o tym, że bohatera nie obowiązują prawa grawitacji. O aktorstwie nie może być w takim wypadku mowy, choć w tle pojawiają się gwiazdorzycy – rezygnowany Stephen Rea, rutynowo psychopatyczny Tim Roth oraz nieszczęsna Catherine Deneuve, której najbardziej mi żal. Film jest po prostu pożałowania godny – niczym nieudolnie wykonany komiks. Zero inwencji, kompletny brak poczucia humoru oraz mechaniczna sztampa – to określenia, które przychodzą na myśl w czasie projekcji. Filmowcy widzom zgotowali ten koszmarek – tyle mam do powiedzenia. Ale sam tego chciałeś, Peterze Hyamsie... (JAZ)

Reż. Peter Hyams, USA 2001



MUSIMY SOBIE POMAGAĆ

Właściwie czeskiej kulturze spojrzenie na Historię to perspektywa przerażonych ludzi usiłujących umknąć przed monstrualnym walcem. Te antybohaterskie strategie przetrwania przybierają zwykle postać tragifarsy. Nie inaczej jest z utworem Hrebejka. Rozgrywa się on na prowincji Protektoratu Czech i Moraw. Bezdietne małżeństwo, z braku innych chętnych, przyjmuje na siebie brzemień przechowania znajomego Żyda. Dla kamuflażu zadają się, i to kordialnie, z miejscowymi nazistami. Nie dość więc, że żyją w bezustannym zagrożeniu, to jeszcze na dodatek sąsiedzi mają ich za cynicznych kolaborantów. Konieczne będą radykalne posunięcia... Czarna groteskę o nieprzewidywalności i niejednoznaczności postaw oraz o relatywności publicznych ocen należy uznać za zmarnowaną szansę na utwór pokaźnego formatu. Film jest fachowo, potocznie opowiedziany, a jego współczujący ton obdarza niejednym wzruszeniem. Niestety, momentami wzniosłe akcenty serwowane są w nadmiarze. Odrealnia kwestię mechanicznej symetrii układu, w którym wszystko ma wydawać się odwrotnością tego, czym jest w istocie. W zakłopotanie wprawia komiczna lekkomyślność w sytuacjach raczej nie do śmiechu. A motyw dziecka jest karkołomny, zbędny i cokolwiek niesmaczny. Jeśli oczekujemy nieskomplikowanego pocieszenia na temat ludzkiej kondycji, to jest właściwy film. Jeśli jednak szukamy prawdziwego portretu człowieka poddanego granicznym okolicznościom, to wróćmy do „Sklepu przy głównej ulicy” czy niedawnego „Daleko od okna”. (PT)

Reż. Jan Hrebejk, Czechy 2000

HARRY POTTER I KAMIEŃ FILOZOFICZNY

Nerwowo oczekiwana ekranizacja bestsellerowej powieści, dzięki której dzieci zaczęły czytać. Opowieść o chłopcu-czarowniku, jego edukacji w szkole dla innych tego rodzaju dzieci, wreszcie finałowa walka ze Złym o tytułowy kamień. Film nakręcił Chris

Columbus (wiek: 43 lata), w pewnym sensie specjalista od hitów dla młodszej widowni, takich jak obie części Kevin Spaceya – a to w domu, a to w Nowym Jorku. Obawy były uzasadnione – czy poradzą sobie: reżyser, scenografowie, dziecięcy aktorzy (chodzi zwłaszcza o zachowanie magicznej atmosfery powieści Joanne K. Rowling). Efekt jest zaskakująco udany – Columbus zreżyserował wykrystalizację całej elektronicznej aparatury współczesnego kina, łącząc ją bardzo subtelnie i inteligentnie z archaiczną at-

mosferą szkoły Hogwart i magicznymi archetypami. Powstał zaiste film dla całej rodziny – pozbawiony zbędnego okrucieństwa (od którego roi się obecnie w filmach dla najmłodszych), kipiący od napięcia i po prostu mądry. Jasne, że wielka w tym zasługa książkowego pierwowzoru, ale tym trudniejsze wyzwanie stało przed filmowcami. Mamymy zatem najpierw do czynienia z ostrą satyrą obyczajową, potem z zabawnym (ale nie infantylnym) ukazaniem stosunków w czarodziejskim szkolnictwie (wraz z jego blaskami i cieniami – jak kastowość, dyscyplina czy dzika rywalizacja) i finałową scenę – rozegraną ekstatycznie, ale bez popisów i efekciarstwa. Zatem elektronika i efekty specjalne udanie ewokujące atmosferę gotyku, fantazji, figury niemal z Dickensa i Carrolla? A czemu nie! Maszynka do robienia pieniędzy przyniesie ich sporo, film bowiem jest niemal skazany na sukces. Tym razem jednak jego twórcy uczciwie na te pieniądze zapracowali. (JAZ)

Reż. Chris Columbus, USA/Wielka Brytania 2001

KINONOTKI

SKOŃCZYŁO SIĘ SUNDANCE...

■ Główną nagrodę Festiwalu Filmowego w Sundance – najpoważniejszej imprezy kina niezależnego – otrzymał film „Personal Velocity” w reżyserii Rebbeki Miller. W kategorii filmu dokumentalnego wygrał film o wietnamskich uchodźcach „Daughter from Danang”, zrealizowany przez Gaila Dolgina i Vicente'a Franco. Nagrody w Sundance są wprawdzie prestiżowe, nie gwarantują jednak zaistnienia w obiegu komercyjnym.

...I ROZDALI ZŁOTE GLOBY

■ W tegorocznej 59. edycji Złotych Globów (nagród Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Hollywood) zwyciężyły dwa filmy. Film dramatyczny „Piękny umysł” i tzw. ko-

media/musical „Moulin Rouge”. Nagrody aktorskie otrzymali m.in. Russell Crowe (za kreację dramatyczną w „Pięknym umyśle”), Sissy Spacek (najlepsza aktorka dramatyczna w „In the Bedroom”), Nicole Kidman (najlepsza aktorka w komedii/musicalu „Moulin Rouge”). Najlepszym reżyserem roku ogłoszono Roberta Altmana za film „Gosford Park”, a najlepszy film zagraniczny to bośniacki „No Man's Land”. Oprócz wygranych są też wielcy przegrani – przede wszystkim rewelacyjny „Mulholland Drive” Davida Lyncha, „Człowiek, którego nie było” braci Coen oraz „Władca Pierścieni” Petera Jacksona. Być może przy rozdawaniu Oscarów role się odwrócą. W kategorii filmów telewizyjnych triumfował m.in. „Seks w wielkim mieście”, który możemy oglądać także w naszej telewizji. Natomiast nagrodę im. Cecilla B. de Mil- le'a za całokształt wręczono Harrisonowi Fordowi. (JAZ)

JUŻ STAROŻYTNI RZYMianie

POTĘGA SZTUKI

Młody adept sztuki aktorskiej zwierzył się dziennikarce pisma dla młodzieży, iż odmówił kreowania roli chorego na AIDS w popularnym serialu telewizyjnym, bo bał się reakcji dziewczyny i ludzi z dzielnicy. Już starożytni Rzymianie znali potęgę sztuki. Pewien aktor tragiczny wywarł niezapomniane wrażenie na mieszkańcach miasta Ipoła. Najpierw długo stał na scenie i milczał. W masce z olbrzymim otworem na usta, na wysokich koturnach, odziany w bogaty i kolorowy strój – wydawał się kimś straszliwym. Kiedy jednak zaczął kroczyć majestatycznie w kierunku publiczności, a przez dziurę w masce wydał przeraźliwy ryk, większość widzów w panice uciekła z teatru. Byli pewni, że mają przed sobą osobę opętaną przez demona. Zresztą nie tylko mieszkańcy rzymskich prowincji brali teatr na serio. Zimą roku 1204 w centrum Rygi wystawiono bogobojną sztukę o prorokach. Gdy na scenie armia sędziego Gedeona, czyli Wyrwidęba, z impetem natarła na bezbożnych Filistynów, widzowie byli pewni, że ich też czeka śmierć i rzucili się do ucieczki. Misjonarze pobiegli jednak za nimi i ponoć udało im się namówić ludzi do powrotu.

Hiszpanie z Ipoła czy poganie z Rygi widzieli teatr pierwszy raz w życiu. Trudno się im więc dziwić. Lukian z Samosata powiada, że rzymski aktor tragiczny w masce z otwartymi ustami wyglądał tak, jakby chciał ludzi połykać. A mieszkańcy Rygi, kiedy zrozumieli swój błąd, grzecznie do teatru wrócili, a nawet dali się nawrócić. Polscy widzowie współczesnych seriali telewizyjnych wysyłają natomiast setki listów z prośbą o poradę medyczną do aktora wcielającego się w postać lekarza i nikt im nie wmówi, że ktoś, kto gra doktora, może się nie znać na medycynie. Ale u nas to normalne. Porządny poseł, widząc w muzeum rzeźbę przypominającą przewróconego papieża, natychmiast podbiega, żeby pomóc.

MIROSLAW KOCUR

TUPOT
nózek

Podobno świat dzieci jest taki jak nasz – tylko większy, bardziej tajemniczy. Guzik prawda.

Swego czasu wielki, okrutny sowiecki prześmiewca Danił Charms zaproponował, aby w ramach generalnego rozwiązania problemu dzieci wrzucać je do wykopanego na centralnym placu miasta dołu z wapnem. Wojciech Szlachowski w „Państwie Fajniackich” sugeruje metody mniej radykalne. Po pierwsze, nie róbmy z dzieci idiotów. Okres dorostania jest i tak wystarczająco makabryczny. Po drugie: pamiętajmy, że w teatrze lalkowym trzeba z dziećmi rozmawiać jak z dorosłymi: dość szczebiotania, głaskania po pupie, królewien, pastuszków i smoków. Tematy do rozmowy z dziećmi leżą na ulicy.

Dwa wątki

W przedstawieniu, które, nawiasem mówiąc, jest powtórzeniem słynnej realizacji Szlachowskiego w Białostockim Teatrze Lalek, dwa wątki prowadzone są równolegle. Jeden to historia pana Fajniackiego (Grzegorz



FOT. MAREK GOLIK

Tu wszystkie dzieci to potwory. Grają je dorośli aktorzy.

Feluś), aktora-histeryka, który stracił chęć występowania, bo stale wydaje mu się, że jest na scenie i obserwują go setki dzieci. Został uwięziony w teatrze. Przyjacielowi próbuje pomóc pewien milczący Michał (Michał Jerzy Burbo), z zawodu inżynier. Drugi wątek pcha się na scenę sam, bez pytania.

Przez drzwi, ściany, z szaf i szuflad wdzierają się marszowym krokiem małe urwisy. Małe! Na przykład jeden rośły berbecz zajmuje na scenie więcej miejsca niż ja z sąsiadem po świątecznym obiedzie. Najbardziej zdarta klisza współczesności, twierdzenie, że największe nawet potwory i zbrodniarze świata też byli kiedyś dziećmi, w warszawskim spektaklu zostaje podane w wątpliwość.

Tu już od pierwszej sceny wszystkie dzieci to prawdziwe potwory. Smok, strzyga i wilkołak to przy nich betka. Wchodzą do pokoju Fajniackiego z takimi minami, jakby od razu na dzień dobry chciały w mordę dać. Oczywiście grają je dorośli aktorzy,

ale śmiesznie poprzebierani i ustawieni w szpalery jak uczniowie na akademii. Z prawej do lewej kulisy jeździ zastawka z ramką jak od fotografii, wewnątrz której ustawiają się lalkarze: dorosłe twarze z doczepionymi do szyi małymi ciałkami. Manipulacja wymiarami to pretekst do rewolucji – traktujcie nas jak dorosłych! Dość bocianów, dość kapusty!

Kolonja karna

Najciekawszym chwytem dramatycznym Szlachowskiego bywa odwrócenie perspektywy – to nie dorośli mówią tutaj dzieciom, co jest dobre, słuszne i piękne, ale dzieci śpiewają o swoich pierwszych przyjemnościach. Wychodzi z ich piosenek w tym samym momencie i ciepło, i ironia, i małe złośliwości. Szlachowski podstawia krzywe lustro dzieciom i rodzicom pod nos.

Dzieci śpiewają stare przeboje Michotki z nowymi tekstami i oryginal-

ne, rzekłbym – pokoleniowe hymny autorstwa Krzysztofa Dziermy. Bohaterami tych utworów są one same: dzieci z ich pierwszymi lękami, miłościami, marzeniami. Ich pierwsze traumy: „Moja mama mnie dzisiaj skrzyczała, powiedziała, że mazgaj, że głupi...”. Pierwsze tragedie: śmierć ukochanego kanarka, wstyd za rodziców przebiegających je w odświętne, niewygodne stroje. Pierwsze odkrycia geograficzno-metafizyczne: że w zimie nie ma lata, że Afryka jest daleko. Pierwsze bunty: „Nie wiadomo z jakich przyczyn, dzieciom wciąż się wciska kity”. Pierwsze ukąszenia heglowskie: „Święty, święty elementarz, Święta Ala, Święty As”. Podobno świat dzieci jest taki jak nasz – tylko większy, bardziej tajemniczy. Guzik prawda. Choroba na przykład, byle w miarę lekka, może być radosną, wielką przygodą, bo nie trzeba iść do szkoły, bo wszyscy się tobą zajmują, bo można się gonić po szpitalnych korytarzach. A dom rodzinny przybiera postać kolonii karnej.

Pij mleko!

Przedstawienie Teatru Lalka jest, jak to mówią uczni: „dwukodowe”. Czyli na jednym poziomie interpretacji znaczy jedno, na innym drugie. Pierwsza warstwa „Fajniackich” jest dla dzieci, następna dla dorosłych. Jeśli widzieliście kiedykolwiek kreskówkę „Mrówka Z” z bohaterem obdarowanym głosem i neurozami Woody Allena, wiecie, o co chodzi.

Szlachowski bawi się dwuznacznościami: kiedy jeden z bohaterów, aktor w fazie depresji, mówi do drugiego: „Michał, ty pij mleko”, dzieci śmieją się, bo im mama też każe pić mleko, żeby ładnie rośli, a tu taki duży Pan i on też musi pić. Tymczasem nawet niezbyt doświadczeni krytycy teatralni wiedzą, że tu wcale nie o mleku się mówi, a o małej łufie po przebudzeniu. Zresztą – dzisiaj chyba nawet dzieci to wiedzą...

Albowiem Danił Charms nie przeżył jednego: dziecko wrzucone do dołu z wapnem tak czy owak kiedyś wypełźnie. Spektakl Teatru Lalka jest właśnie dla tych, którzy wypelzli.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr Lalka w Warszawie: „Państwo Fajniackich” Wojciecha Szlachowskiego. Reżyseria Wojciech Szlachowski, muzyka Krzysztof Dzierma, scenografia Andrzej Dworakowski. Premiera 8 grudnia 2001.

Głowacki



FOT. BOGDAN KRZEL

Dostawka

Ich Czworo i my

Jeśli się jako tako w internetowych wydrukach orientuję, to felieton teatralny Romana Pawłowskiego, drukowany w stołecznej „Wyborczej” 14.01.02, był tworzony 13.01.02 i został ukończony o 18:54. Czemu, ach, czemu Roman nas nie poinformował, że 13.01 znów podejmie zbożny i jak zwykle u niego totalnym fiaskiem naznaczony trud nauczania się pisania? Czemu znów w samotności podjął rytualnie udaną próbę zmienienia polszczyzny w wór uschniętych buraczków pastewnych? Słowem, czemu bez nas udowodnił, że kapela „Ich Troje” winna, dla wzmocnienia stylistycznej i rytmicznej jurności, zatrudnić walącego w komputerową klawiaturę Romana i zmienić nazwę na „Ich Czworo”? Gdyby Roman nie był taką nieuleczalną Zosią Samosią, gdyby przynajmniej przysłał telegram: „Pi-

szę. Roman”, to nie tyle, żebyśmy mu pomogli – Romanowi nie da się już pomóc – ale przynajmniej kibicowalibyśmy mu namiętnie. „Roman, goła!”, wrzeszczelibyśmy – a tak? A tak, 13, o 18:45, gdy Roman miażdżył klawisz odpowiedzialny za kropkę, my, niczego nie świadomi, u Jerzego Skarżyńskiego w domu, śpiewaliśmy Skarżyńskiemu „Sto lat”. Świat jednak nie jest sprawiedliwy. Tutaj Chivas Reagal jak miód szedł przez gardła nasze, a tam, w Warszawie, zmachany Roman chochlą zbierał z czoła brunatny pot. Świat jest okropnie niesprawiedliwy. My złotej trąbki Armstronga żeśmy słuchali, a Roman zamykał w felietonie pastewnym swą wielką radość, że oto wreszcie, jak z tegorocznej ankiety miesięcznika „Teatr” niezbitie wynika, sceny stołeczne zwyciężyły w konkurencji. My smakowaliśmy mango w szynce i szparagi w boczk, popijając wytwornym chianti, a usypiane z liter kopczyki Romana informowały świat, że spośród 24 krytyków-sędziów miażdżąca większość najwyżej oceniła Teatr Rozmaitości oraz twórczość Warlikowskiego, Lupy i Jarzyny. My, badając doskonałość tiramisu, wspominaliśmy Swinarskiego, Hasa, Kantora, mówiliśmy o czasie niestety przeszłym i dokonanym, kiedy to teatr i film jeszcze nie brały udziału w gonitwach na Służewcu, a Roma-

na rozdymała duma, że w końcu jako pierwsze przyszyły na metę kobyły, które obstawiał. Ja na mityczną czaszkę z „Rękopisu znalezionej w Saragossie”, która to czaszka dziś u Skarżyńskiego wisi na ścianie, patrzyłem i o tamtej filmowej poezji Hasa dumalem, a zasuszone buraczki pastewne Romana w taką oto piękną frazę się ułożyły. „Tak czy inaczej, mamy w mieście co najmniej trzy ciekawe sceny i tuzin przedstawień, które człowiek spragniony kontaktu z żywą sztuką powinien niezwłocznie zaliczyć. Jedynym krytykiem (...)”. Nie muszę kończyć. Jedynym krytykiem, który tego nie zauważył, jestem ja. Nie podłączyłem się do chóru sędziów, ergo – galicyjski buc jestem. Dlatego troskliwy Roman funduje mi bilet do stolicy, bym poszerzył „horyzonty badawcze”.

Przykro, że Roman, chłop przecież, osiągnął poziom, na którym wszystko, co mu pozostało, to zaliczanie trzech ciekawych scen i tuzina przedstawień. I głupio mi, że chce, bym mu pomógł w zaliczaniu. Romciu, czy już do tyłu źle jest, że sam nie wydolisz? Ja wiem, że jak człowiek ma do zaliczenia Warlikowskiego, Lupa i Jarzynę, to się ploszy, ale, na Boga, nie przesadzaj z brawurą! I wreszcie wbij sobie do tła, że są na świecie tacy, którzy nie łążą w stadzie. Zaliczają tak, jak Bóg przykazał, i to, co przykazał. Po nas, biesiadników Skarżyńskiego, twój maniakałny populizm, twoje ilościowe argumenty spływają jak po gęsiach. Nie łapiemy się na sugestię, że kto nie z wami, ten przeciwko wam. I wybacz, ale nie ty będziesz nam, zwłaszcza Skarżyńskiemu, dekretował, co jest, a co nie jest sztuką żywą. Tak się fatalnie dla ciebie składa, że w suchej czaszce z fimu Hasa więcej jest życia niż w sztucznym kutasie, co go w najnowszej swej inscenizacji Warlikowski przyczepił do łona aktorki Hajewskiej-Krzysztofik. Trudno i darmo: albo komuś smakuje Chivas Reagal u Skarżyńskiego, albo bigos u stróża w Bobowej. Albo wytworne tiramisu – albo gumowa fujara. Wybór należy do ciebie, Romanie. Myśmy wybrali już dawno.

PAWEŁ GŁOWACKI



Kolejna wizyta w Starym Teatrze wprawiła recenzenta „Kostki” w potrójnie refleksyjny nastrój. Posłuchajcie dlaczego:

1. Spektakl Tadeusza Malaka poświęcony pamięci Zbigniewa Herberta jest przykładem teatru nie z tej epoki. Ma w sobie coś z wieczornicy i nieformalnego spotkania entuzjastów poezji recytowanej.
2. Zredukowanie do minimum sytuacji i anegdoty scenicznej sprawia, że zamiast patrzeć, jak aktorzy grają, słuchamy tego, co mówią. Rozmawiamy w myślach z naszymi dawnymi lekturami Herberta, wspominamy, o co chodziło Panu Cogito i dlaczego jego kodeks tak bardzo nie pasuje do naszych czasów.
3. Reżyser nie udaje, że chodzi mu o coś więcej niż o powrót do dobrze znanych wierszy i próbę zrekonstruowania z nich świata, który wzbudzał emocje poety. Malak ani nie stawia Herbertowi spiżowej statuy, ani go nie odbraża. Po prostu oddaje mu głos. Wielkiego wydarzenia artystycznego oczywiście z tego nie ma, ale naprawdę warto się wybrać.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr Narodowy w Warszawie: „Dożywocie” Aleksandra Fredry. Reżyseria Jan Englert, scenografia Barbara Hanicka, muzyka Maciej Malecki.



PUEBLO W ŻAŁOBIE

Kiedy cztery lata temu **Zbigniew Dziewiątkowski** mówił mi: „Trzymamy się dobrze, mamy dużo energii, nie jesteśmy spiczniatymi starcami. Jeszcze powalczymy” – wierzyłem. Widziałem, że i on, i jego śpiewająca żona **Izabella Skrybant** są wieczni jak **Pamela**. Bo nikt nie zaprzeczy, że **Pamela** jest wieczna.

Z Tercetem Egzotycznym spotkałem się tylko ten jeden raz, w skierniewickim kinie Polonez po dwóch sprzedanych na pniu koncertach. Spodziewałem się sporej komedii. Trudno było mi przecież traktować twórczość Dziewiątkowskiego i jego zespołu z taką samą powagą, z jaką podchodziłem do **Boba Dylana**, **Johna Coltrane'a** czy **Igora Strawińskiego**.

A jednak niejeden mit przyszedł podczas tamtego spotkania.

Mit amatorszczyzny

Tercet Egzotyczny – Grupa Wokalna Izabelli (jak od lat się nazywali) to profesjonaliści. Wbrew obiegowym opiniom, potrafili grać i śpiewać. „Jesteśmy zawodowcami po szkołach muzycznych –

zwierzał mi się Dziewiątkowski. – Ja skończyłem wokół, Izabella też... Mam wycinek z «New York Timesa». Pisz, że my oryginalnością bijemy oryginalne meksykańskie zespoły... W Turynie, na największej scenie variété w Europie oprócz Paryża, w koncercie zbiorowym dali nas na finał z pięcioma numerami, a inni mieli po jeden, dwa!”

Mit kiczu

Nużąc i boleśnie kiczowaci sadyści spod ciemnej gwiazdy disco polo nagminnie powoływali się na swój Tercetowy rodowód. Riposta Dziewiątkowskiego była tyleż zdecydowana, co natychmiastowa: „Mnie się nie podoba disco polo, bo to jest monotonne, każda piosenka to umpa-umpa-umpa. Nie lubię też folkloru brazylijskiego, tych samb – to jest nudne, jednostajne. Folklor meksykański ma najpiękniejsze melodie, na Kubie rytmy są żywsze... Są nastrojowe. Ja też piszę z impulsu. W Grecji zorbę jakąś napisałem, najchętniej to piszę o miłości. Mogę nawet zaśpiewać i kiczowaty numer, ale

jak to zrobię zawodowo, jest to po prostu dobry numer...”

Mit niszowości

Byli jedynym zespołem, który potrafił dwa razy w ciągu roku wypełnić Salę Kongresową w Warszawie i cztery wieczory na skutym mrozem Brooklinie. Skąd ten fenomen? Złośliwi twierdzili, że to skuteczna akwizycja biletów. Dziewiątkowski tłumaczył to prościej: „Iza na scenie nie jest statyczna, ona tańczy, rusza się – to się musi podobać wszędzie! Dlaczego my istniejemy prawie czterdzieści lat? Bo to się podoba! Inaczej dawno by Tercetu nie było, a my gralibyśmy rock and rolla...”

Mit anachronizmu

Żeby utrzymać się na topie przez tyle lat, trzeba wiedzieć o polskiej (i nie tylko) publice coś więcej niż tzw. uznani artyści. „U nas piosenkarze są biedni, zdani na siebie i śpiewają byle jak... Style muzyczne przemijają. Rock and roll, heavy metal, techno – po dwóch, trzech latach już tego nie ma. Dan-

ce już się kończy, młodzież już tego nie chce słuchać... Albo wielka poezja – nie wiadomo, o czym taki śpiewa. Niech on śpiewa dla wąskiego grona, a nie w dużych salach, gdzie jest różna publiczność. My nie gramy pod publiczność, tylko dla naszej wiernej od kilkudziesięciu lat publiczności”.

Mit uzależnienia od Pameli

Legendarna piosenka „Pamelo, żegnaj” powstała ponad czterdzieści lat temu. Ale Tercet od lat nie wprowadzał jej już do zasadniczego programu swoich koncertów. „Nam się nudzi, ja ciągle piszę nowe rzeczy. Nie jesteśmy z tych, co to jeden swój hit będą śpiewać dwadzieścia lat. Piszemy na plakatach: KONCERT TRWA DWIE GODZINY BEZ BISÓW – żeby ludzie wiedzieli, że bisujemy. Podchwytliwie piszemy. Wtedy jest pora na Pamelę”.

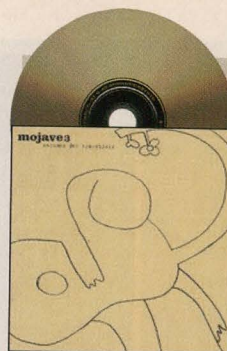
Wspominając naszą rozmowę sprzed czterech lat, nie mogę uwolnić się od myśli o wielkiej stracie. Nie mojej. Jestem posiadaczem sporej kolekcji nagrań Tercetu Egzotycznego, a także jego pierwocin w postaci Duetu Egzotycznego Antkowiak-Dziewiątkowski. Tracą miliony fanów nie tylko w Polsce. Odszedł ktoś, kto przez tyle lat tak dobrze ich rozumiał. Kto umiał dać im dwie godziny urlopu od codziennej polskiej mantry, kto obok suchej buhy stawiał barwną oranżadę.

Jeszcze dwa wspomnienia

„Piosenka «Na plaży w El Estartit» powstała w Estarticie – to taka miejscowość pod Barceloną. Siedziałem na plaży, złapałem gitarę i mówiłem: Piszę piosenkę, bo tak mnie wzięło. Osiem piosenek wtedy z marszu napisałem”. Kogo z polskich artystów stać na taką wenę?

Przed tamtym koncertem w kinie Polonez Dziewiątkowski zapytał mnie, podchodząc do kurtyny: „Jest full?”. „Jasne” – odpowiedziałem, wiedząc, że na sali kłębią się całe Skierniewice. Zerknął przez szczelinę i westchnął z lekkim sceptycyzmem: „Ee, parę miejsc jest wolnych... To nie full”. Kogo z polskich artystów stać na taki dydaktyzm?

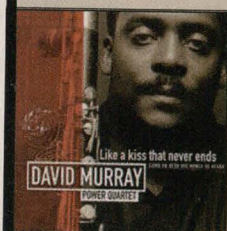
FILIP ŁOBODZIŃSKI



MOJAVE 3

Tak nie powinno się postępować i dlatego czytelników przepraszam. Album „Exuses for the Travellers” to starość sprzed dwóch lat (!). Ale to też album zapomniany, nie zauważony i pięknie smutny. Dziesięć akustycznych piosenek dla ludzi o złamanym sercu. Dziesięć piosenek dla ludzi, którzy nie potrafią poradzić sobie z tym, że ktoś odchodzi. Dla ludzi, którzy nie potrafią spać, gdy obok nich nikt już nie leży. Dla tych, którym coś umknęło. Coś ważnego. Dziesięć piosenek. O samotności. Nic nowego. Wszystko znika, pozostają dźwięki. Zapełniają puste miejsca po tych, których kochaliśmy. (RZ)

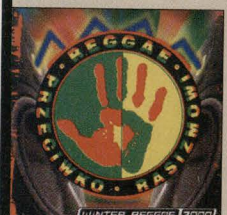
4AD/Sonic



DAVID MURRAY

To album nonszalancki, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. David Murray tradycję jazzową traktuje lekko, na ich podstawie buduje swój bogaty świat, zarówno improwizacji, jak kompozycji. Jego gra w prostej linii wywodzi się od Coltrane'a, Aylera i Colemana. Jednak nie traktuje on stylu mistrzów bogobojnie, do każdej zagranej nuty dorzucając swój własny, charakterystyczny styl. „Like a Kiss That Never Ends” pozwala na obcowanie z muzyką wyszukaną i smakowitą. Być może i nie jest to jego największe osiągnięcie, ale ujmij w żaden sposób mu nie przynosi. (RZ)

Justin Time/Multikulti



REGGAE PRZECIWKO RASIZMOWI

Kolejna kompilacja na rzecz stowarzyszenia „Nigdy Więcej” – inicjatywy zwalczającej przejawy rasizmu i faszyzmu w życiu publicznym. Nie ma też lepszej muzyki, która mogłaby promować ten szlachetny cel niż zasady wielokulturowe reggae. Koncertowe nagrania młodych przedstawicieli słowiańskiej odmiany tej muzyki niosą przesłanie miłości i pokoju. Są także skażone pierwotnymi grzechami gatunku – topornym brzmieniem i banalnymi tekstami. Najlepszym elementem płyty jest wspaniała wersja utworu „Follow The Sun” legendarnej formacji RAP, nagrana przez jej wokalistę, Jerzego Mercika, i przygrywającego mu na gitarze Darka Duszę. (WK)

Zima / Nikt Nic Nie Wie



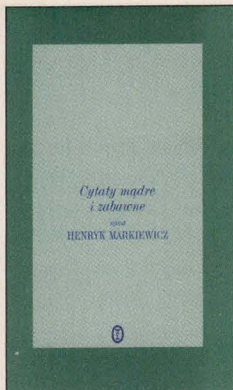
MARVIN GAYE – „PO PROSTU POKOCHAJMY SIĘ”

„Let's Get It On” uchodzi za jeden z najbardziej hedonistycznych albumów pop w historii muzyki – w całości został poświęcony stosunkowi płciowemu... Marvin Gaye to jeden z nielicznych muzycznych magików, potrafiących, z całym szacunkiem dla kobiet i miłości, oddać klimat i atmosferę fizycznego zbliżenia. Czyni to w sposób niezwykle. Splota w jedną muzyczną suitę cały ciąg utworów. Przez czterdzieści minut gra na naszych uczuciach, budując duszną

atmosferę pożądania. Zremasterowana edycja tego albumu zawiera, prócz jego podstawowej wersji, trzydzieści jeden utworów rzadkich lub do tej pory nie publikowanych. Najczęściej są to wariacje studyjne na wcześniej zarejestrowane już tematy. Co jednak w nich zaskakuje, to wszechstronność stylistyczna Gaye'a i jego niesamowita wyobraźnia, wyprzedzająca swoją epokę. Słuchając tych odrzutów pochodzących ze studia – uwaga! nagranych w roku 1973! – cóż takiego słyszymy? Od Jamariquai po Destiny Child. Całe nowe, jakże obecnie modne, brzmienie R'n'B zamyka się w tych nagraniach! Marvin Gaye był geniuszem absolutnym, tak w budowaniu klimatu, jak modernizowaniu brzmienia muzyki soul. Niestety, jego ojciec nie docenił talentów syna. Zabił go 1 kwietnia 1984 roku.

ROBERT ZIEBIŃSKI

Motown Records/Universal

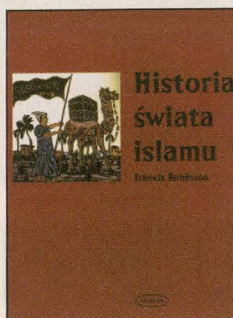


●●●

Podczas promocji tej książki Włódzka Szymborska wyznała: „Ja po prostu kocham Henryka Markiewicza”. Dodała, że ta miłość mieści się w pierwszym rozdziale zbioru, zatytułowanym „Bóg i transcendencja”, lub drugim, „Istota i los człowieka”. Podzielamy tę miłość naszej noblistki do profesora, nie tylko zresztą za tę książkę. Po cytaty sięgamy zwykle wtedy, gdy chcemy lepiej wyrazić swoje przekonania, wątpliwości i nastroje. A także wtedy, gdy chcemy wesprzeć się cudzym autorytetem lub popisać erudycją. Profesor zastosował też inne kryterium, wybrał cytaty, które lubi (część z nich znamy ze „Skrzydlatych słów”, opracowanych wspólnie z Andrzejem Romanowskim). Ulubiony cytat profesora oddaje samą istotę odwoływania się do tej formy: „Powiedz mi, co cytujesz, a powiem ci, kim jesteś”.

Z cytatai jest tak, że zamiast o nich pisać, lepiej je cytować. A więc zacytujmy: „Jest to mój pogląd i podzielał go całkowicie” (Henri Monnier), „Zawsze mam dość siły, by znieść cudze nieszczęścia” (François de la Rochefoucault), „Kiedy nie wiesz, jak się zachować, zachowaj się przyzwoicie” (Stanisław Stoniński), „Chamiejemy” (ks. Mieczysław Maliński – kazanie wygłoszone w kościele św. Anny w Krakowie), „Ha, ha – powiedział po francusku i nie dorzucił ani słowa” (Alfred Jarry). (KT)

Henryk Markiewicz, „Cytaty mądre i zabawne”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001

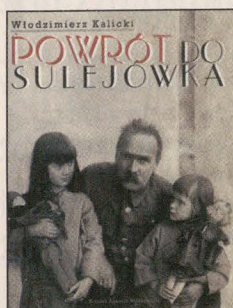


●●●

Ta książka, choć trochę spóźniona, jest jednak na czasie. Islam jest od 11 września ubiegłego roku na cenzurowanym. Nie brakuje skrajnych opinii, obwiniających islamistów za wszystkie grzechy świata i głoszących wyższość kultury zachodniej nad kulturą wschodnią. Dla większości ludzi Zachodu islam to Wschód – cywilizacja obca ich własnej, zawsze budząca mieszane uczucia: zaniepokojenie, niepokój, pogardę, strach. Świat się jednak zmienia i coraz ważniejsze jest lepsze wzajemne poznanie. Odzywa się tu świadomość, a może podświadomość – w ostatecznym rozrachunku wszystko, albo prawie wszystko, wywodzi się ze Wschodu. Ta książka zawiera krótki, treściwy i obiektywny opis dziejów muzułmańskiej cywilizacji. Znajdziemy tu eseje na temat ekonomii, stosunków społecznych, roli kobiety, nauki, nauczania, a także przegląd dokonań artystycznych w dziedzinie poezji, muzyki, sztuk plastycznych. (KT)

Francis Robinson, „Historia świata islamu”.

Przeł. Jolanta Wanda Kozłowska. Wyd. Muza SA, Warszawa 2001



●●●●

„Sulejówkę” to w polskim języku słowo-klucz, symbol oznaczający (czasowe) wycofanie się z polityki. Właśnie w Sulejówku zamieszkał w roku 1923 marszałek Józef Piłsudski, rozczarowany tworzącą się II Rzeczpospolitą. „Wyjechał do Sulejówki” – mawiamy dziś o polityku, który w ukryciu oczekuje na swój czas. O historii dworku marszałka, mieszczącego się w niewielkiej podwarszawskiej miejscowości, opowiada książka Włodzisława Kalickiego „Powrót do Sulejówki”. Dworek powstał dzięki pomocy i ofiarności dawnych żołnierzy Piłsudskiego. Marszałka po prostu nie było stać na budowę – większość swych dochodów i wszystkie darowizny przekazywał na cele dobroczynne. Jak pisze Włodzisław Kalicki, już w roku 1922 większość zawodowych żołnierzy przekazywała miesięcznie po 5 marek na fundusz budowy (nie było to dużo – żonaty kapitan WP pobierał wtedy miesięcznie 55 000 marek polskich). Żołnierze pomagali też fizycznie, nieco – w pośpiechu – partacząc robotę. Już podczas pierwszej wizyty marszałka w nowym domu zepsuła się instalacja elektryczna, rok później zaczęły pękać rury wodociągowe. Jak to wszystko polskie... (OC)

Włodzisław Kalicki, „Powrót do Sulejówki”. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 2001

Krzywa balistyczna

„Tęcza grawitacji” uważana za arcydzieło w skali trzydziestolecia, to jakby Hellerowski „Paragraf 22” napisany przez Vonneguta.

Tuż po debiucie Pynchona, powieści „V.”, pewna amerykańska czytelniczka znalazła tę książkę w mieszkaniu, które zamierzała wynająć. – Podoba się to panu? – spytała poprzedniego lokatora. – Owszem – odparł rozmówca – lecz autor to dziwny facet. Nigdy nie napotkałem jego biogramu ani zdjęcia. – Racja! – stwierdziła dama. – Ale jak pan na to wpadł? – Dostrzeganie takich rzeczy to mój fach. Jestem z FBI.

Istotnie, choć od tego debiutu upłynęło lat bez mała 40, nic nie wiadomo o Pynchonie, który skutecznie usunął z urzędowych kartotek wszelkie ślady swej egzystencji, a nielicznych przyjaciół z młodości skłonił do milczenia. Przekabacić zdołał nawet samego Nabokowa, którego był jednym z najzdolniejszych studentów. Autor „Lolity” utrzymywał twardo, że nikogo takiego nie pamięta.

Dzieło Pynchona to kwiat okresu, gdy zdawało się, że proza amerykańska jest najlepsza na świecie, a jednocześnie szczyt sukcesów postmodernizmu, czyli układania z klasycznych fabuł ekscytujących puzzli. Pynchon celuje w parodiach opowieści o wszechświatowym spisku i śledztwie wśród labiryntu poszlak. Treścią „V.” (1963) jest zamieszanie w sferach findesieclowych europejskich wywiadów, wywołane przez wzmianki o tajemniczej krainie Vheissu, którą każde z mocarstw chciałoby zawiązać. Druga powieść, „49 idzie pod miotek” (1966), to dzieje tajemniczego spadku, którego poszukiwanie wiedzie tropem złośliwej konspiracji, komunikującej się wzajem za pośrednictwem tajnej poczty, symbolizowanej przez trąbkę z tłumikiem.

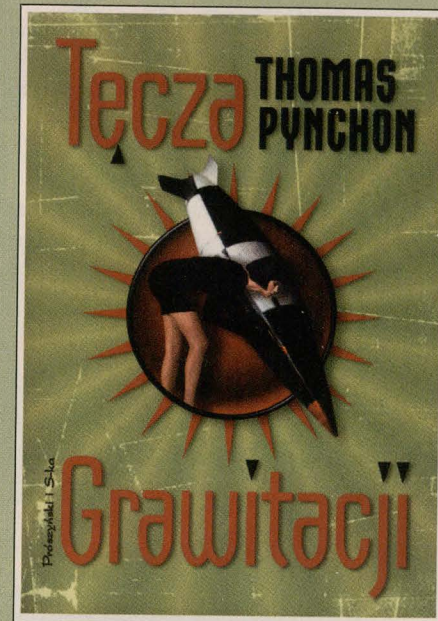
Są to znakomite, zawrotne narracje, od których czytelnikom kręci się w głowach, podlane niestety – co szybko wychodzi na jaw – dość mroczną filozofią. Krytycy mówią z tej okazji wręcz o paranoicznej wizji świata, jaką propaguje Pynchon: rozmaici „oni” z jego powieści,

wszechwładni przywódcy straszliwych spisków, bawią się jak kot z myszą z dociekającymi prawdy bohaterami i nie spoczną, póki ich nie przyprawią o obłęd. Sami reprezentują zaś, jak można sądzić, kosmiczną zasadę entropii, narastającego chaosu, w jaki przemienia się świat. Nadmiar organizacji, jaką wobec zwykłej rzeczywistości stanowi spisek, powoduje, że świat realny zapada się pod własnym ciężarem, „imploduje” niczym nowojorskie wieże.

„Tęcza grawitacji” (1973), uważana za najlepszą z książek Pynchona i arcydzieło w skali trzydziestolecia, to jakby Hellerowski „Paragraf 22” napisany przez Vonneguta. Za temat ma wydarcie hitlerowcom sekretu rakiet V-2 i toczy się głównie w „Strefie”, czyli w okupowanych Niemczech.

Wkrótce jednak odkrywamy, że rakietą ważną jest zwłaszcza jako seksualny symbol kosmicznej woli mocy. Dlatego opętała zakompleksioną duszę wysłanego z tajną misją amerykańskiego oficera: rakietą oznacza dlań wszystko, czego mu brak, czyli poczucie pełni życia. A że takowe osiągnąć można dopiero po stronie Zła, powieść wybucha typowo amerykańską, infantylną wizją tegoż, znaną choćby z filmu „Czas Apokalipsy” Coppoli. Piekło to nowoczesna technika plus sadystyczne fanatazje, plus hiperkultura. W wydaniu Pynchona postmodernizm frenetyczny umie złączyć z jedną stroną druku subtelności techniki rakietowej, stosunek analny z młodym Murzykiem i analizę „Dziwnej Elegii” Rilkego.

Mistyka to w „Tęczy grawitacji” balistyka. Co wystrzelono, musi spaść. Gdzie znikł odpalony przez Hitlera nabój Zła? Odpowiedź daje dyseja „spokojnego Amerykanina” przez gru-



zy miast i mitów zdruzgotanej III Rzeszy w aurze koszmarnego snu, na który składają się koszarowe żarty, seanse spirytystyczne, groza śmiertelności wynalazku, przemyt, pospieszny seks, ślady cywilizacji koncentracyjnej, narkotyki i rojenia zbłąkanego umysłu. Wystrzelona w powszechnym amoku na końcowych stronach powieści ostatnia rakietka – sugeruje autor – wciąż jeszcze nie spadła. Właśnie pikuje na nasze głowy.

JAN GONDOWICZ

Thomas Pynchon, „Tęcza grawitacji”. Przeł. Robert Sudół, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, str. 600

Alegoria świata zachodniego

Rozmowa z Robertem Sudółem, tłumaczem

Nie jest to łatwa literatura dla czytelnika, a coś dopiero dla tłumacza...

To prawda. Przygotowywałem się do przełożenia tej książki długo i pieczołowicie. Zebrałem chyba kilka tysięcy stron esejów jej poświęconych, korzystałem z wielu opracowań, a potem musiałem mozolnie borykać się z tekstem, starając się nie wyrządzić mu krzywdy.

Książce tej cofnięto nagrodę Pulitzera z powodu „niezrozumiałości i obsceniczności”, co jest świetną reklamą. Czy pan podziela te zarzuty? Ona jest miejscami obsceniczna i bardzo trudna do przyswojenia, dlatego, że gwałci przyzwyczajenia czytelnika na wielu poziomach. Jest hermetyczna, w tym sensie, że trzeba mieć ogromną erudycję w wielu dziedzinach, a ponadto pisana

jest różnymi stylami. W tej książce równie ważne jest, co kto robi i czego nie robi.

Ale jest też chyba i coś takiego, że Pynchon chciał powiedzieć, iż po piekle drugiej wojny światowej nie można już pisać powieści grzebiących się w psychice i pamięci, trzeba się raczej zanurzyć w fizyce, w konstrukcji rakiet, a nie w konstrukcji duszy.

Tak, to jest wielka alegoria na temat cywilizacji świata zachodniego, który poddany jest w tej książce miazdzącej krytyce. Jest to w gruncie rzeczy cywilizacja przepełniona neurozami i obsesjami. Jedną z najważniejszych obsesji jest lęk przed śmiercią cywilizacji zachodniej, a jednocześnie fascynacja tą śmiercią.

ROZMAWIAŁ KT

ZDANIEM
mojej
ŻONY...

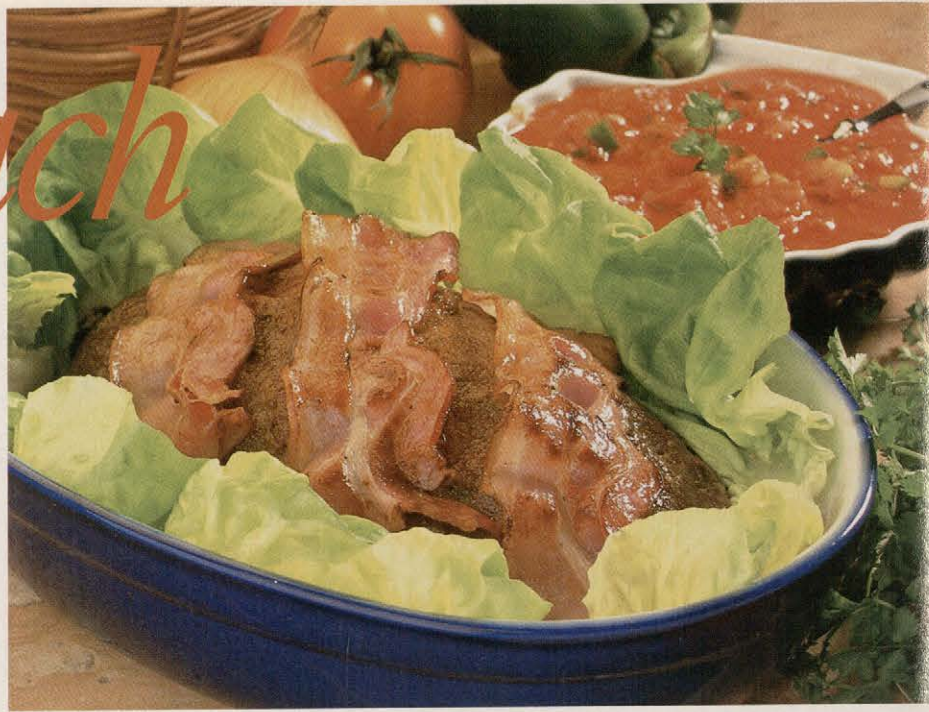
... prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy. Dyskusję o literaturze w naszym ciasnym, blokowym mieszkanku rozpoczął pan Wicek, rzeźnik, ale skończył cichy pan Gienek, którego ponura twarz, zarówno pod względem cery, jak wyrazu, w niczym nie różniła się od sfatygowanych zamszaków firmy „Otmęt”, jakie z mimetycznym upodobaniem nosił od zawsze. Nie powiedział wiele. Powiedział jednak to, co każdy szanujący się pisarz w tym kraju wiedzieć powinien. Zastępy ludzi, którzy obsadkę od pióra pomylili ze śrubokrętem albo tłuczkiem do mięsa, są nieprzebrane i rosną z dnia na dzień. Nie mniejsze jednak są zastępy ludzi, którzy uparli się tego nie dostrzegać i dlatego polska literatura rośnie siłą wielkiego nieporozumienia. Ludzi, którzy umieją złożyć ciekawą fabułę, jest kilku, ale nawet oni tego nie robią, bo im się nie chce. Ludzi, którzy wiedzą, co to jest sestina, jest sześciu, ale oni piszą tylko dla siebie. Ludzi, którzy napiszą wnikliwy esej o Flaubercie nie ma wcale, a jakby i byli, to i tak dzisiaj już nikt nie wie, kto to był Flaubert i co ten stary apoplektyk mógłby mieć wspólnego z literaturą polską. Natomiast prozaików, którzy po stu stronach dostają śmiertelnej zadyszki, poetów, którzy nie potrafią przeczytać Baudelaire’a w oryginale, eseistów, którzy nie rozumieją Kanta – o, tych mamy pod dostatkiem i będziemy ich mieć – niestety – coraz więcej.

Pan Gienek – jak Vermeer – lubił patrzeć, jak drobne palce melancholijnych felietonistów splatają – oczko za oczkiem – aluzję za aluzją, cytata za cytatem i w mig pojmował, że nikt tych aluzji nie pojmie, że nikt tych cytatów nie pamięta, poza paroma przyjaciółmi, do których zawsze można zadzwonić, żeby się pośmiać. Wiedział doskonale, że słowo „interpretacja” powoli staje się słowem zakazanym, obłożonym klątwą, skazanym na banicję ze świata doskonałej oczywistości. Wiedza pana Gienka była gorzka jak piołun i smutna jak Wenecja zimą. Jego mocne słowa wpadły w głuchą studnię naszych uszu, on zaś wstał, ukłonił się nisko i błyskając szarością twarzy i trzewików firmy „Otmęt”, wyszedł cicho z mieszkania. Ku przerażeniu mojej żony, która przecież – przyznajcie – nigdy niczego nie rozumiała, postanowiłem być prawdziwym mężczyzną i zrobiłem to samo.

mąż

O fałszywych zającach

Klops może być praktyczną potrawą karnawałową, bo łatwo go przyrządzić i nakarmić nim zgraje wygłodniałych bachantek. Są na świecie klopsy różne – opiszę dwa podstawowe typy: północny i południowy.



Północny klops zawiera wołowinę i wieprzowinę w proporcji dwa do jednego. Na kilogram mielonej, chudej wołowiny bierzemy pół kilograma mielonej wieprzowiny. Mieszaninę mięsa, dodajemy do nich cztery ubite jaja, połączone z dwiema szklankami mleka i szklanką otrębów owsianych lub bułki tartej.

Doprawiamy: sosem Worcestershire (osiem łyżek), szklanką posiekanych pomidorów z puszki, szklanką drobno posiekanego selera naciowego, szklanką posiekanej drobno cebuli, szklanką drobno posiekanej zielonej papryki, solą, pieprzem, szczyptą suszonej bazylii, mniejszą szczyptą suszonego tymianku i jeszcze mniejszą szczyptą suszonego oregano, jak również dwoma ząbkami drobniutko posiekanego czosnku.

Z tej mieszaniny formujemy klopsa podługznego. Układamy go w brytfannie tak, żeby z każdej strony było trochę wolnego miejsca. W ten sposób klops zarumieni się po bokach, a nie tylko na wierzchu. Niektórzy kładą jeszcze na wierzch kilka plasterków boczku, dekorują klopsa kawałkami jabłka... Oczywiście można tak postąpić, lecz nie jest to konieczne. Jeśli wieprzowina była wyjątkowo chuda, boczek jest wskazany, bo klops musi wyschnąć.

Pieczemy go w temperaturze 220 stopni, więc istnieje takie niebezpieczeństwo. Powinien być gotowy po godzinie pieczenia, lecz różnie to bywa. Być może trzeba będzie go piec półtorej godziny. Klops nie powinien być krwisty ani też wyschnięty na wior, więc trzeba pilnie go strzec. Porcja dla tuzina harcowników.

Do takiego klopsa dobrze pasuje sos pomidorowy (choć klops na zimno najlepszy jest z ketchupem lub chrzanem). Sos robimy, podsmażając w kilku łyżkach oliwy posiekaną zieloną cebulę, pół szklanki posiekanej zielonej papryki, sok z połówki cytryny, utartą skórkę z połówki pomarańczy, szklankę rodzynków, szklankę pistacji lub orzechów pinii, łyżeczkę ziela angielskiego, łyżeczkę suszonego tymianku, łyżeczkę mielonego pieprzu i dwa ząbki czosnku, drobno posiekane.



Uformowawszy klops podługny, polewamy go dwiema łyżkami sklarowanego masła, czyli masła podgrzanego i pozbawionego mlecznej zawiesiny. Pieczemy w temperaturze 220 stopni przez godzinę.

Do takiego klopsa lepszy od ziemniaków purée jest kuskus lub pilaf, a zamiast sosu pomidorowego proponowałbym ajvar, w ostateczności ten ze słoika ze sklepu, lecz najlepiej własnego wyrobu, czyli taki, który opisałem w artykule o kuchni słoweńskiej. Można także podać sos z jogurtu, czosnku, świeżych ogórków i odrobiny sera typu feta, czyli cacyki.

Zamiast ryżu czy kaszy mogą być frytki z ziemniaków lub ciecierzycy. I w ogóle należy eksperymentować: coś całkiem nieoczekiwane, przypadkowe może okazać się bardziej kongenialnym dodatkiem niż ten czy ów sos. W końcu klops to „fałszywy zając”, jak nazwała go Ochorowicz-Monatowa, zatem liczba wariacji na jego temat powinna być nie mniejsza niż rodzajów fałszerstw w dowolnej dziedzinie: zwolnień lekarskich, dzieł sztuki, banknotów...

TADEUSZ PIÓRO

Dziękujemy wam, DYREKTORZY!

Dziesiąta, jubileuszowa Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w tym roku grała najgłośniej i zebrała najwięcej pieniędzy w całej swojej historii.

Piszę o tym nie dlatego, żeby dołączyć do dyskusji, która tradycyjnie po każdym finale Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy toczy się w mediach. Nudzą mnie już te czcze rozważania – czy to filantropia w świetle reflektorów, medialna „kręcioła”, na którą publiczna telewizja wydaje tyle pieniędzy, ile kosztują festiwale w Opolu i Sopocie razem wzięte. A może Orkiestra to zjawisko bez precedensu w skali globu? Może to nasza duma i sława, dzięki której o gorących sercach Polaków i ich wyczuciu kamery mówi się z podziwem na seminariach reżyserskich w amerykańskich szkołach filmowych?

Faktem jest, że Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy gra i pomaga chorym dzieciom. Faktem jest, że w takiej skali istnieje tylko dzięki publicznej telewizji. To nie podlega dyskusji.

Piszę o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy tylko dlatego, że od dziesięciu lat z zadziwieniem i rosnącą irytacją obserwuję rozrastającą się armię bezwstydnich urzędników, prezesów, dyrektorów publicznej telewizji, która podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy gości w moim domu.

Ileż to osób przez dziesięć lat grania Orkiestry bezwstydnie podpierało się pod filantropię narodu?! Ileż to pań i panów, wymienianych z imienia i nazwiska, w przeciwieństwie do anonimowych wolontariuszy i darczyńców, swoje gębule ustrojone fałszywym uśmiechem z okrzykiem „Sie ma!” prezentowało na ekranie telewizyjnym podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy?! Któż to zliczy.

W tym roku rekord padł na Rynku w Krakowie. Rozejazmowana rozgrzana atmosferą finałową dzienni-

na chore dzieci i to, czy jakiś dyrektor telewizji chce pokazywać darczyńców jedną kamerą, czy też organizować wielki festyn na Rynku, notabene też za nasze, bo publiczne, pieniądze, to jego sprawa i nie ma mu za co dziękować. Chyba że dziennikarka pomyliła kwestię, może chciała swoim przełożonym podziękować za pracę przy telewizyjnej transmisji wielkiej charytatywnej imprezy?

Znajomy dziennikarz telewizyjny zapytany, jak to jest, czy ludzie telewizji przy Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy pracują za darmo, skruszył moją naiwność i pukając się palcem po głowie, powiedział: „Miłosierdzie w telewizji!?” – Tak, ale jak u Konopnickiej, płatne z góry! Teraz już wiem, że prezenterka i producent krakowskiego programu o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy mają na złote serduszką i że na ich los można spuścić jedynie zasłonę miłosiernego milczenia. W telewizji trzeba wiedzieć gdzie, komu i za co dziękować. To określa świadomość telewizyjnego bytu. Wie o tym dobrze mój ulubieniec, lider zespołu „Ich Troje” – Michał Wiśniewski. Podczas gali wręczania „Telekamer” – nagród czytelników czasopisma „TeleTydzień” – wystąpił, mimo że nie zdobył żadnej nagrody. Wykorzystał sytuację i podziękował dyrektor Ninie Terentiew, że lansuje jego zespół i broni go przed zarzutami kiczu, porównując do Elvise Presleya.

Twarz pani Dyrektor, siedzącej w teatralnej łoży w dobrym towarzystwie Piotra Tymochowicza, czyli twórcy politycznego kiczu – autora medialnego wizerunku Andrzeja Leppera – pokraśniała z dumy, jak serduszką na piersiach dyrektorów krakowskiego Ośrodka Telewizji. Stało się jasne, że Michał grać będzie do końca świata i o jeden dzień dłużej, choć gdyby pani Dyrektor takie środki jak na promocję zespołu „Ich Troje” przeznaczyła na wylansowanie w polskiej telewizji np. Jacques’a Derrida lub prof. Michała Pawła Markowskiego – polskiego tłumacza i komentatora pism tego francuskiego filozofa – to na scenie Teatru Polskiego stałby profesor Michał w białej szacie z pochodnią w ręku, a małolaty piszczałyby jak na koncercie Presleya. Sie ma.

WŁAJERKA

W telewizji trzeba wiedzieć gdzie, komu i za co dziękować.

karka krakowskiej telewizji z okrzykiem – „A oto moi ukochani dyrektorzy!” – przedstawiła widzom całej Polski dwóch smętnych panów z gorejącymi na piersiach serduszkami, otoczonych wianuszkami. Władz miasta i dziękowała im za transmisję telewizyjną z krakowskiego Rynku. A oni hołdy przyjęli i wydukali, że będą grali do końca świata i jeszcze jeden dzień dłużej.

Scena jak z filmu Barei – społeczeństwo dziękuje, że władza pozwoliła mu wydać własne pieniądze. A przecież Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy to nie władze telewizji, ale to my, obywatele tego kraju, którzy uwierzyliśmy panu Jerzemu Owsiakowi i zdecydowaliśmy się powierzyć mu swoje pieniądze. Zawierzaliśmy, że przeznaczy je



RYŚ: BOGNA OTTO-WIEGRZYŃ

REBUS ZMIENNY

WYKONAŁA FIRMA BARAN & KISMIEŁOW®

POZ AJA

1 I₂=A 2 9 WIEĆ=J 3 PL=RZ C=CZ 4 7 EDEM=E 5 Ż=Z A=A ...ENIA...

6 LANEK 7 Y BA...I.J 8 Y 9 M=T +E 10 K=S I N

Rozwiązanie na str. 73

ANTYKWARIAT



Mentzel i S-ka

„Almanach Literacki”. Przedmowa: Igor Newerly. Projekt okładki, ilustracje i opracowanie graficzne: studenci Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie z pracowni Jana Marcina Szancera. Iskry, Warszawa 1954; str. 435.

„Jest to zbiór rzeczy świeżych jeszcze, młodzieńczych [...] przegląd prób, możliwości, nadziei [...] w pierwszym hołdzie składanym przez literatów dziesięcioleciu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” – pisał o „Almanachu” Iskier Igor Newerly, przewodniczący Komisji Młodzieżowej ZLP. Spośród czterdziestu sześciu składających hołd autorów (poetów – 25, prozaików – 18, satyryków – 3), najgłośniejszym okazał się Marek Hłasko. „Przy- niósł – wspominał Newerly – opo- wiadanie z życia ba- ty trans- portowej. Starannie przepisa- ny maszy- nopis wy- stał z za- pachy ostro- żnie, by nie ubru- dzić czarnymi od- smarów paluchami [...] Pociągnął swoją ciężarówką do Je- leniej Góry, a myśmy w Komisji

Młodzieżowej czytali”. Czytali z niedowierzaniem: „Skąd u niedouczonego ta bądź co bądź kultura słowa?”. Hono- rarium za „Bazę So- kołow- ską” wy- płacono autorowi z góry. Wątpię, by podobny za- szczyt spotkał Jana Himilbacha. Słynny później „zawodo- wy amator” polskiej literatury i polskiego filmu debiutował w „Almanachu” wierszem o najdłuż- szym bodaj w dziejach naszej liry- ki tytule: „Do przy- jaciela, Ahmeda Sulejma- na, delega- ta młodzie- ży Sudanu na III Światowy Zlot w Berlinie, któ- ry w drodze powrotnej do kraju zwiedził Polskę”. Swego czasu zwracałem już uwagę na

ten utwór, mylnie, moim zda- niem, uznawany za typo- wy przykład zdu- miewającego za- kłamania lite- ratury so- creali- stycznej. Himil- bach opowia- da, jak to w roku 1951 spo- tkał się w Kra- kowie z mło- dym Sudańczykiem i czytał mu swoje wiersze. Spotkanie późną nocą skończyło się wylewnym pożegnaniem: „W notesie pisałem adres – napi- szę do Ciebie list... / Już z samo- chodu spytałeś: Du bist Kommu- nist? / Odparłem: tak, choć dale- ko mi jeszcze... Twoje usta poczu- łem na czole i szept – Towarzysz... / Łzy z oczu płynęły i na ziemię spłynęły z deszczem / Nie wsty- dziłem się linii błyszczących na twarzy”. Gdzież tu zakłamanie? Nocą, na krakowskim Rynku, dwaj młodzieńcy pijani do nie- przytomności i dziś jeszcze bar- dzo często bełkocą coś, płaczą i całują się w czoła. No, powiedz- my, że nie zawsze jeden z nich jest czarnoskóry...

zbmentzel@wp.pl

Mieszanka firmowa



Żeby coś zrobić, trzeba mieć nadzieję, że się to zrobi.
Lew Tołstoj

Gdyby ludzie mówili tylko o sprawach, na których się znają, na świecie byłoby bardzo cicho.
Giovanni Guaresci

Geniusz to talent użytkowany z odwagą.
Ludwig Wittgenstein

Pochlebstwo – wyznacznik wiary w głupotę rozmówcy.
Stanisław Scheller

Największy balwan wzbudza największy zachwyt.
Sławomir Wróblewski

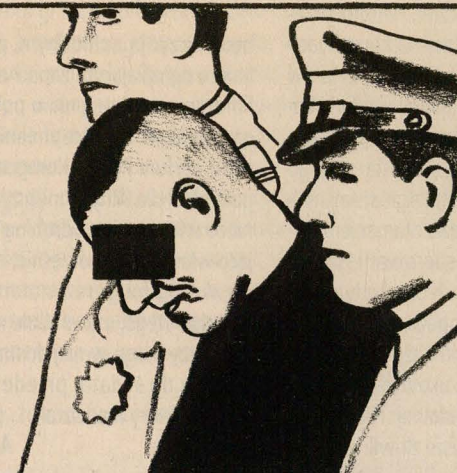
Powołanie to cud, jakiego trzeba dokonać z samym sobą.
Louis Jouvett

Jedni dają sobie radę, inni o nią proszą.
Krecia Pataczówna

Myśli zebrala Stella Varcaby

TU ŻYJE I TU JEST MI DOBRZE

PODCZAS PROCESU OSKARŻONY ŻUŁ GUMĘ



I CAŁY CZAS SIĘ ŚMIAŁ.

© MARCIN MACIEJOWSKI



Kłeska zimy. Reporterom telewizyjnym wszystko wydaje się nowe: śnieg, pług śnieżny, szyny kolejowe. Przebojem sezonu jako nowo wynaleziony środek transportu okazały się... sanie.

Oni też jako cudną wartość odkrywają, że każdy, w tym kobiety udające się zasypanych miejscowości po żywność, przedziera się samodzielnie. Samodzielnie znaczy tutaj - samotnie. Dzielni ludzie dają sobie radę, bo muszą? Czy o co właściwie w tych reportażach chodzi?

Fajne chłopaki z telewizji, które żyją wśród nowoczesnych gadżetów i w ciągłym stresie konkurencji, może nie rozumieją, co mówią. Albo po prostu ich życie straciło już wszelkie związki z życiem ich rodziców, dziadków i pradiadków. A wydaje się, że to tak blisko!

Wśród przerażających pomysłów zimy i wirówki informacji nagle wybił się obraz miasta idealnego - Miechowa pod Krakowem. W nocy z 2 na 3 stycznia na trasie E7, którą jechało w stronę Warszawy wielu wracających z Zakopanego i Krakowa, w zaspach utknęło mnóstwo samochodów i autokarów. O zmroku było minus 12 stopni. Starosta Zygmunt Szopa, a także miejscowa policja, straż pożarna, dom dziecka, plebania, gospodarze bursy i internatu, wszyscy zajęli się zziębniętymi rozbitekami szosy. Było ich, bagatela, prawie tysiąc osób!

Wszędzie nocowali ludzie z szosy. Zostali nakarmieni i napojeni. A przecież jeszcze po południu wydawało im się, że są w sytuacji bez wyjścia. Mieli poczucie kompletnego odcięcia od świata, od domu. Byli zmęczeni, głodni i zmarznięci. Wyglądało na to, że noc spędzą na zasypanej szosie. Spotkała ich niespodzianka, i to niespodzianka świetnie zorganizowana. Wyjechali z Miechowa z dziwnym uczuciem. Nowy Rok zaczął się tak pechowo, a wielu z podróży, co zaskakujące, poczuło nieznaną dotąd lekkość.

MAŁGORZATA BARANOWSKA

Znaki i symbole XX wieku (49)

Agfa
PHOTO-ARTIKEL
1903/1904

"AGFA"
PHOTO-ARTIKEL
1905

"Agfa"
1905

Agfa
1911/1913

Agfa
1923

Agfa
1923

Agfa
1924/1926

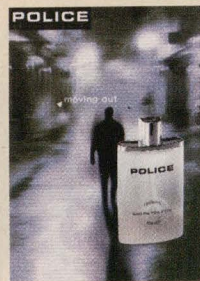
Agfa
1926/1927

AGFA Agfa
od 1985

Dwaj młodzi chemicy, Paul Mendelssohn - Bartholdy (syn sławnego kompozytora) i dr Carl Alexander von Mauritius, założyli w 1867 r. pod Berlinem fabrykę farb, nazwaną później „Aktien - Gesellschaft für Anilinfabrikation”. Nazwa „Agfa” została stworzona ze złożenia początkowych liter nazwy firmy. 15 kwietnia 1897 r. wpisano ją do cesarskiego rejestru znaków towarowych. Znak zarejestrowano dla „preparatów chemicznych do celów fotograficznych”, co było niezwykle w końcu XIX wieku. Preparaty fotograficzne stanowiły marginalną część produkcji w całej gamie wyrobów wytwarzanych przez Agfę.

Logo w postaci graficznej występowało początkowo jako prosty znak słowny złożony z drukowanych liter, który na przestrzeni lat podlegał zmianom. W 1923 r. pojawił się „romb Agfy”, zarejestrowany jako marka firmy. Obecnie znak towarowy stanowi nazwa w połączeniu z rombem.

Agfa jest jednym z liderów branży fotograficznej. Do swej pozycji dochodziła latami i nie jest to jedyna branża, w której firma jest obecna. Zajmuje się również produkcją: filmów, skanerów, aparatów medycznych i fotograficznych, sprzętu laboratoryjnego oraz urządzeń do przygotowania poligraficznych.



kotykami i alkoholem oraz zdesperowani rolnicy, budujący na przelotowych drogach barykady z broni i rozrzutników do obornika, za zapach policji z pewnością uznają ostrą, duszącą woń gazu łzawiącego i drażniący aromat prochu z kauczkowych pocisków wystrzeliwanych z broni gładkolufowej. Niefrasobliwi kierowcy, których funkcjonariusze złowili na radar,

Romb Agfy

W 1894 r. fotograf Lieven Gevaert, który wytwarzał z powodzeniem papier fotograficzny, założył ze współnikami w Antwerpii spółkę „L. Gevaert & Cie” (w 1964 r. następczyni tej spółki połączyła się z Agfą). Dwa lata później optyk Rietschel z Monachium otworzył zakład produkcji obiektów w przekształcony w Agfa - Werk Fototechnik. W 1900 r. Rietschel wypuszcza na rynek pierwszy aparat fotograficzny - CLACK 1900, a Agfa w 1903 r. pierwsze filmy kinematograficzne. Firma Bayer uruchamia w 1912 r. w Leverkusen fabrykę materiałów fotograficznych, gdzie wytwarzano błony, odczynniki, a od 1913 r. również papiery fotograficzne. W 1916 r. Agfa oferuje płyty do fotografii barwnej, opartej na technologii kontrastowej, a w 1920 r. pierwsze błony rentgenowskie (24 lata po publicznej prezentacji odkrycia przez Wilhelma Roentgena). Bayer w 1924 r. przejmuje firmę Rietschel, a po roku przenosi swą produkcję dla celów fotografii do Agfy. W 1928 r. powstaje aparat „Billy” na film zwojowy. Kolejne lata rozwoju Agfy przynoszą nowe odkrycia i udoskonalenia istniejących. Są to między innymi oferowane po raz pierwszy: taśmy magnetyczne do rejestracji dźwięku, w kinach wyświetlany jest barwny film wytworzony w technice negatyw - pozytyw (1941 r.), seryjny aparat automatyczny (1956 r.) i czarno-biała taśma wideo (1960 r.).

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ



Pierwszy znak firmowy Agfy.

Jak pachnie Policja

będą łączyć ją z chłodnym, przenikliwym, cierpkim i nieco ogłupiającym zapachem strachu i pecha. Potoczne wyobrażenia o policyjnych woniach mogą się jednak wkrótce zmienić za sprawą amerykańskich perfum Police. Kompozycja należy do rodziny pachnidła dla silnych mężczyzn zwanej fougère. Jest nieco wizjonerska, odrobinę arogancka i wystarczająco władcza. Jednocześnie, dzięki zestawieniu silnego akordu fougère z nutami drzewa cedrowego i sandałowego, ma w sobie nieoczywistą łagodność. Niektórzy mogą w niej dostrzec również pełen ironii dystans do świata, przede wszystkim za sprawą flakonu, który ma kształt... piersiówki.

AGATA WASILENKO

Lektury dzieciństwa

Zbigniewa Wodeckiego

Pierwsza samodzielna lektura to elementarz. Ten z Alą, co miała Asa. Aha... i jeszcze o kuzrze, co ukradła aeroplan, i o oficerze, który jak list wrzucał, to kucał. Potem pamiętam „Trzech muszkieterów” i „Pamiętniki Casanovy”. Muszkieterów czytałem oficjalnie, a Casanovę nieoficjalnie, pod kołdrą przy łatarce. Miałem lat mniej niż 10 i jeszcze nie bardzo wiedziałem, dlaczego tego nie powinienem czytać, ale wiedziałem, że nie powinienem. Do poduszki mama mi czytała „Pana Tadeusza”. Pomijałmi różne opisy i w tej wersji nawet mi się podobało. Na kolana rzuciło mnie natomiast „Qvo vadis”.



Równolegle czytałem tzw. „Tygrysy”, książki o AL, GL i BCH. Dopiero później odkryłem, że to były książki propagandowe. Gdy zacząłem jeździć w trasie koncertowe, to czytałem dużo kryminałów. W głowie kręciłem sobie filmy na podstawie tych książek. Wracając do lektur dzieciństwa. Mieszkałem w krakowskiej dzielnicy Rakowice. Tam było lotnisko i łąki, a my odtwarzaliśmy ostatnią walkę Apacza. I jeden z kolegów wbił drugiemu w głowę strzałę z łuku zakończoną gwoździem. Na szczęście nie skończyło się tragicznie. Trafiony rozplakał się i pobiegł do domu.

Rozmawiał
ANDRZEJ KACZMARCZYK

REKLAMACJE

OWOCOWE POKUSY



Odpowiednie warunki rozwoju Twojej firmy

Tytułowe smakowitości są wdzięcznym obiektem dla reklamy. W błyskawiczny sposób można zasugerować coś, co trzeba by powiedzieć przy użyciu wielu słów lub skomplikowanych obrazów. A tak wystarczy pokazać kokosa i już wiadomo, jaki interes jest nam oferowany.

Pośród owoców najbogatszą symbolikę ma jabłko. Może oznaczać m.in.: płodność, miłość, wieczność, nieśmiertelność, ziemię, władzę, wieczną młodość. W kulturze chrześcijańskiej najczęściej występuje jako jabłko Adama, symbol grzechu pierworodnego. Co ciekawe, w Biblii nie ma mowy o jabłku, a jedynie o „owocu drzewa, które jest w środku raju”. Jabłko w tej niecnej roli pojawiło się znacznie później, a egzegeci Koranu pisali raczej o winnym gronie, kłosie pszenicy lub... fidze. Jeśli by była to faktycznie figa, podstawowe skojarzenie z figą musiałyby ulec całkowitej zmianie. Bank Millennium „sięgnął” po jabłko, które ma symbolizować dorodność, a co za tym idzie – najlepsze warunki do rozkwitu. Owoc podają dwie (przypuszczalnie) męskie dłonie. To, że jest to mężczyzna, a dłonie są dwie, wyklucza namawianie do grzechu (biblijna Ewa we wszelkich przedstawieniach podaje swemu towarzyszowi jabłko jedną ręką). Pomimo to jest tu pewien ukryty posmak kuszenia, ale o to przecież właśnie chodzi. Jabłko jest tak piękne, że można dać wiarę w jego smakowitość bez przekrojania...

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

Imodium na pewno zatrzyma biegunkę...



...musisz je tylko mieć pod ręką.



Przed użyciem przeczytaj ulotkę

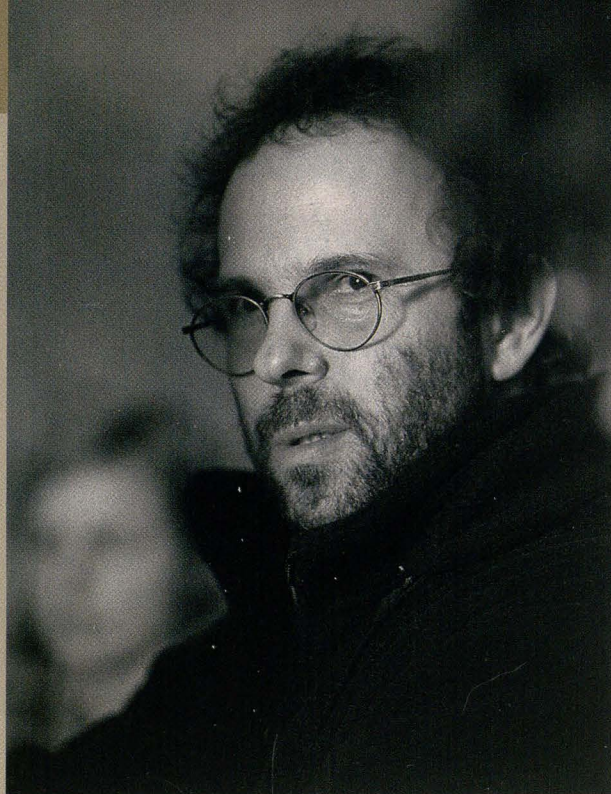
Życie to ciągłe wyzwania, nowa praca, egzaminy, rozmowa z szefem. Jeśli na stres reagujesz biegunką, wiesz jak trudno osiągnąć swoje życiowe cele. Imodium pomoże Ci zapanować nad swoim organizmem w każdej sytuacji. Wystarczą dwie kapsułki aby powstrzymać biegunkę i powrócić do normalnej aktywności.

Imodium
Skuteczność godna polecenia.

Jeśli chcesz porozmawiać z lekarzem zadzwoń pod numer 0 801 172 744 w godzinach 15-22. Całkowity koszt rozmowy w cenie jednego impulsu za połączenie lokalne.

Reżyser filmowy i teatralny. Zdobywca Felixa za film „300 mil do nieba” (1989 r. – nagroda za najlepszy młody film europejski). Film wyróżniano wielokrotnie, m.in. Nagrodą Młodej Publiczności Cannes '90 oraz Grand Prix CICA w Angers. Zrealizował dla Teatru Telewizji m.in.: „Szkarałatną Literę”, „Roberta Zucco”, „Zagubionych”, „Złotego chłopaka”, „Pielgrzymów” (premiera 28.01.2002 r.) oraz dla Teatru Wybrzeże „Repetycje z »Pięknymi dwudziestoleciami«” wg Hłaski. Inne filmowe dokonania to m.in. „Bandyta” (1997 r. – nagrodzony na Międzynarodowym Konkursie Scenariuszowym nagrodą Hartley–Merrill), dokument „Kieszonkowcy” (1999) oraz „Budka Suflera w Nowym Jorku” (2000). Jest członkiem Europejskiej Akademii Filmowej.

Maciej Dejczer



FOT. AG

kim byłem.

nocy.

talizman, kartę bankową. Trochę szczęścia.

Tylko Wielka Miłość. Na całe życie.

Paryż – Teksas – Nowy Jork. Magia.

budzą się Żywioty.

rzeczy z drugiej ręki chyba mnie nie interesują.

nie będę mówił...

kim będę.

Pokazywał dzieciom różne kolory świata.

może o sobie.

Nie myślę o nim.

nie będzie nigdy.

Instynkt. Oczekuję propozycji.

Wolę otwartą walkę. Trzeba umieć polubić swego przeciwnika.

Ratowanie życia.

bazylię, oliwę, mozzarellę, pomidory.

na tym świecie gościem. Każdego dnia.

Będę

Dzień zaczynam od

Zawsze warto mieć przy sobie

Co jest grzechu warte?

Słowo-klucz:

Gdy mój rozum śpi

Używany samochód kupiłbym od

Za nic w świecie

Byłem

Co bym robił w ósmym dniu tygodnia?

Nie mam pojęcia o

W czym towarzystwie chciałbyś
stać na cokole?

Zawsze niech

Mam

Na jakim dystansie jesteś najlepszy?

Cel, który uświęca środki?

Zawsze chętnie zjem

Jestem

Keff



FOT. BOGDAN KRZEL

Moje nagrody

Ach,
pomyślałam sobie,
skoro już pora
się oddać – a pora,
bo znów idą zmiany
– to dobrze by było
oddalić się
z pewnym gestem.
Chciałabym więc
porozdawać
swoje prywatne
nagrody w różnych
dziedzinach,
bez ładu i składu,
za to,
co mi imponuje,
co mi się podoba
i wywołuje moją
wdzięczność.

Więc:

1. Niech przyjmie nagrodę mój ulubiony felietonista, Pereira z „Res Publiki Nowej”. Pereira jest starszym wiekiem Portugalczykiem (sądząc z nazwiska), ma kłopoty z zasypianiem i bez pośpiechu, głęboko oraz dygresyjnie rozważa różne filmy, i nie tylko. Ostatnio (RPN 1.01.2002) przemysliwał twórczość Krzysztofa Kieślowskiego w kontekście filmu „Amelia” i tekstu „Kilka uwag o kiczu Brocha”, gdyż, jak wyznał, uważa twórczość Kieślowskiego za kicz, i to agresywny. Ja też. Cykl Pereiry nazywa się „Przebudzenia”, a kończy się zawsze słowem „Dobranoc”. Niech państwo sami wypróbują, jakie to robi wrażenie. Przy okazji chętnie bym nagrodziła wszystkie chyba autorki i autorów piszących w tym piśmie, w tym Joannę Tokarską-Bakir. No, ale osobno nie mogę, bo mało miejsca.

2. Niech nagrodę przyjmie Olga Tokarczuk za swoje nowe opowiadania „Gra na wielu bębenkach”. Takie rytmy i tematy zmienne jak w tych opowiadaniach – to imponujące i rzadkie. W jednym z opowiadań pewna kobieta bębniła na wielu bębenkach, będąc wieloma postaciami w jednym ciele. W innym wygaszał – czy zamierał – związek dwojga ludzi, choć pies się starał. W moim ulubionym opowiadaniu pewien mężczyzna, który znalazł na samotnej wyspie dziecko, wykarmił je własną piersią. Bo co miał robić?

3. Niech przyjmie nagrodę Agnieszka Graff za „Świat bez kobiet”. Nie dość, że autorka młoda, to przenikliwa. Nie dość, że pisze rzeczy celne do bólu na temat naszej patriarchalnej rzeczywistości, to robi to tak przekonująco, że jest słuchana. Nie wkurza się, choć jest o co, tylko tłumaczy. A to jest czysty idealizm – i proszę, jak działa!

4. Kraj i ludzie nie dostają nagrody – za nie-podejmowanie dyskusji. Kraj i ludzie są ganieńni za to, że albo się kogoś wielbi i stawia mu pomniki, albo się mówi: „a to skandalista/tka”! Ale się nie dyskutuje, bo się chyba uważa, że to jest zajęcie dla głupich. Ale się nie ma racji.

5. Nagrodę niech przyjmie Zygmunt Kałużyński, za to, że czytałam, co pisze o filmie, kiedy byłam w szkole, potem na studiach i dziś też. Za koszułkę w kratkę, za pamięć, za swój sąd i za to, że nadal macha do widzów pa-pa, kiedy znika z telewizora, zamiast się nadąć jak inni.

6. Nagrodę niech przyjmie Kasia Nosowska – bo lubię jej głos, różne jej kawałki, a wśród nich ten ostatni, gdzie ona „lubi ten stan, papierosy kawa i ja”. Ja – bez papierosów, ale poza tym – tak.

7. I Paweł Kukiz niech przyjmie nagrodę, proszę, bo gdyby nie jego niektóre teksty, w tym „Rodzina słowem silna”, rzecz genialna jako opowiadanko silnie realistyczne, nie miałabym co śpiewać na imprezach karaoke. Właściwie „nie mielibyśmy”, bo śpiewałam razem z moim synem, Michałem. I on też niech przyjmie nagrodę, bo dzięki niemu znam te teksty.

8. I niech przyjmie nagrodę Jarosław Mikos, cierpliwy i wnikliwy, który pierwszy czyta, co ja tam piszę, w tym te felietony, i czasem mówi: a tu może zmień. I ja może czasem zmieniam.

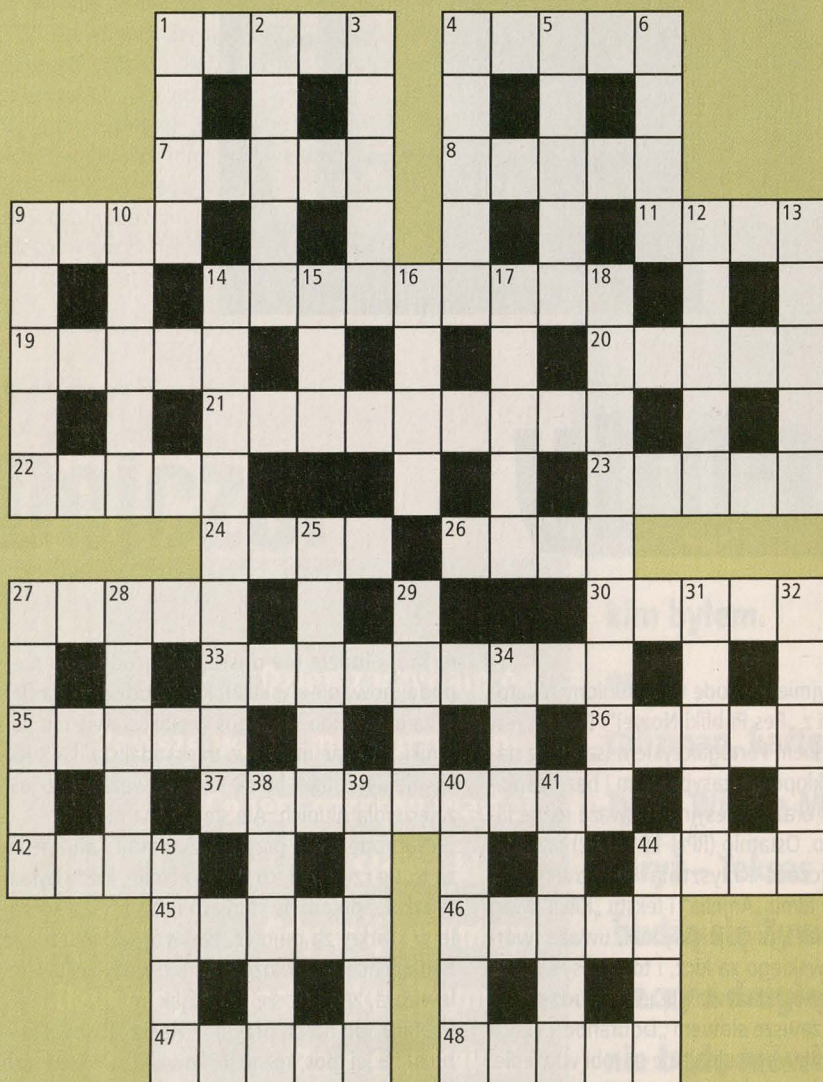
9. I krakowska redakcja „Przekroju” niech przyjmie nagrodę – za to, że mi nigdy nie nadeptywała na język. A to jest wartość przez duże W.

10. I państwo, którzy mnie czytaliście przez ten (ponad) rok, także przyjmijcie moją nagrodę, je-dyną, jaką dysponuję, czyli moją wdzięczność.

BOŻENA KEFF



KRZYŻÓWKA nr 5



POZIOMO:

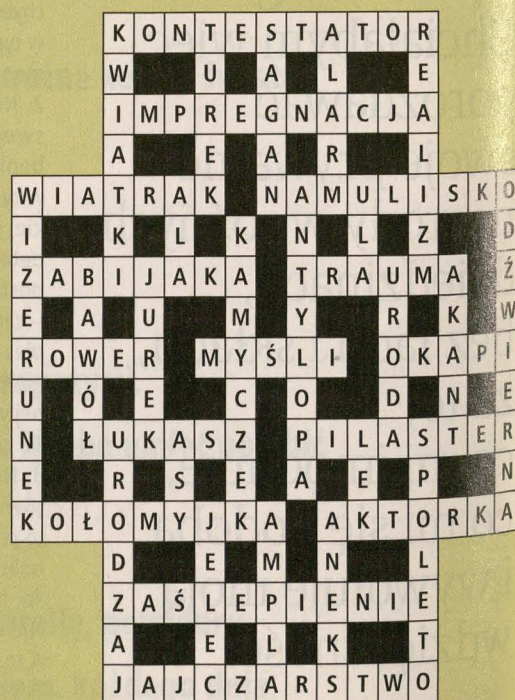
- 1 złota
- 4 centrum dowodzenia telewizora
- 7 na resorach
- 8 dzikowa małżonka
- 9 niesie
- 11 do przekroczenia, a nie Rubikon
- 14 Dzień Sądu Ostatecznego
- 19 pod nim Batory
- 20 rocznik dostojny
- 21 ważna stolica Holandii
- 22 arbuz
- 23 córka rybaka
- 24 chiński atrament
- 26 Lipińska
- 27 amerykański struś
- 30 anioł
- 33 najpopularniejszy prezydent USA
- 35 Jaś się nie nauczył i Jan nie wie
- 36 arka
- 37 miniatura strychu w przedpokoju
- 42 psi nos kręci
- 44 wróg kierowcy
- 45 chodzi koło drogi
- 46 nad Notecią
- 47 smaczna krewniaczka
- jesiotra z naszych północnych jezior
- 48 sadzone

PIONOWO:

- 1 jedna płynie w Austrii i na Węgrzech, a druga jest

- swojska i przepływa przez Chabówkę
- 2 wielki właściciel ziemski na Rusi i Wołoszczyźnie
- 3 pani dyrektor z serialu „Na dobre i na złe”
- 4 masz ich dwadzieścia
- 5 nie śpi
- 6 schodki na statek
- 9 nadęty na torsie wioślarza
- 10 do zakasania pojedynczo
- 12 dookólna jazda
- 13 muszkatolowa
- 14 sardynka zmieszana z bryndzą
- 15 jabłkowy przecier deserowy
- 16 końska mucha
- 17 twórca kreteńskiego labiryntu
- 18 wyrób czekoladopodobny
- 25 służy nabywaniu sprawności fizycznej
- 27 dziewięciu muzykuje
- 28 usiane gwiazdami
- 29 ma każda epoka osobiste
- 31 sokoli krewniak
- 32 pływa stylem klasycznym
- 34 Tokio dawniej
- 38 w wyposażeniu karetki pogotowia
- 39 służy do umocowania trójkątnych żagli
- 40 góra od tablic
- 41 prawa ręka lorda
- 43 na katodzie
- 44 najdłuższe w Sopocie

Rozwiązanie krzyżówki nr 3



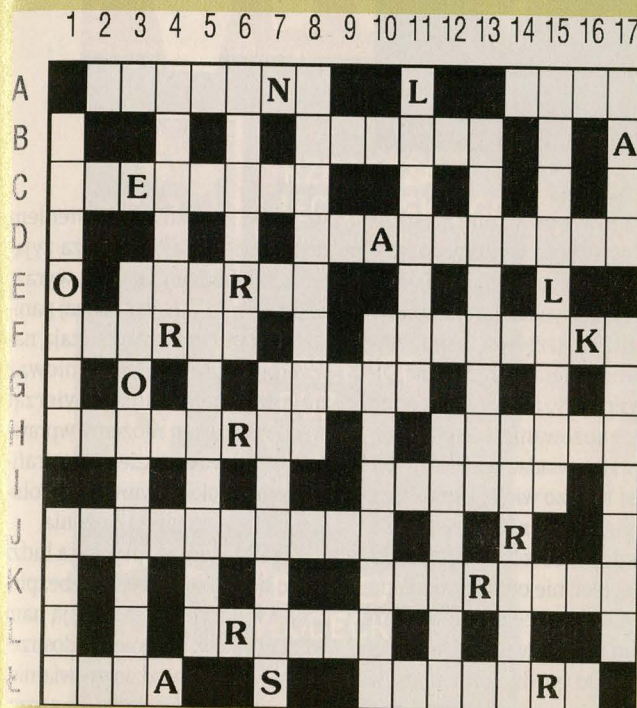
• Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 10 lutego (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Nasz adres: PRZEKRÓJ, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z zaznaczeniem „Krzyżówka 5”.

• Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 2 pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój” wylosowali: Tadeusz i Maria Dolińscy, Głubczyce; Teodozja Mikołajewska, Witkowo; Janina Żbikowska, Gorzów Wlkp.; Danuta Jarosz, Brzeszcze; Grażyna Zajac, Oleśnica. Gratulujemy!

JOLKA nr 5



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:



C17 – K1 – H15 / B13 – D12 – J6 – C4 – Ł16 / I7 – D6 – C5 – A15 – K5 – E11 – Ł14 / G17 – L3 – Ł2 – L12 – I11 – D1 – A3.

Wyrazy 10-literowe:

- pojazd pod pachą • nie pogłaska brudaska

Wyrazy 9-literowe:

- wynalazek mówiącego • to i owo o rycerskich klejnotach

Wyrazy 8-literowe:

- perkusyjny drgacz • Jan Jasiowi wypomni • wije się w bezpiecznym miejscu • grzebie w czuciu • na babcię Barbie • stały gry • przecinek z głową w chmurach • dopieszcza laski, ogonki i brzuszki

Wyrazy 7-literowe:

- drukowano na nim „Przekrój” 4 tysiące lat temu • czas bredzenia • zamiast eliksiru młodości •

- słonawy i kruchy • pobrzękuje kowbojowi • zdanie do wyciągania

Wyrazy 6-literowe:

- niezdrowe gadanie • bita republika • w cieniu szmaragdu • marszczy wodę jeziora • porusza się na ukos • tak się składa, że nie Capri i nie Granada • Salinger • znaczące nieuczestniczenie • prowadząca z piórkiem • na kleksy i kwiaty

Wyraz 5-literowy:

- wab na zalotnika

Wyrazy 4-literowe:

- żabki a cappella • bobrowa na strumieniu • richelieu • zmotoryzowane emocje

• Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 10 lutego (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z zaznaczeniem „Jolka 5”.

Rozwiązanie Jolki nr 3

KOŃ JAKI JEST, KAŻDY WIDZI (pełna treść hasła „KOŃ” w pierwszej polskiej encyklopedii „Nowe Ateny...” wydanej w latach 1745-1756).

• Rzędami: stoisko, postronek, klips, zbyt, imię, tańce, kryzys, tort, dedykacja, trio, baobab, gotyk, ster, targ, igloo, dziwożona, żeglarz.

• Kolumnami: Szkot, artretyzm, ogień, Dobrawa, Seszele, drożdże, optyk, traktat, bagaż, starzec, jogging, kopista, talia, Jeziorany, kłosz.

• Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 2 pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali: Maria Kotlińska, Przeworsk; Krystyna Goldberg, Warszawa; Roman Potok, Kościan; Jolanta Sosińska, Opole; Alicja Szulc, Skarżysko Kamienna. Gratulujemy!

REBUS ZMIENNY (rozwiązanie ze str. 66):

Im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same.

STEFANIAK pod jolką



– Tobie tylko jolka w głowie!

Mamy szczęście

Stanowi ona obszar wyjątkowej stabilności sejsmicznej, w przeciwieństwie do wielkiej liczby miejsc kontynentalnych, zagrożonych wstrząsami planetarnej skorupy, pospolicie zwanymi trzęsieniami ziemi. O tym zaś, że nie było na terenie naszego kraju nigdy wulkanów, nie trzeba, na szczęście, nawet wspominać; ostatni, całkowicie niespodziewany wybuch wulkanu w centrum Afryki zalał rzeką lawy półmilionowe miasto.

W okolicach częstych sejsmizmów (na przykład w Japonii, Meksyku, południowych Włoszech) od bardzo wielu lat badacze usiłują odkryć sposób przewidywania trzęsień ziemi, jednak dotychczasowe ich wysiłki spełzają na niczym. Na południowym skraju Ameryki Północnej jest tak zwana „skaza świętego Andrzeja”, biorąca się stąd, że podoceaniczna płyta tektoniczna w swym powolnym, nieustępliwym ruchu zagraża tej części kontynentu amerykańskiego. O tym niebezpieczeństwie, wywołanym kolizją płyt tektonicznych, wiadomo od dość dawna i chociaż wstrząsy wielkiej siły były tam oczekiwane, to jednak do dzisiaj żadna katastrofa tam nie zaszła.

Warto podkreślić, że rozmiary katastrofy są uzależnione przede wszystkim od gęstości zaludnienia danego obszaru. Mimo tego, że okolice Etny na Sycylii oraz Wezuwiusza na włoskim łądzie, który niegdyś potężnym wybuchem zasypał i zgniółł Pompeje, są stale narażone na sejsmiczne wstrząsy, to jednak stoki tamtych wulkanów są zasiedlane obficie, ponieważ nawarstwiona na nich ziemia jest bardzo płodna.

Równie aktywne i nieprzewidywalne są wulkany położone na północnym wybiegu lądowym Rosji, czyli na Kamczatce, lecz nie

ma tam groźnych kataklizmów,
ponieważ tereny owe są bardzo
słabo zamieszkane.

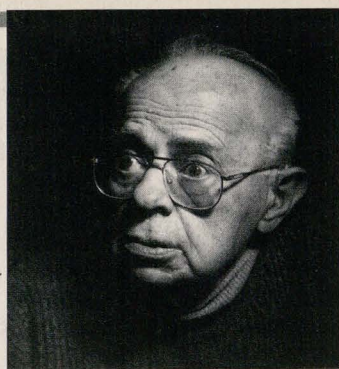
Nie brak też sejsmizmów na dnie oceanu, które, jeśli znacznie-szej siły, powodują powstanie na powierzchni udarowej fali, zwanej tsunami. Taka fala piętrzy się na znaczną wysokość dopiero na brzegowych płycznach lądów i może powodować ogromne szkody.

Japończycy, którzy stale żyją w zagrożeniu sejsmicznym, wzięli się w ubiegłym wieku do budowy takich rodzajów mieszkalnych domów, a nawet wieżowców, które są odporne nawet na wielkie trzęsienia w skali Richtera. Wznosili na-

Wyjątkiem, który korzystnie możemy zaksięgować – wbrew naszym niezliczonym historycznym kłopotom i zagrożeniom – jest położenie geograficzne Polski: niemal w środku Europy, na tak zwanej tarczy fenno-skandyjskiej.



FOT. BOGDAN KRĘŻEL



*Co Pan na to,
Panie LEM?*

wet budowlę osadzone na systemach potężnych sprężyn, co istotnie może przypominać działanie samochodowych amortyzatorów.

Skutki trzęsień możemy w pewnej mierze zmniejszać, ale to nie znaczy, że jesteśmy bliżej ich prognozowania. Metod, mających przepowiadać sejsmizmy, było i jest bardzo wiele. Umieszczano w glebie czujniki, obserwowano bardzo niewielkie ruchy tektoniczne, lecz nie odnaleziono sposobu pozwalającego na prognozę trzęsień ziemi czy wybuchów wulkanów. Od bardzo dawna mówi się i słyszy, że na niedługi czas przed erupcją wulkaniczną, jako

też przed znacznym trzęsieniem ziemi, zwierzęta, zwłaszcza żyjące na swobodzie, okazują wyraźne ożywienie, a nawet rodzaj paniki. W tej mierze wyprzedzają naszych wulkanologów, ponieważ zmiany zachowania zwierząt przed wstrząsem możemy wprawdzie obserwować, ale nie potrafimy ustalić, jakie czynniki wywołują u nich poczucie zagrożenia.

Ogólnie biorąc, psychika ludzi ma to do siebie, że tych niebezpieczeństw, które nie zagrażają nam od prawieków, w ogóle nie dostrzegamy. Mówiąc bardziej trywialnie, chyba nikt nie jest w Polsce szczególnie szczęśliwy, ponieważ nasze przeświadczenia o stałej nieruchomości gruntu nie zostały, jak dotąd, podważone. Niewielkie ogniska sejsmiczne znajdują się jednak i w Europie, na przykład w południowych Niemczech. Wiele wulkanów, uznawanych od wieków za wygasłe, może znowa zacząć się ożywić, lecz nawet takich nie ma w granicach naszego kraju.

Rozmiary spustoszeń wywołanych przez trzęsienia ziemi zależą w dużej mierze także od tego, na jakiej głębokości znajduje się tzw. epicentrum. Od bardzo dawna prawdziwe fale, w jakie wprawia wstrząs ogromne połacie terenu, przerażały ludzi, ujawniając naszą bezbronność wobec wyzwalałych gwałtownie mocy Natury. Niemal rokrocznie pojawiają się wiadomości, jakoby udało się uczonym nareszcie przewidywać wyżej opisane zjawiska. Niestety, opracowano wprawdzie mapy naszego globu z naniesionymi zarysami szczególnie częstych sejsmizmów, lecz nikt nie potrafi nawet w przybliżeniu podać ani dnia, ani godziny, w której wieloletnie prace ludzkie obrócone zostaną w gruzy i płomienie.

STANISŁAW LEM
21 stycznia 2002



CZARY!
2 plakaty
z Harrym
Potterem
sprawdź,
który dostałeś!

symbol seksu
zwija się jak w ukropie
JENNIFER

JENNIFER

Lopez

magiczna NIESPODZIANKA

niepowtarzalne plakaty
filmowe: „**Harry Potter**
i Kamień Filozoficzny”

razem z **VIVA!** otrzymasz jeden z nich!



Pogrzeb
GRZEGORZA
CIECHOWSKIEGO
Przyjaciele żegnają
zmarłego muzyka



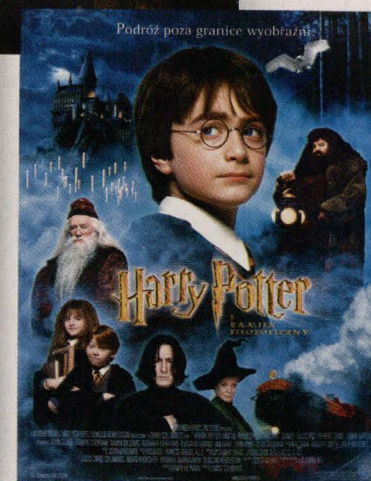
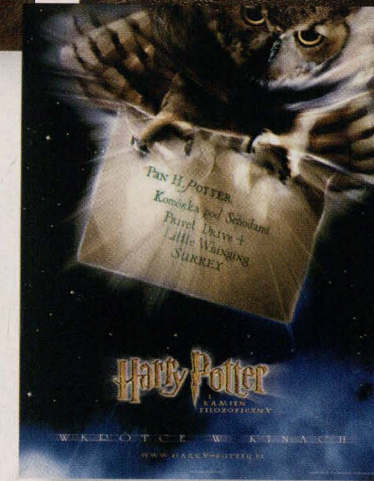
**PENELOPE
CRUZ**
sam na sam
z Tomem
Cruisem



**ZBIGNIEW
WODECKI**
Przyznaję,
jestem kochliwy

NARTY Z VIVA!

Poznaj najlepsze stoki, zobacz, gdzie zjeżdżają gwiazdy



Już w kioskach!

**PROSIMY NIE
POWTARZAĆ**



Kasujemy uroczyscie tytul tej rubryki. Od tej chwili **POWTARZAJTA, ILE CHCE TA.**

PRZYSPIESZAMY

O wyjątkowym sukcesie w walce z włamywaczami dowiedzieliśmy się z 47 numeru „Przełomu”. Udało się mianowicie zatrzymać włamywacza już

Ogłoszenie w „Gazecie Olsztyńskiej” z 11 stycznia w rubryce „Sprzedam” oferuje nani:

PODSŁUCHY...

Nizieński tylko na takich czeka.

(Nadesłał: W. Czermań-Nouina)

OJ, OSTROŻNIE

Firma Raben data do „Gazety Wyborczej” z 10 grudnia ub.r. pojeżne ogłoszenie, w którym poszukuje różnych pracowników. Ale ma wymaganie, oj ma:

– dobra znajomość języka niemieckiego lub niemieckiego

No nie! Dwóch języków obcych naraz nie można wymagać, i do tego tak kategorycznie.

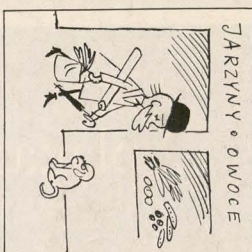
(Nadesłał: J. Rumiński)

FFIVETK

PAPIER • ZABAWKI



JARZYNY • OWOCE



MIESO • WĘDLINY



eleganckie

Hetera to dowcipna i doświadczona seksualnie kobieta, którą Grecy zapraszali na ucztę zamiast żon i dzieci.

Ośrodki kultury na wsi to szkoła, kościół, remiza strażacka i bar piwny.

Postawie muszą często korzystać z toalety, aby mieć czyste ręce.

Monolog wewnętrzny jest wtedy, kiedy człowiek swoim wnętrzem rozmawia z sobą.

HUMOR ZESZYTÓW nadesłał: D. Leszczyńska z Puław, J. Gołanowski z Ostreszowa, A. Kozarzewski z Putuska i J. Chmiel ze Zgobienia. Dziękujemy i żegnamy. Pa, pa, pa!

Na sąsiednim stoisku
Z oferty handlowej hipermarketu „Géant”



BIUSTONOSZ DAMSKI
KOŁOR BIAŁY I CZARNY,
RÓŻNE ROZMIARY
14.99

Męskie biustonosze są o wiele tańsze, bo mniej materiału wychodzi.

(Nadesłał: Z. Chuchla)

rys. Juliusz STEFANIAK



– Kasa, chłopcze, kasa! Jak się ją ma, to można nawet kolumnę Zygmunta przenieść do Pcimia.

FORTUNA

Fortuna toczy się kołem
Pod kołem to pojąłem.

(Jan Sztandrynger)



O WACUSIU

– Falczakowa bardzo się zmar-twiła, kiedy dowiedziała się, że krakowskiego „Przekroju” już nie ma. „Cyrankiewiczza też nie ma – pokowskiach VIP-ów została nam tylko krakowska kielbasa”.

Luauik Jerzy Kern

DOMOWY KOPCIUSZEK

To nie są żadne przywidzenia, To nie jest żadna pusta gadka – Mnie się w mym domu nie docenia, Chyba.

Ze zlew się nagle zatka.

Wtedy się wszystko nagle zmienia,

Ja zaś w efekcie owych zmian

Wychodzę z głębokiego cienia

Na front

Na pierwszy plan.

*

Nie wiem, kolego, jak kolega Przełyka wszystkie te pigułki?

Mnie się w mym domu nie dostreza,

Chyba,

Ze trzeba iść po butki.

Wsadzam czapeczkę na swe czółko

I odurzony szczęściem gnam,

Ze mogę wyjść znów (dzięki butkom)

Na front

Na pierwszy plan.

*

Prowadzę ci ja żywot zgrzebny I dręcę mnie to niesłychanie,

Ja jestem w domu niepotrzebny,

Chyba,

Ze trzeba wieszać pranie.

Na strychu przez trzy noce czuwam,

By prania nie gwizdneł nam –

I w ten to sposób się wysuwam

Na front,

Na pierwszy plan.

*

Nieraz przeżywałam swoją boleść, Smutno się głowa moja kiwa,

Dom się beze mnie może obejść,

Chyba,

Ze trzeba trzepać dywan.

Chyba,

Ze trzeba wynieść śmieci,

Naprawić stopki,

Utrzeć chrzan...

Może ktoś wreszcie zgłosi sprzeciw,

Ze tak się ciągle, moje dzieci,

Wysuwam na ten pierwszy plan.

